

NA SZLAKU KRESOWEJ



NR 11

(29)

Ref. Kult. i Prasy

**KRESOWEJ
DYW. PIECHOTY**

Włochy - grudzień - 1945

Na Szlaku Kresowej

Numer 11 (29)

Referat Kultury i Prasy Kresowej Dywizji Piechoty

Włochy

*

Grudzień

*

1945

K 126/43
1971



Redaktor: *Witold Zahorski*

Adres Redakcji: C. M. F. Polish Forces 302

Tłoczono w Drukarni Polowej A.P.

W rocznicę Powstania Listopadowego

Panie Ambasadorze, Panie Ministrze, Panie Pułkowniku, Panie i Panowie!

Dzieje polskich powstań są dziejami stopniowej demokratyzacji narodowych ruchów wolnościowych. Od Powstania Listopadowego, które było dziełem i zrywem małej garstki Podchorążych, poprzez Powstanie Styczniowe, które wciągnęło już w orbitę swego oddziaływania polskich chłopów, rok 1905, który poderwał do walki o wolność i niepodległość proletariat miejski, aż po Powstanie Warszawskie, symbol wysiłku wojskowego *wszystkich* ludzi czujących i myślących po polsku — doszliśmy do upowszechnienia wystąpień zbrojnych, jako jedynej i ostatecznej formy walki o prawo do własnego i samodzielnego życia, na przekór obcym siłom i obcym grabarzom naszej wolności.

Już czas, ażeby dziś tę prawdę przypomnieć. Nigdy bowiem bardziej niż dziś nie była podawana w wątpliwość sama *idea* powstań. Coraz częściej słyszymy, jak słyszeli to zapewne i pogrobowcy wszystkich polskich porywów niepodległościowych, że od chwili rozbiorów życie polskie nie potrafiło przełamać zakłętego koła krwi i poświęcenia i wkroczyć na jedynie słuszną drogę pracy i rozumnej, trzeźwej myśli. Czy to jest prawda? Czy rzeczywiście powstania polskie, gdyby były tylko owocem porywczej psychiki polskiej i fałszywie pojętego honoru narodowego rozszerzałyby się z szybkością pożaru na wszystkie warstwy społeczne? Czy doszlibyśmy z tym balastem rzekomo szlacheckich przesądów do czasów, w których robotnik warszawski stanął w ogniu walki obok inteligenta, a stara wiejska kobiecina dowoziła z narażeniem życia pod workami kartofli broń powstańcom? Jest więc, widać, jakaś siła przekonywująca i moc tworząca w tym pożarze, który ogarniając cały naród pozostawiał przecież za sobą zgliszcza i ruiny w tragicznej spuściźnie dla wielu pokoleń. Ocalała zawsze jakaś wartość wielka i nieznana, ale i jednocześnie niewyczerpana i nieuchwytna dla tych, którzy zawsze potrafili krytykować to wszystko, dzięki czemu naród czuł się na nowo narodem, a nie bezwolnym przedmiotem przetargów i kupceń politycznych. Idea powstań jest bowiem wbrew pozorom mądrym aktem proklamowania suwerennej Polski pod zaborami. Czy to jest możliwe na długo czy na krótko, czy jest uzgodnione z panującą dokoła sytuacją międzynarodową, czy też przedwcześnie sprowokowanym wybuchem, nad tym wszystkim mają prawo i obowiązek zastanawiać się krytycy techniki i polityki powstańczej, ale nigdy koniunkturalni przeciwnicy samej istoty powstań, jako wyrazu niestępionej w latach niewoli świadomości naro-

dowej. Gdyby naród, który przeżywa tak długie okresy zawisłości państwowej nie podnosił karku spod buta najeźdźcy, utraciłby w końcu samo poczucie suwerenności, samą wiarę w swą niepodległość, czyli dwa czynniki, bez których jakże trudny jest powrót do normalnego, wolnego życia. Ile polskim powstaniom zawdzięczały w swej działalności i walce Legiony i P. O. W. można się łatwo dowiedzieć z odczytu Piłsudskiego o roku 63. Czy — gdyby nie tradycja pieczętki Tajnego Rządu Narodowego, możliwy byłby w Kraju, zajętym przez obce wojska tak wielki posłuch dla instrukcji i rozkazów nielegalnych organizacji niepodległościowych? Czy możliwa byłaby już w tej wojnie tak wspaniale rozwinięta sieć życia podziemnego i Armii Krajowej! Jest znacznie łatwiej utyskiwać na wady zbyt zapalnego charakteru polskiego, niż zrozumieć spokojnie, że te bezimienne i bezowocne często porywy stworzyły w Polsce kapitał, z którego czerpaliśmy i czerpać jeszcze będziemy.

Ale gdy się myśli o Powstaniu Listopadowym, to nie wolno poprzestać tylko na jego i innych powstań trudnej do pojęcia słuszności rozumowej. Trzeba również pamiętać, że Powstania były w Polsce zawsze przejawem umiłowania wolności tak silnego, że prawie równoznacznego z uczuciem dumy. Jeden maleńki wierszyk Norwida oddaje tę myśl piękniej i głębiej, niżby to uczyniły naj-mądrzejsze księgi:

*O, ciernie deptać znośniej i z ochotą
na dzid iść kły,
Niż błoto deptać, ile z łez to błoto
A z westchnień mgły.*

*Tęczami pierwszej niechże w niebo spłyną
Po złotszy świt,
Niech z chorągwiami wrócą, a z nowiną
na całokwit.*

*Bo ciernie deptać słodziej i z ochotą
na dzid iść kły,
Niż błoto deptać, ile z łez to błoto
A z westchnień mgły ...*

Gustaw Herling-Grudziński

(Słowo wstępne, wygłoszone w Rzymie na Poranku Listopadowym, zorganizowanym przez Komendanta Miasta i Związek Ziemi Wschodnich R. P.)

Na poranku obecni byli m. in. Ambasador R. P. przy Watykanie p. Kazimierz Papeś, Minister Petnomocny R. P. p. Stanisław Janikowski, ptk. Michniewicz oraz przedstawiciele narodów Międzymorza: Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Słowacy, Bułgarzy, Serbowie, Chorwaci, Słowenci i Węgrzy).

Tragedia polska

W numerze wrześniowym angielskiego miesięcznika o długoletniej tradycji najlepszej trybuny krytyki politycznej i kulturalnej „The Nineteenth Century and After” ukazał się artykuł, pióra znanego publicysty i myśliciela politycznego F. A. Voigt’a. Artykuł ten jest głosem sumienia narodu angielskiego i demokracji zachodnich, nawoływaniem do naprawienia popełnionych błędów. Ze względu na coraz ciekawiej kształtujące się stosunki międzynarodowe, gdy zła wola i właściwe cele ZSRR przestają być przesłaniane mgławicą oportunizmu, podajemy przekład polski artykułu.

Jest rzeczą wygodną zapominać o tym, jaki jest los Polski, lub gdy niewygodna rzeczywistość nie daje dojść do głosu chęci zapomnienia, utrzymywać za pomocą oszukiwania innych i samego siebie, że los Polski inny jest niż w rzeczywistości, i że skutki stanu rzeczy w Polsce będą inne od tych, jakie w istocie będą. Problem, który od dwóch setek lat był znany pod nazwą „Kwestia Polska” pozostaje w dalszym ciągu nierozstrzygnięty. Tym nie mniej smętne przepowiednie Marii Teresy, ważne ostrzeżenia Edmunda Burke’a i Sheridana zachowują w pełni swe znaczenie i dopóki nie zostanie rozstrzygnięta „Kwestia Polska” nie doczeka się rozstrzygnięcia ani „Kwestia Niemiec” ani o wiele szersza, „Kwestia Europy”.

Sam rejestr zobowiązań (przysiężek, zapewnień, gwarancji, paktów, traktatów i kart), które zobowiązały Wielką Brytanię politycznie, moralnie i prawnie do odbudowy niepodległości Polski zapełniłyby wiele stron. Przy każdej okazji omawiania spraw Polski w Izbie Gmin lub Lordów (a okazji takich było wiele) — powtarzano i potwierdzano to lub inne zobowiązanie. Taki stan rzeczy trwał od podpisania 25 sierpnia 1939 r. Anglo-Polskiego Traktatu o Wzajemnej Pomocy, do spotkania „Wielkiej Trójki” w Poczdamie, gdzie znalazł on swój grób.

Zapewnia się i szeroko się w to wierzy, że chociaż Polska straciła swe wschodnie obszary, co do których fałszywie nas się informuje, że nie miała do nich prawa, otrzymała za to „rekompensatę” kosztem wspólnego wroga. A zatem, to, co się stało w wyniku zawartych zobowiązań nie jest może tym, czego życzyli sobie Polacy, nie jest tym, czego życzyła sobie W. Brytania, gdy szła do wojny „o Polskę”, jest jednak wobec zmienionych okoliczności „rozwiązaniem” „Polskiego Problemu”, rozwiązaniem, które jeśli Polaków nie zadowala, to powinno ich zadowolić. Jest to — ujmując rzecz szerzej — rozwiązaniem, które zwalnia W. Brytanię i jej sprzymierzeńców z zaciągniętych zobowiązań, rozwiązaniem, które jest za-

dośćuczynieniem jednego z głównych, publicznie ogłoszonych celów wojny — odbudowy niepodległości Polski.

Prawda jednak jest inna. Zobowiązania nie zostały dotrzymane — ani w całości ani w poszczególnych częściach i ogłoszone światu cele wojny nie zostały osiągnięte, ponieważ likwidacja niepodległości Polski została przeprowadzona całkowicie.

Nie zamierzamy tu powtarzać wszystkich zobowiązań**), lecz tylko zwrócić uwagę na jedno, które pod względem wagi stoi na następnym miejscu za zobowiązaniem się Wielkiej Brytanii do wypowiedzenia Niemcom wojny. Znaczenie tego zobowiązania jest ogółowi nieznane lub prawie nieznane.

Powołuję się tu na „Tajny Protokół”, który 28 lutego 1945 r. został po raz pierwszy ujawniony przez p. Pethericka w Izbie Gmin. Został on dołączony do Angielsko-Polskiego Paktu o wzajemnej pomocy i określono go w samym Pakcie jako jego „część integralną”.

Paragraf 1 i 2, artykuł 6, Paktu o wzajemnej pomocy, mówi, że Wielka Brytania i Polska uzgodniły między sobą, iż będą się informować o nowych „krokach mających dać pomoc, lub które już przyniosły pomoc innym państwom agresji”. W paragrafie 3 tego samego artykułu oba państwa postanawiają, że „udzielone innemu państwu nowe tego rodzaju zobowiązanie” przez którąkolwiek ze stron „ani nie ograniczy powziętych w stosunku do siebie w traktacie zobowiązań, ani nie stworzy w sposób pośredni zobowiązań między stroną nie udzielającą tej pomocy a zainteresowanym trzecim Państwem”.

Umowa między W. Brytanią, St. Zjednoczonymi i Rosją, naszkicowana w Teheranie, potwierdzona w Jałcie i formalnie wstawiona w ład europejski w Poczdamie, stoi w sprzeczności z przytoczonym paragrafem Paktu, jeśli chodzi o położenie i granice Polski, jako że „zainteresowanym państwem trzecim” jest Rosja. Polska była „stroną nie udzielającą pomocy”, powstało więc „pośrednie zobowiązanie”.

W artykule I „Tajnego protokołu” Wielka Brytania i Polska oświadczają — co nie jest wyłuszczone w opublikowanym tekście Paktu

*) Najwybitniejszy przedstawiciel parlamentaryzmu angielskiego w epoce Rewolucji Francuskiej, prekursor nowoczesnej demokracji, ulubiony wzór Churchilla.

**) Co do głównych zobowiązań poczynionych od sierpnia 1939 r. do stycznia 1945 r., patrz „Nineteenth Century and After” ze stycznia 1943 r., lutego 1944 r. i lutego 1945 r.

(tzn. bez „Tajnego Protokołu”), że jako „*casus belli*” traktować będą agresję nie ze strony Rosji, lecz samych tylko Niemiec. Jednakże artykuł 3. „Protokołu” wyjaśnia, choć może w sposób nie dość zręczny, że „kroki”, o których mowa w artykule 6. Paktu, muszą „być czynione w ten sposób, by ich wykonanie w żadnym razie nie naruszyło suwerenności lub nietykalności terytorialnej drugiej strony umawiającej się” — tzn. Polski lub Wielkiej Brytanii.

W Jalcie Wielka Brytania wyraziła zgodę nie tylko na t.zw. fałszywie „Linie Curzona” jako granicę wschodnią Polski (którą sama zaproponowała), lecz także na „Komitet Lubelski” jako „podstawę” przyszłego Rządu Polski. Bez żadnej wątpliwości zgoda ta „działała na szkodę” „suwerenności” i „integralności terytorialnej” Polski. A zatem załamała podstawowy Traktat o Wzajemności Pomocy, zawarty między Polską a Wielką Brytanią.

„Ugoda” zawarta między Wielką Brytanią, St. Zjednoczonymi oraz Rosją i siłą narzucona Polsce, jest nielegalna. Nielegalne są nowe granice Polski, nowy rząd, wszystkie prawa i dekrety przez niego wydane, oraz wszystkie umowy i traktaty zawarte między nim a innymi mocarstwami.

Legalna jest tylko i wyłącznie Rzeczpospolita Polska w granicach z sierpnia 1939 r. (z wyłączeniem obszaru Cieszyna), z jej Prezydentem Raczkiewiczem, z jej Rządem w Londynie, Premierem Arciszewskim, Ambasadorem Raczyńskim, oraz z wszystkimi podległymi instytucjami i placówkami dyplomatycznymi i konsularnymi. „Rząd” ustanowiony w Warszawie, z p. Osóbką-Morawskim jako premierem, jest rządem uzurpatorskim. Zostałby on zmieciony z powierzchni ziemi w ciągu jednej nocy, gdyby nie poparcie Rosji, którego mu ona udziela w porozumieniu z W. Brytanią i St. Zjednoczonymi. Jego „przedstawiciele” zagranicą „reprezentują” Państwo i Naród Polski nie w większym stopniu niż „przedstawiciele” Vidkuna Quislinga „reprezentowaliby” Norweski Naród i Norweskie Państwo i na tej podstawie mieliby przejąć norweskie poselstwa i konsulaty na całym świecie. Nowy zaś polski „rząd” przejmuje majątek, inwestycje, flotę itp., które są prawdziwą własnością Polskiego Narodu zagranicą. To przejście jest z całą pewnością nielegalne.

Ponura i godna ubolewania krzywda, którą wyrządzono Polsce z przyzwoleniem Wielkiej Brytanii, ukazuje się w jeszcze ciemniejszym świetle na tle nienagannie honorowego stanowiska, jakie zajmowała Wielka Brytania, nie tylko wobec Polski, ale i wobec całej Europy Wschodniej w r. 1939.

Wielka Brytania nie miała wtedy możliwości zawrzeć przymierza z Rosją, ponieważ żądano za to od niej ceny, której nie miała prawa zapłacić, chodziło mianowicie o zezwolenie na rozbiór, nie tylko Polski ale całej Europy Wschodniej, między Rosją i Niemcami. Przemawiając w Izbie Lordów dnia 5 grudnia 1939 r.

Lord Halifax powiedział: „Na początku bieżącego roku usiłowaliśmy doprowadzić do poprawy naszych stosunków z Rosją, stale jednak stojąc na stanowisku, że prawa stron trzecich nie mogą ulec pogwałceniu wskutek naszych negocjacji. Myślę, że to zdanie oraz intuicja rządu brytyjskiego, które nie pozwoliły mu pójść na ugodę z rządem sowieckim w postanowieniach, kryjących w sobie pośrednią agresję na Państwa Bałtyckie — były słuszne, ponieważ postanowienia te mogłyby równie dobrze stać się pretekstem do dalszych zamierzeń, nie mam zaś wątpliwości, że społeczeństwo w naszym kraju woli stanąć wobec trudności i kłopotów niż dowiedzieć się, że skompromitowaliśmy honor Anglii i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Zasady etyczne i polityczne, które natchnęły deklarację Lorda Halifaxa były również natchnieniem Paktu wzajemnej pomocy oraz „Tajnego Protokołu”; tym samym językiem wyłożono te same podstawowe idee. Rosja planowała zabór Państw Bałtyckich, z pogwałceniem umów międzynarodowych, zarówno o charakterze ogólnym jak i szczegółowym, pozornie dlatego, ponieważ tereny te mogły zostać przez Niemców użyte jako bazy (jak to określono) „pośredniej agresji” przeciwko niej. Wypadki wnet wykazały, że prawda wyglądała inaczej. To Rosja uplanowała i dokonała zaboru w porozumieniu z Niemcami. Również w porozumieniu z Niemcami dokonała ona później rozbioru Polski w 1939 r., jeszcze później Rumunii, po to, aby zostać pozbawioną swego łupu przez Niemcy w 1941 r., aby wyrzec się tego działu w umowie z Wielką Brytanią i Polską w tym samym roku, a to znowu tylko po to, by na nowo podnieść swe żądania z taką nieugiętą gwałtownością i politycznym sprytem, że w końcu wymusiła na Churchillu, Rooseveltcie, a później Trumanie, przyznanie jej podbojów, których dokonała w 1939 i 1940 r. dzięki porozumieniu z Hitlerem.

Postawa Wielkiej Brytanii w r. 1939 była równie trzeźwa jak godna. Gdyby zawarte zostało przymierze na jedynych możliwych warunkach proponowanych przez Rosję, to znaczy rozbiór Europy Wschodniej a może jeszcze czegoś więcej, Niemcy stałyby się panami Europy i to bez wysiłku zbrojnego.

Polska nie mogłaby już wtedy zdecydowanie powiedzieć „Nie” na agresję niemiecką, gdyż Polska już wtedy nie istniałaby. Nie mogłoby też zostać owo „Nie” wypowiedziane przez Wielką Brytanię, jeszcze mniej możnaby się go spodziewać od chwiejnej Francji, ponieważ oba te państwa raz straciwszy okazję, straciły przez to również możliwość wypowiedzenia wojny. Są tacy jeszcze i dziś, którzy mają poważne obawy i wątpliwości wcale nie lekkiej, czy nieodpowiedzialnej natury, czy Wielka Brytania nie popełniła strasznego błędu, zawierając sojusz z Polską i w ogóle przystępując do wojny. Wiemy dobrze, że ci ludzie są w błędzie. Gdyby stało się inaczej oznaczałoby to nic innego, jak tylko pokojowy podbój całego kontynentu

europejskiego przez Niemców. W dalszym ciągu — oznaczałoby to koniec Imperium Brytyjskiego, a także Imperium Rosyjskiego.

Tylko dzięki temu, że Polska razem z Wielką Brytanią powiedziała Niemcom „Nie” i powiedziała „Nie” Rosji, również z Wielką Brytanią — w r. 1939 wybuchła wojna i nie wybuchła za późno. A ponieważ nie wybuchła za późno — została zakończona zwycięstwem. Brytyjskie i Rosyjskie Imperia ocalały, Imperium Amerykańskie uniknęło śmiertelnego zagrożenia dla swego bezpieczeństwa i wielkości — tylko dlatego, że Polska powiedziała „Nie”.

Po wybuchu wojny, Rosja usiłowała ponownie stworzyć sytuację, która byłaby jej własnym nieszczęściem i klęską, ponieważ bez pomocy W. Brytanii i St. Zjednoczonych nie byłaby w możności oprzeć się Niemcom. Można nawet przypuszczać, że musiałyby przed nimi „pokojowo” skapitulować.

Tym nie mniej, jej główną troską po wybuchu wojny było trwać w swym wielkim błędzie, który na jej szczęście został przewyższony jeszcze większym błędem popełnionym przez Niemcy w r. 1941 i który okupiła na pożytek dla wszystkich swym zacięciem, poświęceniem i odwagą w walce zbrojnej.

Rosja zmierzała nie tylko do możliwie najściślejszego związania się z Niemcami, ale dążyła do dopomożenia im w zdobyciu jak największej potęgi, traktując ją jako konieczną „dla pokoju w Europie”. I byłby to bez wątpienia „pokój” przynajmniej na jakiś czas. Byłby to jednak „Pax Germania” na przestrzeni od Atlantyku po Ural.

Polityka rosyjska w tym czasie została dostatecznie jasno określona w trzech następujących cytatach z przemówień Mołotowa. Podajemy je bez komentarzy, bowiem są one zbyt cenne.

Przemówienie z 31 sierpnia 1939*) : „...zawarcie paktu o nieagresji między ZSRR i Niemcami posiada kolosalną wartość pozytywną, ponieważ usuwa niebezpieczeństwo wojny między Niemcami a Związkiem Sowieckim” (str. 11).

„...są ludzie, którzy z niewinną miną pytają, jak mogły Sowiety zdecydować się na poprawę swych stosunków politycznych z państwem o typie faszystowskim?... Nie chodzi tu o nasze zdanie w sprawie wewnętrznych stosunków innego kraju, lecz o stosunki między dwoma państwami”. (Str. 17).

„Fakt, że nasze (tzn. rosyjskie i niemieckie) poglądy i systemy polityczne są różne, nie może być przeszkodą w ustaleniu dobrych stosunków politycznych”. (Str. 19).

Przemówienie z dnia 31 października 1939.

„Dziś... Niemcy są państwem dążącym w kierunku jak najszybszego zakończenia wojny i w kierunku pokoju, podczas gdy Wielka Brytania i Francja, które jeszcze wczoraj deklamowały przeciwko agresji, wypowiadają się za dalszym jej prowadzeniem i sprzeciwiają się zawarciu pokoju”. (Str. 28).

„Brytyjczycy, a z nimi ich francuscy pomocnicy wojenni, wypowiedzieli coś w rodzaju

„ideologicznej” wojny przeciwko Niemcom, wspomnienie wojen religijnych z dawnych czasów!... Czyż warstwy rządzące w Wielkiej Brytanii i Francji mają zawlec nas napowrót w czasy Średniowiecza, przesądów i kulturalnej ruiny?... a ideologii nie można zniszczyć siłą... nie można jej zlikwidować za pomocą wojny. Jest zatem rzeczą nie tylko pozbawioną sensu ale zbrodnią prowadzić wojnę dla „zniszczenia hitleryzmu” pod płaszczykiem walki o „demokrację”. (Str. 29).

„Politykę prowadzenia wojny z Niemcami dyktuje warstwom rządzącym w Wielkiej Brytanii i Francji obawa przed utratą stanowiska supremacji w świecie”...

„Charakter imperialistyczny tej wojny jest oczywisty dla każdego, kto zechce zdać sobie sprawę z rzeczywistości i nie przymyka oczu na fakty. W tym wszystkim można zobaczyć kto jest zainteresowany w prowadzeniu wojny o supremację w świecie. Z pewnością nie klasa robotnicza”. (str. 30).

„Tu (tzn. w Rosji) rozwój poszedł po linii wzmacniania naszych przyjaznych stosunków, rozszerzania praktycznego naszej współpracy i udzielania Niemcom politycznego poparcia w ich wysiłku pokojowym”. (p. 31).

„Utrzymywaliśmy zawsze, że silne Niemcy są niezbędnym warunkiem trwałego pokoju w Europie. Byłoby śmieszne sądzić, że Niemcy mogą zostać po prostu „wytracone z gry”... Mocarstwa, które snują takie szalone i niebezpieczne marzenia zapominają o opłakanym doświadczeniu Wersalu”. „Dziś nasze stosunki z Rzeszą Niemiecką bazują się na stosunkach przyjacielskich i na naszej gotowości dopomożenia niemieckim wysiłkom nad ustanowieniem pokoju”. (Str. 33).

„...szczególnie prasa brytyjska i anglofilska spekulują często nad możliwościami nieporozumienia między Związkiem Sowieckim a Niemcami... Na usiłowania te wskazywaliśmy nieraz zarówno my, jak i Niemcy, odrzucając je jako daremne. Możemy tylko powtórzyć raz jeszcze, że zdaniem naszym dobre, sąsiedzkie, przyjazne stosunki między Związkiem Sowieckim i Niemcami nie są oparte na przesłankach przypadkowych i przemijającej natury, lecz na fundamentalnych interesach ZSRR i Niemiec”. (Str. na 73).

Chociaż komuniści brytyjscy, wtedy, tak jak zawsze popierali politykę rosyjską i stali w otwartej opozycji do „imperialistycznej wojny”, chociaż nawet wśród wybitnych brytyjskich polityków i publicystów byli tacy, którzy nie żyjąc co prawda sympatii dla komunizmu, skłaniali się do zawarcia pokoju, to jednak naród i wybrani przezeń przewodnicy, obdarzeni zdolnością przewidywania, głębokimi zasadami i nieugiętą wolą, prowadzili nadal wojnę poprzez popełnianie błędów, poprzez ponoszone klęski,

*) Mowy te zebrane zostały w tomie wydanym przez firmę Laurence and Withard w 1941 r., pt. „Pokojowa polityka Sowieców”, ze wstępem D. N. Pritt’a. Liczby w nawiasach odpowiadają stronom tego wydawnictwa.

i mimo ciągłej bliskości własnej klęski ostatecznej — prowadzili wojnę aż do złamania potęgi wojskowej Niemiec. W swych zobowiązaniach w stosunku do Polski byli hojni i szczerzy. Przede wszystkim rycerski duch Premiera został oczarowany wielkością czynów dokonanych przez Polaków na lądzie, morzu i w powietrzu — ujęły go też straszliwe ofiary polskiego narodu, któremu kraj pod jego pozostający rządami zawdzięczał tak wiele, a o czym nikt nie wiedział lepiej niż on sam.

W swym przemówieniu 1 sierpnia 1940 roku Lord Halifax cofnął się aż do osiemnastego stulecia, by wykazać kontrast między brytyjskim honorem a pruską perfidią. „Wówczas, tak jak w roku 1939 — mówił Lord Halifax, cytując Macaulaya*) — Anglia pozostała wierna swym zobowiązaniom”. A dalej używając słów Macaulaya potępił Halifax „samolubną żarłoczność” Fryderyka Wielkiego.

Fryderyk był tym, który układem z Katarzyną rosyjską oraz niechętną Marią Teresą jako trzecim partnerem nakarmił swą „żarłoczność” zniszczeniem niepodległości Polski.

Obaj, p. Churchill i p. Eden, są ludźmi honoru, żaden z nich nie jest cynikiem jakim był Fryderyk Wielki, żaden nie ma w sobie nic z „żarłoczności”, którą obdarzony był Fryderyk Wielki i Katarzyna. Obaj czynili wysiłki zupełnie szczerze by uratować niepodległość Polski. Obaj przegrali.

Już na samym początku zostali wywiezieni w pole przez Stalina, który ma dużo więcej od nich wspólnego z Fryderykiem i Katarzyną. Dzięki swemu wysiłkowi by uratować jedną połowę Polski przez poświęcenie drugiej połowy, zaprzepaścili całość. Stalin sam wybrał sobie pole i na tym polu walkę przeprowadził. Jest rzeczą oczywistą, że pp. Eden i Churchill nie rozumieli tezy przedstawionej przez Sowietów wystarczająco dobrze, a tezy Polskiej nie rozumieli w ogóle. Jest oczywiste, że mieli złych informatorów i złych doradców. I oni i Stalin używali tych samych słów ale w zupełnie innym sensie. Zawsze i nieodmiennie zwyciężał sens, który im nadawał Stalin.

Formalnie byli oni często zgodni w swych słowach ze Stalinem. Nie widzieli jednak treści, którą forma przed nimi zakrywała, choć doskonale ją widział Stalin. I zupełnie tak samo jak słowa oznaczały w końcu to, co chciał Stalin, tak też i treść, powoli, w miarę jak opadała z niej łuska, okazywała się treścią, która wyrażała nie ich a Stalina wolę. Ich oświadczenia publiczne, szczególnie te, które składali przed Izłą Gmin roją się od historycznych nieścisłości i brak im jakiegokolwiek głębszego wejrzenia w historię Europy Wschodniej i we wschodnio-europejską sytuację. Prawda, że i rosyjskie publiczne oświadczenia na ten temat zawierają wiele błędów i fałszywych przedstawień. Lecz te wszystkie błędy i fałszerstwa mają cel — służą one planowej polityce i pomogły tej polityce odnieść triumf.

W odróżnieniu od Stalina, pp. Eden i Churchill zostali oszukani przez swą własną opinię krajową, ponieważ brytyjska opinia publiczna nigdy nie była oświecana przez odpowiednią prasę brytyjską. To, co w związku z Polską i z innymi sprawami podawały dzienniki, nie było oświecaniem, lecz propagandą.

Pp. Churchill i Eden traktowali rzeczy, których treść wcale nie jest istotna jak np. „Linia Curzona” — jako coś posiadającego znaczenie istotne. To, czego Stalin chciał, przede wszystkim, to była linia graniczna, którą ułożył między sobą a Hitlerem, tzw. „Linia Mołotow-Ribbentrop”. Uzyskał ją dzięki temu, że nazwał ją, lub lepiej — pozwolił nazwać pp. Churchillowi i Edenowi, prasie i radiu — „Linia Curzona”. Gdyby rzeczywiście stało się ponownie na stanowisku „Linii Curzona”, jak to proponowano w roku 1919, prawo Polski do terytoriów na wschód od niej położonych nie ucierpiało by na tym. Przynależność tych ziem stałaby za decyzją na przyszłej konferencji pokojowej i nie może być nawet cienia wątpliwości, że gdyby przewały zasady legalizmu i uczciwego postępowania, Rzeczpospolita Polska zostałaby utwierdzona w posiadaniu terytorium na przestrzeni do granicy, która ku zadowoleniu obu stron została ustalona w Rydze w roku 1921 i została zaakceptowana bez najmniejszego sprzeciwu przez wszystkie inne mocarstwa. Była to linia, która reprezentowała uczciwy kompromis po niezdeczydowanej wojnie, linia, która stanowi słuszne wyrównanie rozmaitych innych linii wytyczanych w ciągu rozbiorów, linia odpowiadająca życzeniom zainteresowanej ludności i rzeczywistości gospodarczej, politycznej oraz prawnej.

Pp. Churchill i Eden przyjęli zasadę „kompensanty”. Czyniąc to dali sankcję legalności na stratę Wschodniej Polski, nie ocalając zresztą Polski Zachodniej. Co gorzej, narzucili Polsce straszliwe dziedzictwo, ponieważ cesja terytoriów niemieckich, znacznie rozleglejszych niż było to życzeniem Narodu Polskiego i niż opiewały żądania prawowitego Polskiego Rządu, musi podnieść i utrwalić do niespotykanego dotąd stopnia wiekową nienawiść między Polakami a Niemcami.

Zamiast go rozwiązać, uczyniono problem Polski jeszcze bardziej trudny i bardziej zgubny niż kiedykolwiek. Niemcy nigdy nie zgodzą się na utratę swych wschodnich terytoriów. Co gorzej, daje im to w rękę żądanie, które Rosja — nie Polska — uznaje za słuszne, gdy ustali się w przyszłości modus vivendi między nią a Niemcami. Da to Rosji potrzebny środek stałego sprzężenia się z Niemcami i zapobieżenia ciężarom Niemiec ku Europie Zachodniej; w rzeczy samej pozwoli to Rosji utrzymywać Niemcy w stałej wrogości w stosunku do Zachodu. Główne żądania, które Niemcy wysuną i muszą wysunąć pewnego dnia — żądania swych tery-

*) Wybitny historyk angielski zeszłego stulecia.

toriów wschodnich, nie będą mogły załatwić mocarstwa zachodnie, nie załatwi tego Polska, lecz może to zostać załatwione przychylnie jednym pociągnięciem pióra przez Rosję i tylko przez Rosję.

Jakimkolwiek zmianom uległaby wtedy sytuacja Polski, wygrał Niemcy. Rosja nie przegra, przegra jedynie Polska.

Nie ma co do tego wątpliwości, że pp. Churchill i Eden byli szczerzy, gdy żądali silnej, demokratycznej i niepodległej Polski. Równie szczerze było i jest społeczeństwo Anglii. Tego samego chce również Stalin, lecz dla niego Polska silna, demokratyczna i niezawisła, znaczy Polska silna jako część składowa Rosyjskiego Imperium, demokratyczna, jak demokratyczne jest Imperium Rosyjskie i niezawisła od Europy. I postawił on na swoim, ponieważ nadał słowom takie znaczenie, jakie chciał im nadać.

Polska dzisiejsza, w znaczeniu europejskim, które jest tak samo znaczeniem polskim — jest nie tylko słaba, lecz bezsilna; nie tylko niedemokratycznie, lecz tyrańsko rządzona; nie tylko zależna, lecz wasalna. Nie czyni to żadnej różnicy, że znajdziemy tam paru demokratów, lub paru Polaków z Londynu, jak p. Miłkołajczyk lub prof. Grabski — którzy zasiadają w „rządzie warszawskim”. „Rząd” ten pozostaje i tak instrumentem w ręku Kremla. Nie ma on mocy opierania się, nawet gdyby chciał się oprzeć, lub mocy zmiany decyzji rosyjskiej, ponieważ środki przymusu, jakie stoją do dyspozycji państwa nowoczesnego, a specjalnie już państwa rosyjskiego, są nieprzewycięzione. Przymus niemożliwy do odparcia, idzie nie tylko z zewnątrz i z góry, lecz i od wewnątrz i z dołu. „Rząd” jest tylko wiernopoddającym przekazicielem i mało znaczy w porównaniu z sowietami miejskimi i wiejskimi, z sędziami i sądami przysięgłych, z zarządami bankami, fabrykami, komunikacją, spółdzielniami, gospodarką energią elektryczną; w porównaniu ze związkami zawodowymi, partiami politycznymi i doprawdy, z wszelkim życiem zorganizowanym wraz z wydawnictwem książek, czasopism i radiem. Nie będzie miało żadnego znaczenia, czy odbędą się wybory czy nie, ponieważ jeśli się odbędą, to będą przygotowane z góry przez prawdziwą administrację kraju tzn. w ujęciu ostatecznym przez organy rosyjskiej władzy. Gdyby się te wybory w ogóle miały odbyć, ich jedynym celem będzie przekonać tych, którzy ciągle jeszcze nie mogą uwierzyć, że Naród Polski chce Polski silnej, demokratycznej i niepodległej w tym sensie, jaki słowom tym nadaje Stalin a nie panowie Eden, Churchill i Truman.

Lecz jeśli słowa jeszcze znaczą to, co znaczą, to faktem jest, że Polska straciła swą niepodległość i że Polacy stracili swobody osobiste i to w takim stopniu jaki byłby nie do pomysłenia pod rządami Habsburgów, Hohenzollernów lub nawet carów. To, czego dokonali Fryderyk, Katarzyna i Maria Teresa zostało da-

leko prześcignięte przez dzieło pp. Churchilla, Trumana i marsz. Stalina, a dokonane we własnym mieście Fryderyka w Poczdamie i jego własnym pałacu Sans Souci.

Utrata niepodległości jest tym bardziej straszna, gdy nosi zewnętrzne pozory niepodległości odzyskanej. Katastrofa Polski jest o tyle bardziej straszna, że jest niezrozumiała przez świat zewnętrzny, który tak łatwo potrafi rozumieć złe. Jest to nieszczęście znoszone w odosobnieniu. To niezrozumienie pogłębia i poszerza przepaść oddzielającą Polskę od Europy i odrywa ją od dziedzictwa chrześcijańskiego i grecko-rzymskiego, dziedzictwa, które było jej udziałem zawsze — nawet pod carami.

Katastrofa staje się tym straszniejsza, że staje przed oczyma rozmiary przerażających poświęceń, które czyniono na próżno, straszliwych krzywd poniesionych nie tylko z rąk wspólnego wroga, lecz i z rąk pozornego przyjaciela — deportacja milionów polskich kobiet, dzieci i mężczyzn w głąb Rosyjskiego Imperium, gdzie jeszcze dziś setki tysięcy spośród nich usycha z tęsknoty za utraconą Ojczyzną i ginie z pracownia, głodu chorób i żyje w klimacie surowym, do którego nie są przyzwyczajeni, w miejscowościach rozrzuconych tak daleko, jak Komi lub Kamczatka. Staje przed oczyma nieludzkie wyćpienie Armii Krajowej, elity polskiego narodu przez pozornych oswobodzicieli po bohaterskiej i krwawej walce dla wspólnej sprawy; aresztowania i deportacje, nie ziszczenie się dalekosiężnych, lecz przecie nie nierealnych zobowiązań i przyrzeczeń, złamanych przez niegdyś przyjaciela i sprzymierzeńca — Wielką Brytanię i wreszcie, jako najboleśniej- sze ze wszystkiego, zabór i rozbiór dokonany przez Rosję z przyzwoleniem Wielkiej Brytanii i St. Zjednoczonych, który z jednej połowy Polski uczynił część Imperium Rosyjskiego, a z drugiej bezsilnego wasala tegoż samego Imperium.

Lecz katastrofa polska nie jest wyłącznie katastrofą polską. Jest ona punktem szczytowym o wiele większej katastrofy, która ogarnęła ponad sto milionów europejczyków od morza Arktycznego aż po granice Grecji.

Wśród świetnych zwycięstw oręża brytyjskiego, stoi ona jak ciemna plama okropnej klęski politycznej. Wśród znaków zapytania, które cechują naszą dzisiejszą rzeczywistość, jedna rzecz jest tylko pewna do granic możliwości istnienia rzeczy pewnych w polityce, a mianowicie, że to, co zostało uczynione w Teheranie, Jałcie i Poczdamie nie może trwać, że katastrofa jest tak głęboka i o tak szerokim zasięgu, że nie da się jej ani załatać byle czym, ani przejść nad nią do porządku. Wielka Brytania będzie musiała pewnego dnia stanąć przeciwko skutkom tej katastrofy we własnej obronie, w obronie własnego narodowego i imperialnego bezpieczeństwa przyszłości swojej własnej i przyszłości Europy, która, jak o tym Anglia się przekona, jest nierozdzielnie z nią złączona.

F. A. Voigt



(Rys. Marian Kościółkowski)

Nad grobem kolegi

*Pośród drzew tych milczących, nieznanych —
O przyjacielu, przywalony darnią
W niebo twarzą spoglądasz umarłą
W granatowej wieczności obszary...*

*Dokąd płyniesz, kiedy wiatr kołysze
Naszych marzeń dawnych liście złote —
Czy za progiem twojej śmiertelnej ciszy
Nie ma miejsca na ludzką tęsknotę?..*

*Czy tak samo jak tu serce wzbiera
Zalem ciężkim i gniewną rozpaczą,
Kiedy dzień za dniem nam przemienia
Drogę prostą w wędrówkę tułaczą?*

*Wiem. Nie możesz. Nie odpowiesz nigdy.
Nie przebijesz się słowem przez ciemność —
Ale modłę się: — w dniach, które idą,
Przyjacielu poległy — bądź ze mną!...*

Jan Olechowski

Demokracja czy „demokracja“?

Bujny rozwój życia politycznego we Włoszech po dwudziestu latach istnienia ustroju faszystowskiego wskazuje dobitnie, że właściwe naturze ludzkiej elementy ukochania wolności i swobody indywidualnej nie mogą być zniszczone ideologią opartą na kulcie myśli i woli narzuconej przez jednego człowieka. Zmechanizowanie osobowości ludzkiej do roli posłusznego i bezkrytycznego wykonawcy imperatyw dyktowanych z góry, bez możliwości wypowiedzenia swoich własnych poglądów — w konsekwencji wywołuje zawsze reakcję o charakterze gwałtownych przemian ideologicznych i socjalnych. Myśl ludzka trzymana przez czas dłuższy w okowach nie zawsze znajduje — z chwilą jej wyzwolenia — właściwą drogę po której ma kroczyć. Nic też dziwnego, że w nowych warunkach błędząc i poszukując ulega rozdrobnieniu, nie zawsze pożytecznemu. Dopiero po pewnym czasie zaczyna się zarysowywać wyraźnie kilka linii generalnych jej rozwoju. Dokładnym obrazem takiego stanu rzeczy jest życie polityczne Włoch pofaszystowskich, które zaczyna już wyłaniać z siebie prądy i kierunki myśli politycznej dające się podzielić na dwie zasadnicze grupy:

- 1) grupę prawdziwej demokracji w zachodnim tego słowa znaczeniu, oraz
- 2) grupę pseudodemokracji, będącej tylko parawanem dla hasel totalitarnych, importowanych z zewnątrz.

Walka pomiędzy tymi dwoma kierunkami politycznymi doprowadziła do zniknięcia, względnie pochłonięcia mniejszych partii przez stronnictwa bardziej masowe, względnie o podobnym programie politycznym. Liczba przeszło 45 partii, które istniały jeszcze przed miesiącem, zaczyna obecnie ulegać dość szybkiemu zmniejszeniu, oczyszczając tym samym atmosferę polityczną kraju. Wyrobinienie sobie właściwego poglądu na stosunki panujące obecnie we Włoszech nie jest rzeczą łatwą, istnieją bowiem liczne stronnictwa nie posiadające jeszcze sprecyzowanego programu ideowo-politycznego, względnie też odstę-

pujące nieraz od linii wytycznych swoich kierunków, w zależności od takiej czy innej sytuacji politycznej.

Ośrodkiem odrodzonego ruchu politycznego Włoch stały się Komitety Wyzwolenia Narodowego (*Comitato della Liberazione Nazionale*) oparte na koalicji sześciu partii, których czynna działalność rozpoczęła się w czasie okupacji niemieckiej. Składają się one z Komitetu Centralnego oraz z komitetów prowincjonalnych. Ich autorytatywna władza i opinia w rozmaitych problemach życia, czy to państwowego, czy społeczno-gospodarczego, doprowadziła do powstania prawdziwego państwa w państwie. Spotykamy się nieraz z tym, że komitety prowincjonalne często ignorują zarządzenia rządu włoskiego, a czasami nawet i władz alianckich, doprowadzając tym samym do jeszcze większego chaosu administracyjnego i zamieszania w stosunkach wewnętrznych kraju.

W skład Komitetu Wyzwolenia Narodowego wchodzi następujące partie: chrześcijańskiej demokracji, liberalów, demokratycznej pracy, aktywistów, socjalistów i komunistów. Zasadniczy stosunek sił partyjnych w ramach komitetów jest pomyślany jako układ *al pari*, jednak w praktyce okazało się, że przodujący, a co gorzej decydujący głos posiadają komuniści lub współpracująca z nimi część socjalistów włoskich. Opanowanie większości Komitetów Wyzwolenia przez komunistów stwarza im doskonałe warunki do „legalnego” działania w duchu swoich własnych interesów i celów.

Wystawianie kandydatów na burmistrzów względnie szefów gminy odbywa się poprzez Komitety Wyzwolenia, które też filtrując dokładnie każdego kandydata przepuszczają tylko tego, który, z ich punktu widzenia jest na to stanowisko odpowiedni. W praktyce przechodzą przeważnie kandydaci komunistyczni. Nic też dziwnego, że Komitety Wyzwolenia Narodowego, a ściślej mówiąc ich dyktatorskie zapędy, stają się przedmiotem słusznych i nieraz gwałtownych

nych ataków ze strony tych partii, które nie wchodzi w skład tych komitetów. „Italia Nuova” z dnia 14 października b. r., rozpatrując sytuację powstałą w północnych Włoszech pisała: „Komitety Wyzwolenia Narodowego od dłuższego czasu dążyły do zyskania dominującego wpływu, przypisując sobie nawet prawo do rządów na prowincji. Znamiennym był fakt wysłania zbiorowego protestu przez prefektów i Komitety Wyzwolenia Narodowego w Lombardii do alianckiego komisarza w Cremonie, kwestionującego jego władzę jurysdykcyjną”.

Wyżej zacytowane zdania jednego z poważniejszych dzienników włoskich wykazują wyraźnie, że Komitety Wyzwolenia Narodowego stają się ogniskiem nie tylko sabotażowania zarządzeń wydawanych przez rząd włoski, lecz także stanowią ośrodek agitacji skierowanej przeciw aliantom. I tutaj dochodzimy do pytania najciekawszego. Dlaczego Komitety Wyzwolenia, na których jest oparty rząd włoski prowadzą działalność przeciwną intencjom rządu? Wy tłumaczenie tego zjawiska mogłoby polegać na tym, iż Komitety opanowane przez komunistów i socjalistów prowadzą politykę idącą w kierunku zabezpieczenia własnych interesów, czego nie może uczynić rząd, związany dyrektywami Alianckiej Komisji Kontrolnej, wykonującej swoją władzę z tytułu uprawnień zawartych w warunkach zawieszenia broni.

Partia komunistyczna Włoch (*Partito Comunista Italiano*) do niedawna była jeszcze jedną z największych i najsilniejszych partii włoskich, opartą na silnej i sprężystej organizacji. Jednak obecnie partia ta zaczyna tracić coraz bardziej na swoich wpływach na skutek rozwiewania się „mitu” o Rosji Sowieckiej, oraz z powodu całego szeregu aktów gwałtu przez nią popełnianych wobec swoich przeciwników politycznych i wobec ludności cywilnej. Pomimo tego pozycja jej jest jeszcze bardzo silna. Wchodząc w skład koalicji rządowej zdolna poobsadzać najważniejsze resorty gabinetowe swoimi ludźmi, zabezpieczając sobie tym samym możliwość „legal-

nego” działania drogą wydawania dekretów państwowych będących niczym innym, jak obwarowywaniem swojej pozycji przed atakami ze strony innych stronnictw. Wystarczy tu wspomnieć o wywiadzie udzielonym przez ministra sprawiedliwości i przywódcę włoskiej partii komunistycznej, który oświadczył, że sądownictwo ma stać na straży interesów klasowych i demokracji postępowej. Wiadomo, że w oczach komunistów „demokratami postępowymi” są tylko sami komuniści względnie te stronnictwa lub ten odłam społeczeństwa, który idzie na pasku ich propagandy. Pod tym też kątem widzenia odbywa się obecnie wymiar sprawiedliwości we Włoszech. Zerwanie jurysdykcji z zasadą prawdy obiektywnej, a wprowadzenie czynnika „interesów klas” upodabnia praktycznie sądownictwo włoskie do sądownictwa Rosji Sowieckiej i krajów zwasalizowanych, a między innymi do sądownictwa „bierutowszczyzny”. Na takie jednak rozwiązanie zareagował bardzo silnie świat prawniczy, składając publiczne protesty, wskutek czego wielu sędziów pod różnymi pozorami przeniesiono na emeryturę. Na silny opór natrafia Togliatti w izbie adwokackiej, która zażarcie broni zasady niezależności sądów. Widzimy więc, że działanie komunistycznego ministra sprawiedliwości napotyka jednak na pewną przeszkodę na odcinku samego sądownictwa.

Komunizowanie społeczeństwa włoskiego odbywa się także i inną drogą, a mianowicie poprzez związki zawodowe i rozmaitego rodzaju organizacje czy też stowarzyszenia robotnicze. Tutaj komuniści i socjaliści posiadają stanowisko bardzo mocne. We Włoszech obecnie, biorąc rzecz praktycznie, ten tylko może otrzymać pracę, kto należy do związku zawodowego (faszystowski ustrój korporacyjny). Przynależność zaś do związku zawodowego lub innej organizacji jest uwarunkowana posiadaniem legitymacji partii komunistycznej. Ten więc kto chce otrzymać pracę, musi być komunistą. Takie postawienie sprawy przez komunistów i współpracujących z nimi socjalistów doprowadza tylko do wewnętrznego osłabienia organizacji par-



(Rys St. Westwalewicz)

Piazza del Popolo w Rzymie

tyjnej i do szerokiego niezadowolenia pośród ludności, która już zaczyna coraz śmielej i ostrzej występować przeciwko zaczątkom „dyktatury proletariatu”. Spotykamy się już nieraz z takimi wypadkami, że niektórzy robotnicy włoscy należą do partii komunistycznej, mając na widoku szybkie znalezienie zatrudnienia, oraz jednocześnie do innej partii, ale już z przekonania. To zagadnienie, tak zwane „podwójnej legitymacji” stanowi obecnie jeden z najważniejszych problemów wewnętrznych komunistów włoskich.

Drugą partią opartą na ideologii marksistowskiej jest partia socjalistyczna. Socjaliści włoscy, tak jak i komuniści, posiadają także ważne teki ministerialne w rządzie. Nenni, przywódca partii, jest jednocześnie wicepremierem i wysokim komisarzem od spraw czystki. Posiadając tak ważne stanowisko wódz socjalistyczny dąży wszelkimi siłami do zmarskizowania pewnych warstw społecznych we Włoszech drogą zakulisowej gry, prowadzonej wspólnie z komunistami. Ta współpraca z komunistami na

odcinku „proletaryzacji” społeczeństwa włoskiego i walki przeciw wszelkim żywiołom nastawionym wrogo wobec komunizmu, miała doprowadzić w planach Nenni’ego do całkowitej fuzji obu partii i utworzenia nowego wspólnego stronnictwa mas pracujących, opartego na ideologii marksistowskiej. Jednak ten projekt Nenni’ego na Kongresie Głównym Włoskiej Partii Socjalistycznej spotkał się z silną opozycją ze strony niektórych socjalistów, jak Zaniboni, Modigliani i Saragat (ambasador włoski w Paryżu), którzy zagrozili nawet wystąpieniem ze stronnictwa w wypadku realizacji tego projektu. Wytworzenie się takiej sytuacji wywołało ferment w ramach samego stronnictwa i kryzys wewnątrz partii, który trwał przez czas dłuższy. Chociaż Zarząd Główny Partii nie powziął wówczas ostatecznej decyzji w sprawie połączenia się z partią komunistyczną, to w praktyce fuzja ta nastąpiła już w licznych sekcjach prowincjonalnych. Dopiero w ostatnich dniach października Nenni na skutek silnej presji ze strony tak zwanych „młodych”

partii socjalistycznej musiał zarzucić swój projekt i oficjalnie oświadczył, że „partia socjalistyczna utrzyma swoją niezależną linię polityczną działania”. Podkreślił wprawdzie, że socjaliści włoscy będą współpracowali ideologicznie nadal z partią komunistyczną, lecz jednocześnie zrobił niedwuznaczny ukłon pod adresem chrześcijańskiej demokracji, zapraszając ją do ścisłej współpracy nad odbudową kraju i demokracji we Włoszech. Zmiana stanowiska Nenni'ego pozostaje w ścisłym związku ze zmianą taktyki przez partie socjalistyczne w innych krajach europejskich, a szczególnie we Francji, gdzie socjaliści zerwali całkiem jawnie z komunistami przychylając się raczej do koncepcji zbliżenia z „*Mouvement Populaire Français*”, będącym niczym innym, jak francuską chrześcijańską demokracją. Wprawdzie Blum za swoją politykę wobec komunistów zasłużył sobie na miano „reakcjonisty” (jedna z audycji radia moskiewskiego), to jednak takie jego stanowisko jako przywódcy socjalistów francuskich niewątpliwie miało wielki wpływ na partię socjalistyczną włoską, zwłaszcza, jeżeli się weźmie pod uwagę przyjaźń osobistą, która łączy niektórych socjalistów obu krajów. Jaka zostanie ostatecznie powzięta przez partię socjalistyczną linia wytyczna jej działania, trudno jest w danej chwili przewidzieć. Jest jedno tylko pewne, że koncepcja fuzji z komunistami rozbiła się, a Nenni z powodu swojej chwiejnej i niestalej polityki został nazwany „kameleonem politycznym”.

Trzecią wreszcie partią polityczną włoską, posiadającą charakter radykalny, wzorującą się częściowo na marksizmie, jest partia aktywistów (*Partito d'Azione*). Nie jest pozbawiony pikanterii fakt, że Partia Czynu, pomimo swego skrajnego charakteru i ścisłej współpracy z komunistami i socjalistami, reprezentuje interesy ciężkiego przemysłu włoskiego, a więc w oczach komunistów i socjalistów jest partią kapitalistyczną. Pomimo jednak tak olbrzymiej rozpiętości klasowej porozumienia z partiami „proletariatu” w szerokiej akcji przeciwko kierunkom umiar-

kowanym centrowym i prawicowym. Jak utrzymują złośliwi, „*Partito d'Azione*” finansuje także częściowo ruch socjalistyczny. Dziwne to zjawisko tłumaczy się tym, że ciężki przemysł we Włoszech północnych widząc niebezpieczeństwo grożące mu ze strony komunistów, poszedł z nimi na współpracę w celu osłabienia ich zapędów „reformatorskich” drogą częściowych ustępstw ze swoich interesów.



(Rys. A. Werner)

Kościół S. Maria Maggiore w Rzymie

Poza tymi trzema partiami lewicowymi we Włoszech istnieje cały szereg innych mniejszych partii, opartych bądź na hasłach socjalistyczno-komunistycznych, bądź też będących jeszcze bardziej skrajnymi od komunistów. Spośród nich na pierwsze miejsce wybija się partia anarchistyczna, która poza anarchistami hiszpańskimi (*Partido anarquista ibérico*) jest bodajże ostatnią partią anarchistów na globie ziemskim. Historia partii anarchistycznej we Włoszech swoimi początkami sięga czasów Proudhona, Ovena, Godvena, Bakunina. Wychodząc z tradycyjnego założenia anarchi-

stycznego „wojny wszystkich przeciw wszystkim” jako pierwszego etapu budowy szczęśliwego i równego świata, anarchiści włoscy potrafili skonkretyzować i uaktualnić swój program polityczny, dla którego nie ma żadnej świętości oprócz „wolności ducha ludzkiego”. Pod tym kątem widzenia odbywa się działalność polityczna anarchistów włoskich, którzy tym razem występują nadzwyczaj ostro przeciwko wszystkim innym stronnictwom we Włoszech, przeciwko ustrojowi państwowemu, społecznemu i gospodarczemu. Szczególnie silnie są atakowani przez nich komuniści i socjaliści—jako odstępcy od czystej i pierwotnej idei komunizmu. Stąd też anarchiści włoscy nazywają siebie nieraz „komunistami wolnymi” (*comunisti libertari*). Wystarczy wziąć do ręki numer ich pisma „*Umanità Nuova*” (Nowa ludzkość) ażeby się przekonać, kto jest przez nich atakowany. Dosłownie wszyscy: Truman i Churchill, Attlee, Blum, a najwięcej Stalin. Należy zaznaczyć, że najbardziej antykomunistycznym pismem we Włoszech jest właśnie ich organ partyjny. Sama zaś partia grupuje w swoich szeregach przeważnie intelektualistów, chociaż w ostatnich czasach zaznacza się wielki napływ członków z innych warstw społeczeństwa. Na zjeździe ogólnopartyjnym, który odbył się w Carra, został powzięty cały szereg rezolucji, domagających się między innymi stworzenia jednej wielkiej i prawdziwej rodziny narodów w oparciu o czynniki prawdziwej wolności i równości wszystkich. Wielu członków partii anarchistycznej brało udział w hiszpańskiej wojnie domowej po stronie republikańskiej.

Te wszystkie wyżej wymienione partie tak zwanej lewicy włoskiej, z wyjątkiem anarchistów, można by było zaliczyć do grupy pseudodemokracji. Wiadomo bowiem powszechnie jakimi metodami posługują się komuniści. Kto nie jest komunistą, staje się z miejsca „wrogiem mas pracujących” i zostaje napiętnowany jako „faszysta” lub w najlepszym wypadku jako „reakcjonista”. Walka przeciwko komunistom była do niedawna bardzo trudna ze względu na ogólną bierność społeczeń-

stwa włoskiego. Dopiero w ostatnich miesiącach zaczął się zarysowywać potężny blok partii antykomunistycznych, który niewątpliwie posiada poparcie większości narodu włoskiego.

Pierwszą pozycję w tym bloku zajmuje chrześcijańska demokracja, która jest bodajże najliczniejszą partią włoską. Program jej jest oparty na zasadach chrześcijańskich, chociaż nie jest jeszcze dokładnie opracowany i wykończony. Partia ta posiada poparcie Watykanu, a tym samym i duchowieństwa włoskiego. Nie posiada jednak ona ścisłej linii działania, co powoduje, że jest partią bardzo elastyczną. Wchodząc w skład koalicji rządowej prowadził nieraz akcję przeciwstawiania się „zapędowi dekretowym” ministrów komunistyczno-socjalistycznych. Do jawnej opozycji wobec komunistów chrześcijańska demokracja dotychczas nie przystąpiła, co stawia ją w świetle dwuznacznym, zwłaszcza jeżeli chodzi o jej stanowisko wobec problemów ustrojowych, które wysuwają się obecnie na plan pierwszy we włoskim życiu politycznym. Opinia co do przyszłości monarchii w ramach nowego stronnictwa jest podzielona. Część wypowiada się za republiką, część za monarchią. Zajęcie wyraźnego stanowiska przez władze partyjne w tej sprawie zostało uzależnione od wyników plebiscytu w tej sprawie, zarządzanego pośród członków partii.

Inaczej przedstawia się natomiast sytuacja w partii liberalnej. Stanowiska zajęte przez przywódców tej partii nie są ze sobą zgodne. Podczas gdy Benedetto Croce, słynny myśliciel i filozof, duchowy wódz liberałów, wypowiedział się za monarchią, to sekretarz partii, adwokat Catani, oświadczył, iż partia będzie popierała ruchy o tendencjach republikańskich. Rozbieżność zdań między jej przywódcami może doprowadzić do pewnego fermentu w ramach partii. Jak się jednak ogólnie przypuszcza, zwyciężą raczej nastroje monarchistyczne, zwłaszcza, że liberałowie uważają, że postępowi komunizm we Włoszech można się przeciwstawić drogą zapewnienia krajowi ładu i poszanowania

prawa, które według ich tradycji zawsze było związane z instytucją monarchii.

Szóstą i ostatnią partią, wchodzącą w skład Komitetu Wyzwolenia Narodowego, stanowiącego podstawę koalicji rządowej, jest demokratyczna partia pracy, („*Partito Democratico del Lavoro*”), która w układzie politycznym stronnictw włoskich zajmuje pozycję centrową. Partia ta jest nieliczna i jak się przypuszcza może stracić swoją niezależność przez wejście w skład „Unii Odbudowy Narodowej” założonej w końcu października przez Francesco Saverio Nitti, byłego premiera włoskiego z okresu pierwszej wojny światowej i wodza antyfaszystowskich kierunków lewicowych w latach dochodzenia do władzy Mussoliniego. Nitti jest uważany powszechnie za zwolennika monarchii i zażartego przeciwnika komunizmu. Przemawiając w Neapolu wiele uwagi poświęcił zagadnieniom komunizmu we Włoszech. Nitti stwierdził, że „we Włoszech będą mogły powstać rozmaite ustroje i formy życia politycznego, nawet takie, których jeszcze dziś nie przewidujemy, ale Włochy nie będą nigdy komunistyczne i bolszewickie...” Nic też dziwnego, że staje się on obecnie głową wszystkich ruchów antykomunistycznych we Włoszech. O powodzeniu jego akcji tworzenia „Unii Odbudowy Narodowej” świadczy fakt, że w przeciągu kilku dni neapolitańczycy złożyli na cele stronnictwa 5.000.000 lirów.

„Front szarego człowieka” (*Fronte del'uomo qualunque*) będący najpotężniejszym z ruchów prawicowych, a tym samym wybitnie antykomunistycznym, prawdopodobnie wejdzie także w skład bloku Nitti'ego.

Dwa stronnictwa zajmują we Włoszech nieugięte stanowisko opozycyjne wobec rządu i koalicji partii rządowych: partia republikańska i partia demokratyczna. Pierwsza prowadzi tradycyjną, czysto dogmatyczną opozycję w stosunku do monarchii, wysuwając jako punkt pierwszy swego programu żądanie natychmiastowego usunięcia ustroju monarchistycznego i wprowadzenia republiki. Poza tym, jak się wydaje, republikańskie włoscy żadnego szerzej opra-

cowanego programu politycznego nie posiadają. Stanowią tylko ośrodek koncentracji całego ruchu republikańskiego we Włoszech.

Partia demokratyczna natomiast, chociaż nie jest partią masową, potrafiła stworzyć silną i elastyczną strukturę organizacyjną, zapewniającą jej poważną pozycję w życiu politycznym kraju. Jest ona partią „*par excellence*” monarchiczną. Swoim zakresem działania obejmuje cały szereg innych partii włoskich, posiadających także podłoże monarchistyczne. Do takich należy na przykład mało znana partia patriotyczna, ostatnio przekształcona na partię demo-patriotyczną, będącą konglomeratem pewnej części partii demokratycznej, liberalnej i patriotycznej.

Reasumując to wszystko możemy powiedzieć, że w obecnej chwili we Włoszech powstaje olbrzymi ruch antykomunistyczny, przybierający już nawet formę całkiem zorganizowaną. Naród włoski zaczyna powoli odwracać się od ideologii płynącej ze wschodu, która, według słów obecnego sekretarza partii socjalistycznej Pietro Nenni, wypowiedzianych jeszcze w roku 1919, „oznaczałaby wojnę domową, zniszczenie, głód i nędzę”.

Michał Janiszewski

Szecherezada

Kiedy do portów Balsory
Suną okręty Sindbada,
Gdy szatą wieczoru ciemną,
Niebo opadnie na Bagdad,
Twoją, kalifie, bezsenność
I oczy twoje przede mną
I groza w księżycu płynie,
Pająk zamknięty w szmaragdy,
Z miasta na wielką pustynię,
Ze śmierci w barwną dolinę;
W ciężki róż zapach w ogrodach
I nów nad Szecherezadą
Srebrzystą słowa melodią
Odchodzi, odchodzi młodość.
Wszystkie księżniczki z tych baśni
To ja, płomienna i blada
Kalifie, świt będzie jasny
I w świecie zmęczona zasnę
Jak gwiazda, która na niebie
Niepostrzeżona upada.

Artur Międzyrzeczki

Sytuacja polityczna Słowacji

Artykuł poniższy został nam nadesłany przez jednego z naszych słowackich przyjaciół. Stanowi on cenny wkład do zrozumienia sytuacji w Słowacji i tych skomplikowanych problemów, które w każdym z krajów Międzymorza stara się sowiecka okupacja wykorzystać, by mieć jak najwięcej powodów do interwencji.

Mogłoby się wydawać rzeczą zbyteczną mówić o politycznej sytuacji w Słowacji, gdyż dość powszechnie panuje przeświadczenie, że w nowej Czecho-Słowacji wszystko jest w porządku (z politycznego punktu widzenia), a ponadto Słowacja nie jest już niepodległa i to co dotyczy Czechosłowacji, dotyczy również Słowacji.

Taka ocena opiera się jednak o mylne założenia. Ani Czechosłowacja nie wygląda w rzeczywistości tak jak się to Beneszowi udało przedstawić opinii światowej, ani też zewnętrzna sytuacja polityczna Słowacji nie jest identyczna z sytuacją w Czechach, jak to wyjaśniają poniższe dane.

Sytuacja polityczna Słowacji w latach 1918-1945

By zrozumieć obecną polityczną sytuację Słowacji, należy uprzytomnić sobie polityczny jej rozwój w ciągu ostatnich 25 lat.

Największą partią Słowacji była od chwili powstania Republiki Czecho-Słowackiej w 1918 roku partia ludowa Andrzeja Hlinki (założona w 1905 r.). Ponad 60% ludności Słowacji było zwolennikami tego stronnictwa.

Przychylną postawę wobec programu partii ludowej zajmowali nawet liczni zwolennicy innych stronnictw politycznych. Autonomiczny program partii Hlinki, opierający się na słowacko-czeskim paktie w Pittsburghu (USA 1918 r.) stał się w związku z tym najtrudniejszym wewnętrznym zagadnieniem Czechosłowacji, stale zagrażając trwałości republiki, ponieważ kierownictwo partii było zdecydowane bronić praw narodu nawet bardziej niż samego istnienia Czechosłowacji. Czesi nie doceniali rosnącej siły słowackiego nacjonalizmu i nie rozumieli, że przy skrupowaniu rozwoju narodowego Słowakom nie mogło zależeć na egzystencji Czechosłowacji. Wyszło to na jaw, gdy w 1938 r. nastąpiły dla Czechów ciężkie czasy. Po monachijskim dyktacie w sprawie losu Czechosłowacji 29 września 1938 r., partia Hlinki zdecydowała się 6 października 1938 r. ogłosić autonomię Słowacji, utworzyć nie zważając na Pragę słowacki rząd i dać międzynarodowego poparcia. W tym dniu partię słowacką przytoczyły do partii ludowej Hlinki i utworzyły jedno słowackie stronnictwo — Partię Słowackiej Jedności Narodowej. Rząd praski uznał wszystkie posunięcia partii, a parlament czechosłowacki przyjął absolutną większością głosów ustawę o autonomii Słowacji wprowadzoną 22 listopada 1938 r. do konstytucji CSR.

Jednym z pierwszych kroków rządu słowackiego była likwidacja partii komunistycznej.

Od 6 października 1938 r. losy narodu słowackiego kształtowała jedyna partia słowacka, która cieszyła się pełnym i rzeczywistym poparciem całego narodu. W tym dniu rozpoczął się okres pełnego rozwoju słowackiego życia. 18 grudnia 1938 r. wybrano słowacki parlament, który zebrał się na swe pierwsze posiedzenie w dniu 19 stycznia.

Tymczasem centralizm czeski przyszedł znów do siebie i próbował 9 marca 1939 r. dokonać przy pomocy generałów zamachu stanu, by wprowadzić ponownie stary porządek, istniejący przed 6 października 1938 r. Usiłowania ich załamały się o wolę Słowaków kształtowania losu własnymi rękoma. Czeski zamach stanu doprowadził do wydarzeń z 14 marca 1939 r. Tego dnia słowacki parlament proklamował jednogłośnie samodzielność Słowacji.

Lata 1939-44 są latami narodowego, politycznego, gospodarczego, kulturalnego i społecznego rozwoju Słowaków we własnym państwie. Tym większe też są dziś cierpienia narodu słowackiego pod jarzmem sowieckim. Zagraniczna propaganda polityczna Benesza, wojna w Słowacji oraz metody sowieckie zamieniły republikę słowacką w kraj zniszczenia, a naród pozbawiły niepodległości.

Lata te niezależnie od skrępowania ze strony Niemców były dla Słowaków latami państwowej niepodległości.—

Sytuacja polityczna od chwili okupacji Słowacji przez czerwoną armię

A. „Nowa” Czechosłowacja. Druga wojna światowa przyniosła sukces czeskiemu centralizmowi, chociaż nie w tej mierze, jak to sobie wyobrażał polityczny gracz Benesz. Spodziewał się on ponownie panować nie tylko nad Czechami, lecz również nad Słowakami. To marzenie się nie ziściło tylko dlatego, że słowacy poplecznicy Benesza musieli się liczyć z faktem, iż republika słowacka była już dla Słowaków faktem i wielkim osiągnięciem. Powstała sfederowana Czechosłowacja, państwo wewnętrznie rozbite, o zupełnie odmiennych warunkach bytu w obydwu częściach. O ile w zachodniej, a zatem czeskiej części, Benesz usiłuje ratować demokrację, o tyle w części słowackiej wszystko jest oddane na łup komunistów. Czechosłowacja figuruje na zewnątrz jako jednolity organizm państwowy, znajdując się na wewnątrz w stanie wzrastającego fermentu, którego przebieg jest uzależniony od Moskwy. Wewnętrzny rozkład państwa rozpoczął się z chwili odstąpienia Rusi Karpackiej Związkowi Sowieckiemu. Proces rozkładu może iść dalej, gdy tylko Związek Sowiecki uzna za politycznie dogodne stworzenie sowieckiej republiki słowackiej. Nie ukrywa on bynajmniej swego zamiaru; komuniści słowacy rozpoczęli do dawna propa-

gandę za przyłączeniem do Związku Sowieckiego.

Słowacja, jako część składowa republiki czechosłowackiej, znajduje się więc w niepewnym położeniu i nie można przewidzieć dalszego przebiegu wypadków. Jedno jest już dzisiaj jasne: Słowacja jest atutem w ręku rosyjskim przeciwko możliwym usiłowaniom Benesa skierowanym o orientacji polityki czechosłowackiej ku zachodowi. W swej polityce wewnętrznej Słowacja jest już dziś domeną Związku Sowieckiego. Co to oznacza, zrozumie każdy, kto rzuci okiem na mapę i uprzytomni sobie geopolityczne położenie Słowacji w Europie Środkowej.

B. Partie w Słowacji dzisiejszej. Rozumie się, że partia Andrzeja Hlinki została zlikwidowana. Kierownictwo jawnego życia społecznego objęła partia komunistyczna, która uznała się za jedynie do tego powołaną nie dlatego, że miała najwięcej zwolenników, lecz z powodu poparcia udzielonego jej przez obecną w kraju armię sowiecką. Komuniści opanowali wszystkie instytucje bezpieczeństwa publicznego, dążąc pod pretekstem walki z faszyzmem do likwidacji wszystkich przeciwników politycznych. Komuniści wykorzystują gruntownie swe obecne położenie. Wynik już jest widoczny: NKWD deportowało dziesiątki tysięcy osób w niewiadomym kierunku. Oprócz partii komunistycznej istnieje w Słowacji jeszcze partia demokratyczna, której członkowie rekrutują się z przychylnych Czechom elementów luteranśko-kapitalistycznych. Ani z narodowego, ani też ze społecznego lub programowego stanowiska partia ta nie cieszy się sympatią wśród mas. Jest zniechędzona jako i partia komunistyczna przez naród, który w 82% jest katolickim. Słabe strony partii demokratycznej, mianowicie jej czechofilstwo, brak programu społecznego i wybitny luteranizm są wyzyskiwane przez komunistów do tego stopnia, że „demokraci” zajmują obecnie w stosunku do komunistów już tylko słabnącą postawę obronną. Komuniści stosują przeciwko zwolennikom „demokratów” terror grożący, że wszyscy „demokraci” będą z biegiem czasu aresztowani jako „burżuazyjni”. By pozyskać naród i jeszcze bardziej zdemoralizować „demokratów” komuniści rozpoczęli agitację antyczeską i antyżydowską. Pojawili się ulotki i plakaty ostrzegające naród przed „demokratami”. „Gdy nadejdzie czas, głosiły odezwy, wszyscy kapitaliści zostaną wytypieni”. By dać narodowi jakiś ideał, partia komunistyczna operuje ideą sowieckiej republiki słowackiej.

W takich warunkach absolutna katolicka większość narodu słowackiego jest pozbawiona możliwości obrony swych praw obywatelskich. Wszystkie usiłowania katolików dążące do założenia stronnictwa katolickiego komuniści i „demokraci” określają jako działanie faszystowskie. Za pomocą znajdujących się w posiadaniu komunistów radia i prasy podburza się jawnie naród przeciwko stronnictwu katolickiemu. Zarówno komuniści jak też demokraci wiedzą dobrze, że w wypadku powstania partii katolickiej byłoby skazani na polityczną zagładę; bronią

się więc wspólnymi siłami przeciwko założeniu tego stronnictwa. Wściekłość komunistów doszła do tego, że spowodowali oni przy pomocy NKWD na początku września deportację do Rosji dwóch starych polityków dr Micura i dr Beno. Oznacza to, że Rosjanom nie podoba się myśl powstania w Słowacji partii katolickiej. Mimo zniknięcia dr Micura oraz prałata dr Beno, próby założenia partii katolickiej nie ustają. Na czele tych dążeń stoją obecnie dr Juriga i Tomanek. Benes powitał z największą radością myśl utworzenia słowackiej partii katolickiej, spodziewając się zmniejszenia wpływów komunistycznych w Słowacji oraz wzmocnienia sił demokratycznych, przeciwstawiających się komunistom. Benes zwrócił jednak uwagę nowym przewodcom na grożące im niebezpieczeństwo nie mogąc ich zapewnić, że nie będą również deportowani. Ani Słowacy jednak, ani też komuniści czescy nie mają najmniejszej chęci zezwolić na istnienie słowackiej partii katolickiej. Gdy komunistyczny wicepremier Gottwald usłyszał o aprobacie dr Benesa na jej istnienie, dał mu wyraźnie do zrozumienia, że istnieje młodszy działacz, który mogliby objąć wysoki urząd premiera. Po tak wymownym napomnieniu wydaje się, że Benes nie będzie już próbował popierać powstanie partii katolickiej. Dotychczas nie otrzymano pozwolenia na istnienie tego stronnictwa i należy się liczyć z tym, że nie zostanie ono udzielone, dopóki cała władza w Słowacji będzie w rękach komunistów, lub dopóki takie zezwolenie na „jawną opozycję” nie będzie Rosji Sowieckiej potrzebne ze względów taktycznych.

C. Rząd w Słowacji. Bardzo mało ludzi wie za granicą, że Słowacja ma swój rząd. Organizacja rządu jest wzorowana na oryginale rosyjskim nie tylko w dziedzinie organizacji, ale też terminologii. Na wzór „Rady Naczelnej” Związku Sowieckiego utworzono w Słowacji „Słowacką Radę Narodową”. Istnieje według wzoru rosyjskiego rodzaj „przedstawicielstwa narodowego”, które jednak nie pochodzi z wolnych i demokratycznych wyborów, lecz zostało narzucone z góry. Słowacka Rada Narodowa miała władzę ustawodawczą i wykonawczą. Dopiero we wrześniu nastąpił podział władzy. Od tego czasu Słowacka Rada Narodowa, jako instytucja ustawodawcza, jest oddzielona od Rady Komisarzy, która działa jako organ egzekutywy. Rada Komisarzy jest podobną do sowieckiej Rady Komisarzy Ludowych, a sama nazwa „komisarz” (poverenik) jest wzorowana na rosyjskiej terminologii. Również zewnętrznie słowacki rząd komunistyczny zbliżył się do organizacji sowieckiej jak żaden inny rząd w Europie.

Jaki jest stosunek tego rządu do rządu praskiego i jakie podstawy konstytucyjne koordynują działalność tych dwóch organów państwowych? Problem stosunku rządu słowackiego do rządu praskiego jest źródłem wewnętrznej niestabilności republiki.

Dotychczas brak konstytucyjnej wytycznej, która by określiła kompetencje rządu, gdyż re-

publika nie ma jeszcze konstytucji. Już dziś jednak można stwierdzić następujące fakty:

- a) rząd słowacki („Rada Komisarzy”) jest niezależny od rządu centralnego;
- b) ministrowie słowaccy w rządzie centralnym są odpowiedzialni przed „Radą Komisarzy”.
- c) Obecnie trwa sytuacja, w której chociaż 6 słowackich ministrów oraz 3 sekretarzy stanu wchodzi w skład rządu centralnego, ten ostatni posiada władzę wyłącznie nad Czechami i Morawami.
- d) dekrety prezydenta z mocą prawną obowiązują w Słowacji dopiero po ich aprobacie w „Słowackiej Radzie Narodowej”.

Nie został również wyjaśniony stosunek „Słowackiej Rady Narodowej” do centralnego parlamentu. Tymczasem „Słowacka Rada Narodowa” zrobiła tyle, że mianowała posłów do praskiego zgromadzenia ustawodawczego, a mianowicie po równej ilości: komunistów i „demokratów”. Za granicą pisano o wyborach w Czechosłowacji, lecz żadna gazeta na świecie nie podała, jak w rzeczywistości wyglądały „wybory” w Słowacji i jak przed oczyma całej Europy z największym cynizmem sponiewierano najprymitywniejsze zasady demokracji, o którą była prowadzona ta wojna; żaden głos się nie podniósł by zdementować zakłamanie, jakie towarzyszyło wyborom w CSR. Świat musi wiedzieć, że wybory w Słowacji nie odbyły się. „Słowacka Rada Narodowa” mianowała po prostu posłów. Demokracja w Słowacji i CSR jest tylko zakłamaniem, dążącym do wprowadzenia w błąd demokracji światowej. Jak dotychczas ten manewr udaje się. Czy świat nadal da się oszukiwać na temat rzeczywistego położenia w CSR? Oczywiście, po zakończeniu wyborów na Węgrzech wielu nie zechce uwierzyć w to, co się działo w Słowacji w czasie „wyborów”. Jest to tylko dalszy dowód, że świat nie poznał dotychczas metod bolszewickich.

Dla pełnego obrazu rządu słowackiego należy jeszcze wspomnieć, że komuniści zarezerwowali dla siebie ważniejsze komisariaty (ministerstwa).

D) *Prześladowanie kościoła katolickiego.* Komunistyczny rząd słowacki rozpoczął natychmiast prześladowanie religii. Powód ku temu znaleziono łatwo: katolicy to faszyci i pozbawienie ich praw jest wielką zasługą. Rozpoczęto od kościoła katolickiego aresztując 2 biskupów, po nich kilku prałatów i dużą ilość księży.

Wszystkie katolickie szkoły zostały zamknięte, a własność (zabudowania itd.) instytucji katolickich zaskwestrowano.

Zakony religijne nie mają prawa posiadania szkół. Zakonnicy i zakonnice mogą wykładać nadal tylko pod warunkiem uznania ich przez specjalną komisję za nieszkodliwych.

W szkołach największe znaczenie ma katolicka prasa. By przeszkodzić katolickiej akcji wydawniczej uznano największą katolicką instytucję nakładową, Towarzystwa Św. Wojcie-

cha (Spółok sv. Wojciecha), licząc ponad 150.000 członków i zaopatrującą w dobre książki katolickich Słowaków całego świata, za organizację faszystowską. W związku tym do tej organizacji na miejsce administratora mian. Pasteny (którego aresztowano jako faszystę) dano komisarza rządowego. Skutki tego kroku stały się natychmiast widoczne. Największa nowoczesna drukarnia Towarzystwa Św. Wojciecha drukuje komunistyczne broszury i paszkwile. Wszystkie katolickie gazety i czasopisma zlikwidowano, pozostawiając bez prasy absolutną większość narodu. Nie tylko pisma poświęcone kulturze lecz nawet miesięczniki o treści ściśle religijnej jak „Goniec Św. Serca”, „Święta Rodzina” itd. przestały wychodzić. Dopiero w ostatnich tygodniach po pokonaniu ogromnych trudności ukazała się „Gazeta Katolicka”.

Ofiarą działalności komunistycznej stała się również szeroko rozbudowana katolicka akcja dobroczynna. Na komisarza instytucji dobroczynnych wyznaczono wściekłą komunistkę Fany Hrusovska. Wszystkie instytucje dobroczynności, jak przedszkola, instytuty młodzieży, stacje opieki nad matką i dzieckiem zostały zajęte przez komunistów i uchodzą w społeczeństwie za instytucje komunistyczne.

Zarówno do szkół klasztornych jak i wszystkich zakładów katolickich wyznaczani są na komisarzy wyłącznie luteranie i komuniści.

By sparaliżować działalność kościoła, sięgnięto po kościelne posiadłości ziemskie. Prawo patronatu zostało również zniesione.

W ten sposób kościół został skępowany i usunięty przez komunistów na drugi plan; nie można dziś przewidzieć, jaki będzie dalszy przebieg wydarzeń.

E) *Opinia i postawa narodu.* Mimo usilnej propagandy, komunistom i demokratom nie udało się wprowadzić w błąd narodu. Ludność pozostała wierną swym przekonaniom narodowym i katolickim.

Życie religijne pogłębia się wraz z uciskiem. Kościoły są przepełnione i ludność przystępuje częściej niż kiedykolwiek do sakramentów św. Publiczne procesje stają się cichą demonstracją przeciwko antykościelnemu kierunkowi politycznemu.

Wśród katolików wzrasta świadomość i prosty lud krytykuje publicznie współpracę luteranско-komunistyczną.

Mimo zakazu istnienia partii katolickiej, wewnętrzny opór absolutnej większości narodu jest nieunikniony. I to narazie wystarczy.

Słowacy wytrwali nie tylko przy katolicyzmie — również życie narodowe krzepnie i przekształca się w rwący potok górski, który przywróci z czasem narodowi jego święte prawa. Rzeczpospolita Słowacka została zlikwidowana przemocą i fałszem, ale idea państwa słowackiego żyje nadal wśród narodu. Nikt dotychczas nie pytał Słowaków, czy chcą oni wejść w skład Czechosłowacji — nadejdzie jednak chwila kiedy Słowakom będzie dana możliwość odpowiedzieć na to pytanie.

Jak każdy inny naród, również naród słowacki ma naturalne prawo do tego by go zapytano, jak chce żyć.

W Słowacji panuje powszechne życzenie istnienia w postaci samodzielnego organizmu narodowego, w konferencji z innymi narodami oraz przedświadczenie, że tylko w ten sposób naród słowacki osiągnie naprawdę pełnię wolności politycznej, odpowiadającą wymaganiom doby obecnej. Państwo słowackie w konfederacji z innymi państwami — jest hasłem narodu słowackiego. Zdanie niezliczonych czechofilijskich protestantów i sowieckofilijskich komunistów nie może w żadnym wypadku przesądzić woli narodu.

Naród słowacki pragnie:

a) wyzwolenia spod jarzma sowieckiego i

gotów jest dla tego celu na największe ofiary;

b) mieć możliwość wypowiedzenia własnego zdania w demokratyczny i nieskrępowany sposób;

c) realizacji wszystkich praw przyrodzonych, z których wojska okupacyjne nie pozwalają mu korzystać. Do tych praw należy prawo o samostanowieniu i prawo do własnego ustroju państwowego.

Jeżeli sprawiedliwe i naturalne dążenia narodu słowackiego nie będą zrealizowane, problem słowacki wywoła znów niepokój. Nie ma pokoju w Europie Środkowej bez sprawiedliwości. Nie ma sprawiedliwości dla Słowaków bez samodzielności państwowej.

Dr. Stanisław Zahorsky

Zaprzepaszczane owoce zwycięstwa

Czym będą Niemcy jutro? Jakie warunki istnienia będą stworzone dla narodu, który wpechnął świat w najkrwawszą z wojen, który przyprowadził setki milionów istnień ludzkich o najstraszliwsze cierpienia, który na zgłiszczach wolności i cywilizacji umyślił wydzwignąć potworny gmach ucisku, niewolnictwa i upodlenia człowieka?

Czym będzie przyszłość narodu, który bez sprzeciwu — ba, ochotnie, radośnie, entuzjastycznie — powierzył swe losy szajce zbrodniarzy, ich zbrodnicze postęпки uznał za najwspanialsze porywy bohaterstwa narodowego, ich zbrodnicze frazesy powziął jako dogmaty mądrości i moralności?

Błogosławić będą czy przeklinać?

W ciągu ostatnich 75 lat naród niemiecki rozpetał i przeprowadził pięć wojen. Co 15 lat ludzkość musi pławić się we krwi, aby „narodowi panów” zagrozić drogę do panowania nad światem. Klęska Niemiec w r. 1918 nie uchroniła świata przed jeszcze krwawszą łaźnią. Cóż więc uczynić należy, aby za 15, czy za 25, czy za 50 lat świat nie zgłotował sobie nowej tragedii, o tyle zapewne straszliwszej od tragedii ostatniej wojny, o ile ta wojna była straszliwsza od wojny 1914—1918 roku?

Oto najważniejszy problem naszych czasów, problem od którego rozwiązania będzie zależało, czy przyszłe pokolenie będzie błogosławiło generację obecną, czy też będzie jej złorzeczyło za lekkomyślność zaiste zbrodniczą.

Jeszcze parę miesięcy temu samo postanowienie takiego zagadnienia mogłoby się wydawać dziwne. Dla każdego normalnie myślącego człowieka musiało się wydawać rzeczą jedynie naturalną, że po przegranej wojnie naród niemiecki poniesie wszystkie konsekwencje klęski, że narzucone mu będą takie warunki życia, które na zawsze uniemożliwią mu przejawianie jego morderczych instynktów i podejmowanie nowych prób wcielania w życie teorii o „narodzie panów” i „narodach niewolników”.

Dla człowieka myślącego normalnie niezro-

zumiało musiało się wydawać apelowanie do szlachetnych stron duszy niemieckiej, bo żadne przyszłe doświadczenia nie przekonały go, że takie istnieją. Nie pojłby projektów organizowania świata powojennego w oparciu o dobrych Niemców, bo wie, że — o ile tacy w ogóle istnieją — to w decydujących momentach nigdy ich nie ma na widowni. I za nieprawdopodobne uważałby, by mogło dojść do budowania planów przyszłości świata na przekonaniu, że Niemcom należy stworzyć po wojnie warunki tak wygodnego bytowania, aby nie potrzebowały w napaściach szukać poprawy swego bytu.

Boję się słabych Niemiec

Otóż, jakkolwiek nieprawdopodobne mogłoby się to wydawać, ale dominującą dążnością chwili obecnej, najpoważniejszą troską polityków i publicystów anglosaskich jest myśl o poprawie sytuacji obywateli niemieckich. Pobieżna nawet lektura prasy angielskiej i amerykańskiej udziela, że jeżeli istnieje jakaś wspólna tendencja, zespala ją publicystów najróżniejszych obozów politycznych to jest nią dążność do jak najmniejszego uszczuplenia terytorialnego Niemiec, do ich politycznego równouprawnienia z innymi krajami, do gospodarczego ich włączenia, jako pełnoprawnego partnera, do systemu współpracy międzynarodowej.

Szczególnie wiele współczuje tego zainteresowania wywołuje obecne położenie w Niemczech. Byłoby rzeczą bezcelową negować rzeczywistość. Położenie to, choć na pewno mniej katastroficzne aniżeli sytuacja w niektórych krajach „zwycięskich” — nie jest godne zazdrości. Z terytorium zmniejszonym o 20 %, z ludnością pomniejszoną o miliony Niemców usuwanych z dawnego Lebensraumu przy użyciu metod godnych najpotężniejszych uczniów Hitlera, z nieskoordynowanymi wędrówkami ludów, eufemistycznie nazywanymi „wymian ludności”, z czterema różnymi systemami rządów, z 20 milionami ludzi, pozbawionych tego, co się zwykło nazywać „dachem nad głową”, z przemysłem zrujnowanym, a handlem zdeorganizowanym,

z perspektywą nieuchronnej emigracji milionów obywateli do Rosji (bo dokądże indziej?) — Niemcy płacą dziś koszty swego szaleństwa. W obliczu tych faktów smutnych, choć mieszczących się doskonale w granicach sprawiedliwości dziejowej, organy opinii anglosaskiej biją na trwogę. Alarmują ce nagłówek apeluju do sumienia zwyczajców. W artykułach długie wywody polityczne, geopolityczne, socjologiczne, ekonomiczne, i Bóg wie jeszcze jakie, zdają się do wykazania, że nakazem rozumu politycznego jest spowodowanie radykalnej zmiany w położeniu Niemiec. I coraz mniej popularne są myśli o długotrwałej okupacji Rzeszy, o pocignięciu Niemców do pracy nad odbudową zniszczonych przez nich krajów, o przeobrażeniu struktury ekonomicznej Niemiec, słowem o zastosowaniu środków, w których następstwie Niemcy stały by się a ł a b e.

Czy będzie nowa wojna?

Widmo nowej agresji niemieckiej przestało niepokoić ludzi. Znaczna część opinii skłonna jest bagatelizować niebezpieczeństwo odrodzenia się potęgi Niemiec. Obecny rozkład wewnętrzny Rzeszy i odkrycie bomby atomowej narzucają sceptycyzm w ocenie przyszłych możliwości odwetowych Niemców. Beztroszczy optymiści anglosascy podpisują się oburącz pod opinią amerykańskiego generała Deversa, który, przemawiając w imieniu 12 ekspertów militarnych Stanów Zjednoczonych, oświadczył, że Niemcy straciły zdolność do przeprowadzenia nowej wojny przynajmniej na przeci g stu lat.

Si i tacy, co nie podziwiają tego idyllicznego poglądu. Wierzą w zdolności regeneracyjne Niemiec. Ale właśnie dlatego, że w nie wierzą, domagają się łagodnego traktowania zwyciężonych. Przede wszystkim nie drażnić, nie rozgoryczać, nie upokarzać, nie stwarzać powodów do niezadowolenia, do wywołania fermentu, bo taki ferment to grunt, z którego wyrosną nowe dźności odwetowe, a w konsekwencji — nowa wojna.

Pl.n, który nie stanie się rzeczywistością.

Ukazała się niedawno książka Henry Morgenthau o zagadnieniu niemieckim^{*)}. Książka ta jest rozwinięciem i uzasadnieniem planu, ogłoszonego przez polityka amerykańskiego w zeszłym roku i zalecającego zespół środków, których zastosowanie na zawsze pozbawiłoby Niemcy możliwości odrodzenia gospodarczego i militarnego.

Morgenthau proponuje zlikwidowanie całego ciężkiego przemysłu na terytoriach, które mają pozostać przy Niemcach. Zaleca rozparcelowanie większej własności ziemskiej i osadzenie na niej byłych pracowników przemysłowych w charakterze drobnych producentów rolnych. Chce umiędzynarodowić „serce niemieckiej potęgi przemysłowej” — Zagłębie Ruhry i usunąć ze wszystkich Niemców. Chce podzielić Rzeszę na dwa stany: północny i południowy, któ-

re rządziliby się samodzielnie, ale pod ścisłą kontrolą aliancką. Chce uprzemysłowić Europę kosztem odprzemysłowienia Niemiec, to znaczy wyposażać kraje europejskie w niemieckie maszyny, niemieckie surowce, niemiecką siłę roboczą. Chce poddać pod długotrwałą kontrolę aliancką niemiecką produkcję i niemiecki handel zagraniczny. Nie chce by Niemcy płaciły odszkodowania wojennego produktami działalności swego przemysłu, aby w ten sposób nie odrodził się niemiecki aparat produkcyjny. Nie chce również, by Alianci brali na siebie jakąkolwiek — nawet minimalną — odpowiedzialność za wewnętrzne życie ekonomiczne Niemiec, by tu odpowiedzialnością nie obciążać Komisji Alianckiej za niepowodzenie, i nie przyspieszać odrodzenia ekonomicznego Niemiec — w razie powodzenia.

Propozycje Morgenthau'a nie będą nigdy wprowadzone w życie. Świadczy o tym polityka, jaką stosują Anglosasi w Niemczech. Jeszcze mocniej o tym świadczy przyjęcie książki Morgenthau'a w Ameryce i Anglii. „Program chaosu” — pisze jeden z jej krytyków. „Niech się smaży we własnym sosie” — oto mądrosł na jaką się zdobyła ta ministerialna głowa” — opiniuje inny. Leon Henderson pisze ironicznie, że skuteczniejsze byłoby zastosowanie komór gazowych, bo uniemożliwiłoby odrodzenie Niemiec na zawsze; równoznaczny z tym plan Morgenthau'a takich gwarancji nie daje. Amerykański „Komitet doradców ekonomicznych” określa propozycje Morgenthau'a jako „konieczność polityczną na krótką metę i jako nonsens ekonomiczny na długą metę”.

„Źli Niemcy” i „dobrzy Niemcy”

Piszący te słowa nie znalazł — mimo sumiennego wertowania organów opinii anglosaskiej — ani jednego głosu, któryby pozytywnie ocenił książkę Morgenthau'a. Rzadko też znaleźć można głos, któryby aprobował poszczególne zalecenia tej książki. To natomiast, co wywołuje entuzjazm w Anglii i w Ameryce — to idea „ukarania zbrodniarzy”. Sprawozdania z procesu norymberskiego dosłownie rozsadzają szpalty dzienników. Nawet t. zw. „dobrzy Niemcy” zachwyceni są ideą „ukarania zbrodniarzy”. Nic dziwnego! W samej idei zawiera się tak cenne dla nich rozróżnienie na „złych Niemców” i „dobrych” Niemców. Zawiera się w niej również fałszywy i niebezpieczny pogląd, że za tę wojnę i za popełnione w niej bezprzykładne okrucieństwa odpowiedzialni są „źli Niemcy”. Wobec należy przykładowo ukarać zbrodniarzy norymberskich. Ukaranie ich — a ł cznie z tym zlikwidowanie hitlerizmu we w n trz Niemiec — otworzy na oścież drogę do łagodnego, ludzkiego traktowania niewinnego stada, zbłąkanego przez złych pasterzy. Najważniejszym w tej chwili dążeniem politycznym Anglosasów jest zastąpienie Komisji Alianckiej

^{*)} Germany is our problem. By Henry Morgenthau, New York, 1945.

przez scentralizowaną administrację, złożoną z „dobrych Niemców”.

Kiedy czyta się sprawozdania z procesu norymberskiego, niepodobna natrafić na ślad zrozumienia tej prawdy oczywistej, że sędzi w nim „zbrodniarze” są wykładnikiem prawdziwej woli narodu niemieckiego. Że Hitler — podobnie jak poprzednio Wilhelm, a jeszcze wcześniej Bismarck — był niczym innym, jak tylko najdoskonalszym wcieleniem dążeń, tęsknot i aspiracji wszystkich albo prawie wszystkich Niemców. Że bezprzykładne okrucieństwa, za jakie czyni się dziś odpowiedzialnymi podsądnych norymberskich, ściśle odpowiadają porywom duszy niemieckiej. Że — jak to wskazał prof. Richard Brikner w niedawno wydanej książce („Is Germany incurable?”) — Niemcy, jako grupa zbiorowa są dotknięci formą psychopatologicznego zбочenia umysłowego, które, w życiu jednostkowym, odpowiada objawom paranoi.

Nihil novi

„Germanie są zdziwy w stopniu niepojętym dla każdego, kto na własnej skórze nie doświadczył ich dzikości. Są również narodem urodzonych oszustów”.

Oto zdanie z nowej książki Lorda Vansittarta p.t. „Kość niezgody”^{*)}. Ale nie Vansittart jest jego autorem. Jest nim pierwszy historyk rzymski Valleius Paterculus. W książce Vansittarta znaleźć można całą wiązanekę podobnych sądów o starożytnych Germanach, sądów pochodzących od Tacyty, Seneki, Symachusa, Claudiana, Nazariusza i Kwintyliana. I sądy te niewiele się różnią od poglądów, jakie o współczesnych Niemcach wypowiadają Morgenthau, Brikner i sam Vansittart.

„Kość niezgody” jest książką, w której zawiera się synteza życia Vansittarta. Życie to upłynęło głównie na pilnym studiowaniu Niemiec i Niemców, na badaniu ich historii, ich psychologii, ich działań i dążeń. Po 40 latach tych badań niezłomnym przekonaniem Vansittarta jest pogląd, że po pierwszej wojnie światowej pokój z Niemcami został przegrany na skutek wiary zwycięzców, iż winę za nieszczęście ludzkości ponosi mała grupa ludzi w Niemczech, czy „nacisk ekonomiczny” ze strony zagranicy, czy też błędy innych narodów. I dziś, przez podobne niezrozumienie istoty niemieckości, tak bezprzykładnie drogą ceną okupione zwycięstwo narażone jest na niebezpieczeństwo.

Rasista Vansittart

Vansittart stanowczo odrzuca pogląd, że naród niemiecki został ujarzmiony i sprowadzony na bezdroża przez hitlerowców. Za to, co się stało, odpowiedzialny jest cały naród niemiecki.

Vansittart wykazuje, że w Polsce, Jugosławii, Grecji i Francji armia niemiecka wzbudzała wśród ludności strach nie mniejszy, niż Gestapo. Duchowieństwo niemieckie — i to zarówno katolickie, jak protestanckie — całkowicie solidaryzowało się z Hitlerem. Dziękowało mu

za jego zdobycze i radośnie witało „powrót do Niemiec” narodów i ziem, które nigdy do nich nie należały. Nie było w społeczeństwie niemieckim grupy, któryby postępowaniem swoim dała asumpt do przypuszczenia, że istnieją Niemcy inne, niż Niemcy hitlerowskie.

Vansittart ze sprawiedliwą surowością ocenia prawicę niemiecką — militarystów, junkrów, właścicieli ciężkiego przemysłu „najkrwawszych ludzi, jacy kiedykolwiek nawiedzili tę planetę” — ale nie znajduje również usprawiedliwienia dla lewicy niemieckiej, pod której rządami armia niemiecka osiągnęła siłę w dwójnasób większą, aniżeli w roku 1914.

Czytelnik pomyśli sobie zapewne, że streszczone tu pokrótce poglądy Vansittarta są dalekie od rewelacyjności i że właściwie nie było może rzeczą bardzo potrzebną poświęcanie im całej książki. Niestety, dla pewnej kategorii ludzi poglądy te są bardzo dalekie od oczywistości. Dla tej kategorii ludzi, dla których humanitaryzm w stosunku do zwyciężonych Niemców jest nakazem już nie moralności chrześcijańskiej, zalecającej przebaczenie i potępiającej odwet, — taką postawę możnaby zrozumieć — ale właśnie nakazem dalekowzroczoności rozumu politycznego, ostoją bezpieczeństwa świata, rękojmią trwałego pokoju.

Jak bardzo poglądy Vansittarta są dalekie od tego, by stały się cz. stką myślenia powszechnego — świadczy o tym reakcja na jego książkę. Podobnie jak książka Morgenthau’a, „Kość niezgody” ścignęła na głowę autora gromy potępienia.

Okrzyknięto go „rasistą” za to, że w czambuł potępia wszystkich Niemców. Nazwano go „hitlerowcem” za to, że domaga się zastosowania surowych sankcji wobec podpalaczy świata. Zakwalifikowano go jako aneksjonistę, bo chciałby Niemcom odebrać nieprawnie posiadane ziemie. Potępiono go jako militarystę za pragnienie radykalnej i ostatecznej demilitaryzacji Niemiec. Zdemaskowano go jako złego Europejczyka za to, że chce Europę pozbawić tej nieodzownej podstawy, jaką w niej są silne Niemcy. I zdyskwalifikowano go jako polityka, że nie wierzy w szybkie „wychowanie” Niemców, tzn. nauczanie wilków, jak mają być jagniętami.

Refleksja melancholijna

Reakcja, jaką wywołują w świecie publikacje w rodzaju Morgenthau’a i Vansittarta, wywołuje refleksję melancholijną. „Jedyna rzecz, jakiej mnie nauczyła historia, jest ta, że historia nigdy nikogo, niczego nie uczy”. Jest ta racja. Fakt, że po tej straszliwej lekcji, jaką była wojna ostatnia, dominują w świecie takie poglądy, takie postulaty — może tylko bezmyślne w założeniu, ale napewno zbrodnicze, gdyby miały być wprowadzone w życie — przepaja głębokim pesymizmem. Stanowi on miarę trud-

^{*)} The Tone of Contention. By Lord Vansittart, London 1945.

ności, z jakimi związana jest organizacja świata powojennego. Jeżeli w obliczu tak przerażająco wymownych doświadczeń, jak doświadczenia z Niemcami, ludzie nie mogą zdobyć się na jednomyślnie rozsądny pogląd — to znaczy, że wiara w rozwiązanie trudności powojennych na

kruchych opiera się podstawach. Zaprawdę, słusność miał ten myśliciel, który powiedział, że jeżeli istnieje coś, co daje pojęcie o nieskończoności, to tylko — ludzki dar zapomnienia.

Aleksander Wawrzyński

I na Dalekim Wschodzie...

Tak samo jak w Europie, tak i na Dalekim Wschodzie teraz właśnie występują objawy niezadowolenia i reakcje z powodu zawiedzionych nadziei z jednej strony, lub niedotrzymanych przyrzeczeń z drugiej. W rezultacie, choć wszyscy oczekiwali z niecierpliwością zakończenia wojny, wszyscy są dalecy od zadowolenia, pomimo, że to zakończenie nastąpiło. Nikt bowiem nie uzyskał tego, do czego dążył. W tej chwili uwagę powszechną przykuwa rozwój wypadków na Dalekim Wschodzie.

Chiny

Sytuacja w Chinach przedstawia się bardzo mętnie. Tu i ówdzie trwają walki, nie raz nawet bardzo zacięte, pomiędzy chińskimi komunistami, a wojskami rządu Chiang-Kai-Sheka, ale walki te nie przybrały jeszcze rozmiarów wojny domowej. We wszystkie zamieszki, jakie mają miejsce w Chinach, wplatane są zarówno Stany Zjednoczone, jak i Rosja Sowiecka.

Amerykańskie wojska pozostały nadal w Chinach i według oświadczeń amerykańskich dzienników oficjalnych, pozostaną tam jeszcze szereg miesięcy, a mianowicie, dopóki nie zostaną z terytorium Chin usunięci Japończycy i dopóki nie zapanuje zgoda pomiędzy komunistami a nacjonalistami chińskimi. Obecnie w Chinach przebywa jeszcze spora ilość Japończyków — pomiędzy rzeką Yang-Tse a Murem Chińskim przebywa 325 tysięcy byłych żołnierzy i urzędników japońskich, zaś w innych częściach i na Formozie jest ich ponad milion trzysta tysięcy; jest właśnie celem wojsk amerykańskich zapobiec użyciu przez Japończyków utrwalonej pozycji w okręgach ważnych pod względem strategicznym. Jeśli chodzi o zgodę pomiędzy obu wzajemnie zwalczają-

cymi się partiami, Amerykanie zajęli zdecydowaną postawę, co się wyraża w ostatniej przemowie prezydenta Trumana. Powiedział on, że muszą oni zaprzestać zwalczać się wzajemnie, jeżeli chcą, aby Stany Zjednoczone dopomogły im w pokonaniu obecnego kryzysu gospodarczego.

Polityka prowadzona w Chinach przez Rosję Sowiecką jest bardzo dziwaczna. Wydaje się, że Sowiety raz popierają chińskich komunistów, a raz — nacjonalistów.

W każdym razie, w dążeniach amerykańskich i rosyjskich widoczne są usiłowania uniknięcia wojny domowej w Chinach, której rezultatów zarówno Ameryka jak i Sowiety obawiają się bardzo wyraźnie.

Sowiety, po wielu tygodniach pertraktacji, zgodziły się, aby wojska rządu Chiang-Kai-Sheka owdągnęły Mandżurią. I tym sposobem nacjonałści chińscy weszli w posiadanie Chang-Chun, stolicy Mandżurii — Mukdena, największego miasta i Charbinu, najważniejszego portu w północnej Mandżurii. Komuniści chińscy odgrążali się wprawdzie, że będą bronili tych miast, ale jak donoszą ostatnie komunikaty, zostały one zajęte przez wojska rządu centralnego bez najmniejszego oporu. Stało się to na skutek rozkazu z Ye-Nan, gdzie mieści się kwatery główna komunistów. Rozkaz ten zalecał wojskom komunistycznym oszczędzanie własnych sił zbrojnych. Sowieckie władze okupacyjne w Mandżurii przyrzekły, że do 3 stycznia 1946 roku wojska sowieckie opuszczą jej terytorium. Wszelako Sowiety odmówiły opuszczenia portu Dairen, wychodząc z założenia, że jest to jedynie port czysto handlowy.

Pomimo pozorów, komuniści nie zrezygnowali bynajmniej z walki o „wol-

ne Chiny". Najlepsze wojska komunistów chińskich dokonują wciąż operacji w północnych Chinach, atakując punkty, w których nacjonałiści są szczególnie mocno uplasowani. Przypuszcza się, że jakieś 80 do 35 tysięcy najbardziej wartościowych żołnierzy komunistycznych zostało zgromadzone w okolicach Pekinu. Fakt łatwego oddania Mandżurii przez komunistów nie dowodzi niczego. W Shang-Haiu mówi się, że są oni radzi widzieć nacjonalistów maszerujących w głąb Mandżurii, mają bowiem na celu izolować wojska Chiang-Kai-Sheka w środku tej pustynnej i mroźnej krainy i w ten sposób spowodować, aby surowa zima zdzięsiatkowała je. Na półwyspie Shan-Tung zostało zgromadzonych ponad 200 tysięcy komunistów.

Z uprawnej ziemi całych Chin-Mandżuria jest najbardziej płodna w najszerszym tego słowa znaczeniu. Ponadto jest tu dobrze rozwinięta sieć kolejowa, co kraj ten rozwdzięcza Japończykom. Również Japończycy rozbudowali na wielką skalę przemysł mandżurski, wykorzystując tutejsze pokłady żelaza i węgla. Ogólne jest zdanie, że ktokolwiek będzie władał Mandżurią i będzie posiadał jej bogactwa, ten będzie w stanie sprawować władzę nad całymi Chinami.

Pomimo bardzo trudnej sytuacji, zarówno pod względem gospodarczym jak i politycznym, jaka obecnie panuje w Chinach, przywódca chińskich nacjonalistów Chiang-Kai-Shek jest pełen wiary w przyszłość. Uważa on, że jeśli jego rząd i wojsko przetrwały wojnę domową, a następnie wojnę z Japonią, co w sumie daje prawie dziesięć lat walki, to i zdołają one przetrwać wszelkie trudności, powikłania i niepokoje wewnętrzne w okresie powojennym. Przemaszając do najwyższej rady gospodarczej, która ma za zadanie opracowanie programu rekonstrukcji Chin, wezwał on radę do wykorzystania przede wszystkim wszelkich możliwych chińskich źródeł dla odbudowy kraju. Podkreślił, że problemy chińskie nie mogą być całko-

wicie rozwiązane z pomocą, udzieloną przez inne narody.

Obserwując działalność Chiang-Kai-Sheka i skutki jego polityki, można uważać, że potrafi on dokonać reformy i wprowadzić Chiny na nową drogę rozwoju. Choć trzeba zdać sobie jasno sprawę, że przyszłość tego państwa pozostaje w silnej zależności od polityki sowieckiej.

Indonezja

Prowadzona obecnie na Jawie walka przez Indonezjan przeciw białym, a ściślej — przeciw Brytyjczykom, przybrała poważne rozmiary i pomimo porzownego uspokojenia — trwa nadal. Walki te toczą się pomiędzy Indonezjanami — skrajnymi narodowcami, a Brytyjczykami; Holendrzy zostali prawie zapomniani, pomimo, że są oni istotnym powodem walki.

Zaczęło się od tego, że owi skrajni nacjonałiści zlikwidowali całą załogę brytyjskiego transportowca R.A.F. w liczbie 25 ludzi, a następnie napadli na obóz internowanych, mieszczący się w Ambarawa, w środkowej Jawie, gdzie było 8 tysięcy obywateli holenderskich, przeważnie kobiet i dzieci. Indonezjanie zabili dwadzieścia osób oraz poranili wiele z pozostałych. Wojska hinduskie, wsparte czołgami oraz samolotami R.A.F., zdołały opanować sytuację w tych okolicach. Następnie wybuchły ruchy w porcie Semarang; zostały one stłumione dopiero przy pomocy lotnictwa brytyjskiego. Nawet w Batawii, stolicy Jawy, gdzie mieści się kwatera główna wojsk brytyjskich, miały miejsce krwawe zamieszki. Odebranie portu Surabaya z rąk nacjonalistów malajskich zajęło brytyjskim oddziałom prawie trzy tygodnie.

Brytyjczycy i Amerykanie oświadczyli, że nie jest ich rzeczą wtrącać się do interesów indonezyjsko-holenderskich, ale z drugiej strony nie mogą oni pozostawić bez pomocy internowaną w obozach ludność cywilną, w liczbie około 200 tysięcy ludzi, bo tylko oni są w stanie jej pomóc. Dotychczas wyewa-

kuowano tysiąc osób, które odpłynęły z Jawy na dwóch awiomatkach.

Brytyjczycy usiłowali, choć do tej pory bezskutecznie, pogodzić Indonezjan z Holendrami. Uważają oni, że najważniejszą jest rzeczą, aby obie strony wyznaczyły pełnomocnych reprezentantów, którzy uzgodniliby obustronne żądania. Obecny premier rządu umiarkowanych nacjonalistów - Sutan Sjah-rir planuje objazd czterech najważniejszych punktów ruchu narodowego i po rozmowach z jego przywódcami ma przystąpić do rozmów z Holendrami.

Ostatnio na Jawę przybyły posiłki w ludziach dla wojsk brytyjskich i wylądowały w Batawii. W odpowiedzi na to Indonezjanie ogłosili mobilizację w miasteczkach położonych dokoła Batawii. Obecnie uporczywie krążą pogłoski, że szykuje się tam nowe powstanie.

Znając tamtejsze warunki i charakter Indonezjan, należy spodziewać się, że walki tam toczące się będą trwały długo i będą prowadzone z całą zaciętością, która cechuje tubylców. Nawet przed wojną Holendrzy byli panami tego kraju w bardzo ograniczonym stopniu. Mieli oni w swoich rękach jedynie kilka miast stanowiących centra handlowe. Cały kraj był w posiadaniu Indonezjan i każdy z Holendrów, który ośmielił się zagłębić w jego wnętrzu, ginął bez śladu.

Indochiny

Podobna sytuacja, jak w Indonezji, wytworzyła się we francuskich Indochinach. W południowych częściach Indochin wojska francuskie i brytyjskie z trudem usiłują stłumić rozruchy wśród krajowców, którzy rozpoczęli walkę o niepodległość swojego kraju. (Północna część została zajęta przez Chińczyków.) Walki, które się tu toczą, przybrały poważną formę, o czym świadczy fakt używania lotnictwa. Przed kilku dniami na przykład został zaatakowany oddział francuski przez znaczne siły powstańczych wojsk Annamitów, w okolicach, położonych w odległości 60 km. od Dalat (płd. wsch. Annam). Francu-

zi musieli zażądać pomocy R.A.F. ponieważ sami nie byli w stanie stawić oporu. Straty francuskie w tej walce były dość duże, gdyż Annamici używają moździerzy w sposób bardzo umiejętny.

Walki te są prowadzone przez skrajnych nacjonalistów indochińskich. Na czele tego ruchu stoi Dran Fan Gaju. Twierdzi on, że jakakolwiek współpraca z Francuzami jest niemożliwa. Wie on, że Francuzi będą prowadzili wojnę, ale też tubylcy będą niszczyli wszystko, co francuskie. Będą niszczyli wszelkie fabryki, plantacje, linie kolejowe, mosty. Celem ich będzie uczynić Indochiny niemożliwe do zamieszkania dla Francuzów. Indochiny muszą za wszelką cenę zbudować nowe życie na popiołach francuskiej potęgi.

Właściwie sprawa niepodległości południowych Indochin używała już poważne osiągnięcia, dokonane przez nacjonalistów umiarkowanych. W miastach wszędzie powiewają chorągwie narodowe — czerwone z żółtą gwiazdą. Ulice zmieniły swoje nazwy — dawniej nosiły one imiona francuskich zdobywców, obecnie zastąpione imionami indochińskich rewolucjonistów lub królów dawnych szczepów.

Centrum ruchu rewolucyjnego w Indochinach mieści się w Hanoi, stolicy nowej republiki, noszącej nazwę Viet Nam i kierownikiem całego ruchu wolnościowego jest Ho Chi Minh, który prowadził partyzantkę, w północnym Tonkinie, w porozumieniu z amerykańskimi oficerami. Ma on 55 lat, a od 48 lat poświęcił się wyłącznie działalności antyfrancuskiej, którą zaczął mając dwanaście lat. Różni się on tym od Dran Fran Gaju, że głosi zasady współpracy z Francuzami na najszerszą skalę i dopuszcza tych ostatnich do korzystania z bogactw kraju, z tym warunkiem, że nie może być pomijany interes Indochin i dobrobyt mieszkańców — tubylców.

J. P.

Atomem czy maczugą?

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Ostatni miesiąc przyniósł znacznie więcej oświadczeń anglosaskich mężów stanu, niż polityków sowieckich. Ci ostatni nie tylko zachowują powściągliwe, „tajemnicze”, typowo bizantyjskie milczenie, ale obrali i systematycznie stosują metodę faktów dokonanych, którą po prostu wydzierają pozycję po pozycji. Nie znaczy to, byśmy mieli o małąomówność posiadać sowiecką propagandę. Ta oczywiście nie przesłaja pławid się w słowach, przestaniając powodzą demokratycznej frazeologii najbardziej brutalne kroki sowieckiego rządu.

Skończyły się „atomowe” rozmowy trójki anglosaskiej na niewydanu tajemnicy bomby atomowej. Słyszeliśmy z ust prezydenta Stanów Zjednoczonych, że konferencje Wielkiej Trójki należą do przeszłości.

Amerykański „Time” jeszcze 10 grudnia podawał swym czytelnikom myśli amerykańskiego prezydenta i komentował je w sposób następujący: „Prezydent nie jest zwolennikiem, jak oświadczył, konferencji specjalnych i nigdy nim nie był. To konferencje specjalne (w wybranym mniejszym gronie faktycznie decydujących mocarstw - przyp. red.) położyły Ligę Narodów, a prezydent chce, by Organizacja Narodów Zjednoczonych działała. Przeto Organizacja Narodów Zjednoczonych przejmie sprawy poprzednio powierzane spotkaniom Wielkiej Trójki. O ile Organizacja Narodów Zjednoczonych będzie pracowała należyście, oświadczył prezydent, nie potrzeba będzie żadnych innych konferencji międzynarodowych”. „Time” dodał z kolei: „Oświadczenie prezydenta uradowało wszystkich tych, których znużyła tajemnicza, patriarchalna atmosfera spotkań Wielkiej Trójki, uradowało wszystkich tych, którzy pragnęli funkcjonowania jakiejś międzynarodowej organizacji”.

Krótką była radość, bo oto 15 grudnia swowaty patriarchat Wielkiej Trójki w garniturze ministrów spraw zagranicznych zebrał się znowu w Moskwie. Wiadomości z pierwszych dni obrad dotyczą tylko obfitości bufetu, w którym pan Mołotow nie szczędzi gościnności i podkreślają niewytkłą serdeczność obrad.

Produkcja bomby atomowej prawdopodobnie trwa, nie brak oświadczeń mniej lub więcej oficjalnych, zdających utrzymania należytego tempa produkcji kosztem 500 milionów dolarów rocznie.

W tym jednak czasie, gdy mocarstwa anglosaskie w gruncie rzeczy nie wiedzą jak użyć energii atomowej dla realizacji swych celów politycznych, a przynajmniej dla uzyskania spokoju we własnych sferach wpływów, polityka sowiecka nie posługując się skomplikowaną bombą atomową, według odwiecznej rosyjskiej metody, po prostu maczugą po głowce (ładne polskie słowo nie odda w pełni czaru rosyjskiego wyrażenia: „dubina”) realizuje swoje

postulaty jeden za drugim. W czasie bowiem, gdy za potęgą ujarzmionej energii atomowej nie stoi wyraźnie sprecyzowana wola i jedność polityczna, rosyjską maczugą wymierza ciosy dookoła granic sowieckich zdecydowana wola, nie przebiegająca w środkach.

Moskwa prowadzi wojnę i wygrywa bitwy

Moskwa prowadzi wojnę i wygrywa bitwy.

Polityka moskiewska, narzucający gwałtu pokojową frazeologię, okrzykawszy wszystkich bojowników wolności jako faszystów, reakcjonistów na równi z prawdziwymi faszystami, sama po prostu prowadzi wojnę. Zajmuje nowe terytoria. Po oświadczeniach dyplomatów brytyjskich i amerykańskich na temat Persji dowiedzieliśmy się ostatecznie, że wojska amerykańskie wycofają się z Persji do 1 stycznia przyszłego roku. Natomiast „demokraci” opanowali północną Persję, zmusili garnizon Tabryzu do kapitulacji. Więcej, ogłosili tam rząd, na czele którego stanął niejaki Shabusteri Pishevari, jeszcze jeden Tito, czy Bierut tym razem perski, a raczej dla Persji przygotowany. Wojsk swych w liczbie 75.000 Moskwa z północnej Persji wcale nie ma zamiaru wycofać. Trzeba je naprzód poprzebieierać w perskie chałaty zamiast futajek, a dopiero wtedy „wyzwoleni” Persowie urz, dżę im pożegnanie, po którym z jednego miasta perskiego odjadą do drugiego. By jakoś potężnym Anglosasom osłodzić nową sowiecką zdobycz terytorialną, „rząd” pana Pishevari oświadczył na początek, że gwarantuje „zachowanie praw i przywilejów cudzoziemskich w Iranie zgodnie z prawem międzynarodowym”.

Moskwa stwarza nowe punkty zapalne na cudzym terytorium, co jest przecież typowym sposobem prowadzenia wojny. Gniewa się na demonstracje studentów tureckich, ale przede wszystkim żąda terenu dla wielkiej Armenii. Zaprasza do powrotu na ziemie ormiańskie wszystkich Ormian z Egiptu, Bliskiego Wschodu itd., a ponieważ musi dla nich przygotować siedzibę, twierdzi, że nie może ich wszystkich w liczbie 750.000 pomieścić w obecnej sowieckiej Armenii, więc żąda, jak zapewnia nas United Press, oddania przez Turcję Karsu i Ordahanu.

Moskwa gromadzi łup i niszczy siłę przeciwnika. Przeciwnikiem Moskwy w jej zaborczych planach jest każdy świadomy Europejczyk. Nie sposób podać w tej chwili statystyki śmierci, aresztowań i deportacji dokonanych na opanowanym przez Rosję Miedzymorzu. Polityczna maskarada wyborów, opozycja z łaski jego komunistycznej mości, mordy polityczne przez agentów NKWD a przypisywane „faszynom” — wszystko to służy jako zasłona dla ukrycia masakry narodów. „Daily Mail” z 14 grudnia zauważył w korespondencji pani Churchill, że

„*Życie uchodzi z dawnej Polski*” i że „*śmierć wstępuje na pociąg wiodący do utopii*”. Autor opisuje gehennę polskich przesiedleńców z za linii Curzona, którzy zamarzają w bydlęcych wagonach na bocznicach kolejowych „tego, co było ongiś Polską”. Cytujemy ku pamięci ustęp z tej korespondencji: „Tych ludzi (przesiedlanych) jest więcej niż milion. ... Mogą zabrać ze sobą to, co noszą... Trzy spośród widzianych przeze mnie pociągów były w drodze dwa miesiące. Normalnie droga ta zajmuje pół dnia. Trzy pozostałe pociągi były w drodze 10 do 28 dni. Stan podróży okropny. Starców i kobiety nawpół umarłych wynoszono na prowizorycznych noszach... Ludzie nie umierają z głodu, lecz z dezenterii i tyfusu. — Gładki, szkolony zagranicą dyrektor cenzury i propagandy w Katowicach powiedział mi: „Panienko, to są brytyjskie kłamstwa. Takie rzeczy się dziś w Polsce nie zdarzają”. Kiedy mu odpowiedziałam, że osobiście widziałam te pociągi, odpowiedział: „Bardzo mi przykro, ale to był odosobniony wypadek”. Niestety otrzymałam niezbitę dowody, że to nie były odosobnione wypadki i że takie widoki można obserwować na bocznicach kolejowych, jak długa i szeroka przedwojenna i powojenna Polska”. Wszystko to dzieje się w tym czasie, gdy z pompą i całym rozmachem propagandy wita się tych spośród nas, którzy osłabli w uporze i do kraju wrócili. Lecz jedne i drugie pociągi te, w których morduje się przesiedleńców z za linii Curzona i te, którymi zwozi się Polaków z zagranicy, to elementy tego samego niszczenia narodu polskiego, to elementy niszczenia Europejczyków, to elementy już dziś przez Związek Sowiecki prowadzonej wojny.

„Biuletyn Informacyjny” - „Intermarium” w swym listopadowym numerze podał kilka cyfr i danych: „Dobrowolnie na roboty związane z odbudową kraju - wyjechało w głąb Związku Sowieckiego 1.700.000 ludzi z krajów bałtyckich, czyli co trzecia osoba, uwzględniając przedwojenną ludność Estonii, Łotwy i Litwy”. Prasa szwajcarska na podstawie wiadomości ze Szwecji podała, że w jednym tylko rejonie Kalinina przebywa 210.000 Łotyszów.

Biuro prasowe Słoweńskiego Komitetu Narodowego ogłosiło, że w czasie pierwszego półroczia rządów Tito w Jugosławii OZNA i agenci komunistyczni zamordowali potajemnie 260.000 osób, a w obozach koncentracyjnych zamknięto i z przyczyn politycznych wtrącono do więzień 300.000 osób.

Rozumieją, oceniają, myślą...

Amerykański tygodnik „Newsweek” z dnem 10 grudnia pisał: „Waszyngton nie widzi żadnego osłabienia w dążeniu Rosji do uzyskania wpływów na całym świecie. Zmieniły się metody, lecz cele zasadnicze pozostały te same. Przedtem Komintern groził rządowi w poszczególnych krajach walką klasową. Obecnie komuniści dążą do uzyskania przewodztwa w koalicjach lewicowych i starają się wszędzie, gdzie koalicja zwycięża, uzyskać kluczowe teki ministe-

rialne, najczęściej spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i wojny. Porażka komunistów w ostatnich wyborach europejskich (Austria, Węgry i Norwegia) wcale nie zdetonowała Moskwy. Wzór ustalony dla Europy Wschodniej i dla Bałkanów jest stosowany w miarę, jak pozwalają okoliczności. Obecnie celem polityki sowieckiej są: rząd chiński i perski. Następne próby mogą przyjść w południowej Ameryce, gdzie wpływy komunistyczne zyskują na sile...”

Po skandalu dyplomatycznym z b. ambasadorem amerykańskim w Chinach p. Hurlye, prezydent Truman wysłał do Chin jako swego ambasadora gen. Marshalla. Wyjazdowi jego towarzyszy oświadczenie prezydenta określające politykę amerykańską w Chinach: „Istnienie komunistycznej armii chińskiej uniemożliwia polityczne zjednoczenie Chin”. Prezydent oświadcza, że wszystkie siły zbrojne w Chinach „muszą być efektywnie wcielone w skład chińskiej armii narodowej” Ciang Kai Szeka. Prezydent dodaje, że jednopartyjny obecny rząd chiński musi być jednak rozszerzony tak, by w skład jego weszły również inne elementy”. A więc dążenie do likwidacji komunistycznych wojsk a wprowadzenie komunistów do rządu. Polityka sowiecka zdając sobie sprawę z niemożności opanowania zbrojnego Mandżurii i Chin w chwili obecnej, gdyż to groziłoby konfliktem z USA, potrafi zapewne przystosować swą taktykę i wykorzystać kwestię wprowadzenia komunistów do rządu centralnego, przed tym wygrawszy szereg bitew na innych polach np. w Persji, za cenę „ustępliwości” w Chinach.

Przeprowadzka czy walka

Rozważania polityków amerykańskich nie zawsze słuszne, ale zawsze tak decydujące dla układu stosunków politycznych w świecie, koncentrują się również ostatnio jak wiadomo dookoła idei jednego świata. Czym ma być, ten jeden świat ci głębiej nie wiadomo. Bo czyni wypływające z politycznego kompromisu z Moskwą — drugim ogniskiem koncepcji jednego, ale zupełnie odmiennego świata — ustawicznie przeczą zasadom, które miałyby być podstawą „jednego świata” w wydaniu anglosaskim. Politycy brytyjscy m.in. w całym szeregu ostatnio wydanych publikacji i książek np. Lionel Curtis: „Worlds War, its Cause and Cure” uważają, że dla organizacji świata jest potrzebny skromniejszy start w postaci organizacji „demokracji zachodniej t.j. brytyjskiego Commonwealth, Francji, Belgii, Holandii, Norwegii i Szwecji — „prawdziwych demokracji”, jednolitych w swej politycznej strukturze, dostatecznie małych w sumie na to, by stworzyć funkcjonującą jedność i dostatecznie dużych na to, by podejmować efektywne wspólne działanie”. („Observer”). A więc stale idea bloku zachodniego.

Stolica nowego świata powinna być oczywiście w Ameryce. W tym kierunku idzie przeniesienie stolicy narodów zjednoczonych do Stanów Zjednoczonych, choć nie wiadomo jeszcze — do jakiego miasta. A więc przeprowadzka Genewy do San Francisco czy innego Bostonu. Nie

można się dziwić tym tendencjom amerykańskim. Natomiast jako zgubne dla sprawy Europy, naszych wszystkich ujarzmionych narodów i Polski w szczególności, należy uznać wszystkie pomysły porzucenia Europy, przeprowadzki politycznej i przeprowadzki emigracji politycznych za Ocean. Albo przeprowadzka, albo walka. —

Terenem walki pozostaje Europa. Ze szkoda dla Europy będzie poćzone zarówno przeniesienie centrum politycznego do Stanów Zjednoczonych, jak również ograniczenie Europy do jej zachodniego przyczółka, a już samobójstwem byłaby nasza ucieczka z Europy.

W Europie toczy się w tej chwili walka z sowieckim imperializmem nie tylko na politycznej ale i na społecznej płaszczyźnie.

Amerykański "Time" w sposób następujący ocenił wyniki wyborów i sowieckich machinacji wyborczych w Europie: 1) stara prawica została zmieciona, 2) stara lewica nie odniosła zwycięstwa, 3) centrum — pogardzane i upadające w okresie między dwoma wojnami odżyło". Oczywiście wszystko zależy od tego, co się nazywa centrum. Jak z dalszych rozważań wynika, do centrum zalicza "Time" ugrupowania katolickie de Gaulle'a, de Gasperi'ego. Do tego „centrum" możnaby zaliczyć i socjalistów brytyjskich. Wspólnych cech tych wszystkich ugrupowań jest zrozumienie, oczywiście nie u wszystkich jednakie, że tylko realizacja zasad sprawiedliwości społecznej i postępowy program reform społecznych, realizowany dziś na ogromną skalę w Wielkiej Brytanii, a ostatnio we Francji, stanowi najsukcesywniejszą broń przeciwko komunizmowi. "Time" kończy rozważania: „Stare, skrajne ugrupowania nadal panują na krańcach Europy. Franco w Hiszpanii, a Salazar w Portugalii, stanowią niepewne szczątki prawicy. Bułgaria, Jugosławia i Albania, wszystkie trzy w sferze rosyjskiej, dały w wyborach według moskiewskiego wzorca jednopartyjnego oczekiwane rezultaty. Lecz w większej części

Europy komuniści wiedzą, że ich dzieł nie nadśledzi... W sumie — szary człowiek w Europie usiłuje znaleźć odpowiednią dla XX wieku drogę wyrażenia szczególnego wkładu Europy w cywilizację — o którym to wkładzie stanowi godność i wartość jednostki." Pęknie powiedziane, coż kiedy Europejczykom w powrocie do godności przeszkadza? Azjaci, a niezbyt mocno pomagają Amerykanie.

Zniszczyć i rozłożyć

W zniszczeniu Europy, jako przeszkody dla realizacji sowieckiego imperium, zniszczenie polskich ośrodków stanowi dla Moskwy cel zasadniczy. To też w kraju naszym nie ustają wysiłki moskiewskie, zmierzające m.in. przez podżeganie nienawiści do Wielkiej Brytanii, do oderwania narodu polskiego od Zachodu. W Polsce, jak na całym Śródziemnym, usiłuje się sprowadzić polską myśl polityczną w ramy tolerowanej przez Moskwę i potrzebnej Moskwie „opozycji". A równocześnie padli już od kul z za płota pierwsi działacze Mikołajczyka. Krew ich ma wybielić kapitulanta, a rozłożyć niepodległościowców! Oto dalszy etap tej samej prowokacji, którą NKWD w Polsce zaczęło od rozruchów antysemitycznych.

Ostatnie tygodnie przyniosły nam nowe ataki na wojsko polskie, pozostające poza granicami kraju. Nic dziwnego, skoro i w brytyjskiej Izbie Gmin powtórzono prostą prawdę: „Ludność w Polsce uważa armię w Polsce za Rosjan w polskich mundurach (mowa oczywiście o dowództwie i oficerach wyższych) i, że prawdziwe wojsko polskie jest we Włoszech i Anglii".

Naszą postawę w stosunku do wszystkich ataków i prowokacji określa po prostu fakt, że jesteśmy wojskiem państwa polskiego, że uznajemy jego prawowite władze i że trwamy w walce o polską niepodległość!

18. XII. 1945.

J. Z.

WOLNA TRYBUNA

Ideał na codzień

Mało zostało ideałów takich, w które wierzymy. Młodzież na tę wojnę wyszła z największym chyba багаżem ideałowym i najgorętszymi sercami. Młodzież, którą życie przed wojną nie zdążyło jeszcze oziębic, zmateralizować.

Minionych 6 lat, w których życie Narodu, a w nim przejścia każdej niemal jednostki mogłyby stać się tematem fascynującym najwybitniejszych dramatystów — te 6 lat nauczyły niechęci dla iluzorycznych idei, nieufności dla gładkich słówek i wyostrzyły niesłychanie zmysł krytyczny.

Chłodny krytycyzm i wiara w fakty dalekie są jednak od zupełnego wyjaś-

wienia tych uczuć, które każą wierzyć w przyszłość i dla niej pracować.

Są rzeczy, w które musi się wierzyć, bo stanowią część tego, co każdy z nas z mlekiem matki wyssał. Dlatego wierzymy w Wolność przede wszystkim. I dlatego nieważne jest to, czy ktoś wierząc w Wolność, wierzy w Polskę Mocarstwową, czy w Polskę Śródziemną, w Polskę Stanów Zjednoczonych Europy, w Polskę ObWiePolu, czy Polskę Ludową czy Socjalistyczną. Ważne jest, że wierzy w Wolność i dlatego został tu. Dlatego jest wrogiem śmiertelnym wszystkiego, co grozi zagładą Wolności.

To są niewątpliwie rzeczy wielkie, lecz nasuwa się pytanie: czy to już wszystko? Czy tym tylko można „żyć na codzień”?

A to „codzień” jest coraz bardziej zawiśnię. Coraz trudniej w nim znaleźć coś prostego, jasnego, przyjemnego. Wystarczy wziąć parę gazet do ręki:

Serie artykułów o bombie atomowej i coraz nowsze „bomby” o bombie... Uczniowie grożą nam kompletną zagładą, „jeżeli...” i tu następuje cały szereg warunków niemożliwych do realizacji. Człowiek się pociesza, że to chyba nie aż tak straszne, skoro sposoby wyniszczenia ludzkości, może trochę powolniejsze i bardziej perfidne, znane już są dawno... Dżumę hodzi w laboratoriach nie jeden dziesięć lat, a jak... „Pałac Paryż” Bruno Jasieńskiego pozostało w sferze jedynie „krew w żyłach mroźnej fantazji”. Wojna gazowa też nie należy do najnowszych zdobyczy, a jednak... Pozostaje więc nadzieja, że bomba atomowa, będąca już dziś tajemnicą poliszynla, także przejdzie z czasem do muzeum broni „zbyt straszliwych”.

Lecz jedźmy dalej w przeglądzie tego, co nam „codzień” szykuje: Anglosasi z Rosjanami uprawiają sport ludzako podobny do gry „w trzy karty” — tylko nigdy nie wiadomo co „czarne”, a co „czerwone”, i kto i kiedy wyciąga „rezerwowego” asa z rękawa: raz Polska za Chiny, drugi raz Węgry za Trypolitanię — i tak na miłym handlu upłynie czas do następnej Wiosny Ludów, kto wie — może zwycięskiej?

W Niemczech — procesy norymberskie i gremialne „pierewospitanie” pod batutą 4-ech Wielkich, z wesołą przygrywką krasnoarmiejskich gieroi, gwałcących i rabujących w pedagogicznym uniesieniu pulchne niemieckie Fräulein. Ogólnie — głód, chłód i nędza.

We Francji — 5 milionów głosów komunistycznych i De Gaulle borykający się desperacko z instrukcjami Moskwy.

We Włoszech — kryzys rządowy koalicji 6-u stronnictw, z których każde we wszystkich swoich 66-u odłamach

szermuje pięknymi hasłami i ciągle na śmierć i życie walczy z nieśmiertelnym faszyzmem, wespół go u wszystkich 666-u przeciwników partyjnych. Należy oddać sprawiedliwość niektórym skrajnie lewym odłamom, że w polemice prasowej umieją sięgnąć nawet do koloru kalesonów przeciwnika i jakości „dessous” jego kochanki.

Ale... Ale... W naszym „codzień” — niespodzianka. „Nareszcie” — Bóg raczy wiedzieć po ilu cenzurach, doszła prasa codzienna z kraju (oczywiście — ta legalna) — „Rzeczpospolita”, „Kurier Codzienny”... czasopisma takie jak „Żołnierz Polski” etc. — i tu nas dopiero częstują: Dowiadujemy się z „wiarogodnych” źródeł, że „czyn zbrojny Tobruku, El Gazali, a nawet piękny wyczyn Monte Cassino — niczym są w porównaniu z największą bitwą, jaką Wojsko Polskie w tej wojnie stoczyło o... Lenino”. Tak! Ni mniej, ni więcej — o Lenino! Komentarze chyba zbędne. Wystarczy spojrzeć na ilustrację tuż obok, prezentującą „politruków” armii Żymierskiego — nie rzadko azjatyckie twarze w najautentyczniejszych rogatywkach — i można całą tę prasę spokojnie odłożyć. Nic nowego nam już nie powiedzą.

Takie, z mniejszymi lub większymi odchyleniami „codzień” podaje nam prasa. Trudno jest w tego rodzaju atmosferze przewidzieć kiedy i gdzie nastąpi punkt zwrotny dla naszej sprawy i dla nas. Stan taki jest o tyle niebezpieczny, że w pewnych warunkach może grozić zaskorupieniem, apatią. Dlatego konieczny jest „ideał na codzień”. Ideał — nie frazes, którego nienawidzimy, lecz myśl przewodnia na krótszą metę, na dziś, jutro, pojutrze — na miesiąc.

Być może, że traci to trochę racjonalizmem, lecz wydaje mi się, że samo życie narzuca tę konieczność.

Jesteśmy (ciągle mówię o pokoleniu do lat 25-30) ludźmi w dużej większości nieprzygotowanymi fachowo do życia. Każdy z nas ma ambicję, aspirację i rzadko bardzo uważa się za człowieka „skończonego” w znaczeniu wyk-

ształcenia, zasobu wiadomości, światopoglądu. Każdy ma jakieś początki, zadatki, dziedzinę, w której chciałby pracować, wyżywać się, coś osiągnąć.

Mając myśl przewodnią, plan, postanowienie — można je realizować z dnia na dzień, bez porywów i wzlotów, bez apatii i rezygnacji — świadomie, celowo, konsekwentnie.

Praca nad sobą — to nie tylko swój warsztat, swoja specjalność, a w braku warunków po temu — rezygnacja. Wszystko, co daje szerszy horyzont myślenia, wszystko co prowadzi ku rozwojowi umysłu — jest pracą nad sobą. Wydaje mi się, że to ogromnie ważne.

POLACY W NIEMCZACH

Miesiąc w krainie absurdu

Wracać — nie wracać?

Cała Rzesza jest naszpikowana polskimi obozami. Co kilkadziesiąt, czasami co kilkanaście kilometrów widzi się polską chorągiew powiewającą to nad dachami niemieckiej wioski, to nad rzędami drewnianych baraków. Wszędzie tu mieszkają Polacy, polscy przymusowi wychodźcy. Spotyka się olbrzymie skupiska po kilka, a nawet po kilkanaście tysięcy ludzi, są też grupki po sto — dwieście osób.

W naszej wędrownicy po Niemczech, zbyt krótkiej na systematyczne zaznajamianie się ze wszystkimi obozami polskimi, nie kierujemy się żadnym z góry ułożonym planem: jedziemy raczej na „oko i na nos”. Ot, na przykład, na trasie Hanover — Frankfurt mijamy szereg długich baraków. Na ścianach napisy: „Polak pracuje tylko w Polsce”, „W Polsce nasz dom i nasz chleb”. Trzeba zobaczyć autorów tych sloganów.

Nasz samochód w mig otacza grupa ludzi. Jesteśmy od razu sensacją, bo dla nich tutaj sensacją jest każde najdrobniejsze wydarzenie, przerywające monotonię szarych, jednostajnych dni beczynności.

Bo ci ludzie tutaj — to wszystko bezrobotni. Jeszcze kobiety, jak to zwykle kobiety — krzątają się tam jakiegoś pitraszenia, piora i naprawiają bieliznę, handryczą się z dziećmi. Ale mężczyźni nie robią nic. Od rana do wieczora stoją grupkami na podwórzu, palą papierosy i gadają, gadają, gadają... O czym? — Przecież o tej najważniejszej dla nich tu wszystkich sprawie: wracać czy nie wracać?

To też i rozmowa z nami od razu wskakuje na ten ważny temat.

— A ja wracam — mówi wesaty jegomość, taki typowy gospodarz gdzieś spod Sremu czy Piątku — wracam! powtarza dobitnie i patrzy

Wartościowym specjalistą jest ślusarz znający zasady energetyki, lecz o wiele bardziej cennym jest ten sam ślusarz znający też historię ruchu robotniczego — człowiek o szerokich horyzontach myślowych, w którym pierwszy lepszy spryciarz — agitator nie zdoła rozbudzić najniższych instynktów wiecowym przemówieniem naszpikowanym demagogicznymi hasłami.

Analogiczne przykłady dotyczą wszystkich dziedzin pracy i życia, na każdym szczeblu.

Takie „równanie w górę” możliwe jest tylko wtedy, gdy praca nad sobą stanie się kręgosłupem codziennego życia.

B. S.

nam przenikliwie w oczy — nie wiedzieć, czy szuka potwierdzenia tej swojej decyzji, czy czeka na perswazje i odradzanie.

— No, to życzę panu szczęśliwej drogi — odzywa się któryś z nas.

— A pan, czy wraca? — pyta w śal.

— Nie, panie! Ja mam czas, ja poczekam! — pada odpowiedź słowami starej piosenki.

W gromadzie słychać śmiechy...

— My wszyscy myślimy tak samo. —

— No, a te napisy na barakach? —

Powstaje ogólny gwar. Wszyscy mówią, jeden przez drugiego. To co innego. Tak, tutaj pracować nie będą! Dość już napracowali się na Niemców!

Wykrzykują jakieś zadawnione pretensje i skargi na niemieckich baurów, na to traktowanie, jak bydło robocze, na krzywdy i poniewierkę...

Powoli z tej beładnej gadaniny wylania się obraz sytuacji. W obozie jest około dwóch tysięcy ludzi, samych chłopów, robotników rolnych z rodzinami. Niemieccy pracodawcy dobrze się im dali we znaki, ta przymusowa beczynność w obozie też dostatecznie obrzydła, — ale wracać teraz do Polski — to co innego.

— „Tam przecież teraz rządzi, Rusek, zołza jeszcze gorsza od szkopa!” —

— „Wiadomo, że życia tam nie ma!” —

Znów zaczynają się przekrzykiwać, wyciągać różne argumenty i dowody na to jak w Polsce jest źle.

Naogół wiadomości z Polski przesiekają na teren niemiecki dosyć obficie. Co noc przemycają się przez granicę okupacji sowieckiej nowi i nowi ludzie, którzy nie mogą już dłużej w kraju wytrzymać. Tutaj, w Rzeszy, wsiekają oni w polskie obozy. A że mieszkańcy obozów w dużej swej części są w stałym ruchu, stale

gdzieś jaś, gdzieś pędzą rozgorączkowani i podnieceni tą atmosferą niepewności i chaosu, fantastycznych pogłosek i plotek, mirażami jakichś niezwykłych wspaniałości, jakie rzekomo można znaleźć w obozie na innym końcu Rzeszy, — więc i te wieści z kraju również szybko rozchodzą się w terenie. Ale również szybko znikszatają się one i fantastyczniej, przekręcane często (aż nazbyt często!) przez ludzi złej woli i w tej formie najdzikszych pogłosek i bredni są powtarzane przez rozgadane polskie obozy.

Zostawiamy też tak naszych przygodnych znajomych, rozgadanych, jatrzących w sobie wciąż wspomnienia krzywd niemieckich, szukających i słuchających pilnie wieści z kraju.



(Fot. A. Chruściel)

Cała Rzesza jest naszpikowana polskimi obozami

Tak będą ugwarzać dziś i jutro i wiele, wiele jeszcze dni, pozbawieni jakiegokolwiek kierownictwa, zdani na własne sądy, własną mądrość, własny instynkt...

Kręcą się wśród nich różne agenciaki moskiewskie, wynurzają się z tego potwornego bałaganu z chytrymi podszeptami i radami. Góry walą na rząd Polski w Londynie, że się nie opiekują, że milczy, że się nie troszczy...

I nie ma nikogo, kto by mógł tym masom powiedzieć, że ten nie uznany przez sprzymierzone potencje rząd ma zakneblowane usta, że został on pozbawiony wszelkich środków komunikowania się z Polakami na wychodźstwie, że ci, którzyby chcieli i potrafili nimi się zaopiekować, dostępu do nich nie mają: dostęp mają tylko jurgielniki moskiewskie.

Nie tylko zresztą do nich.

Agenty sowietkie docierają wszędzie, ich wysłannicy kręcą się po wszystkich strefach okupacyjnych Rzeszy, pełno ich w całej Europie.

Na terenie okupacji amerykańskiej w komendach i zarządach wojskowych siedzą bądź jako tłumacze, bądź w różnych innych rolach pomocniczych, z reguły występując jako opiekunowie „dobrych Niemców”, a specjalnie wywierają naciski na bezradne gromady Polaków, żeby skłonić ich do wyjazdu do kraju.

Aranżują zatargi Polaków z Niemcami i miejscowymi władzami niemieckimi, a potem tłumaczą Amerykanom, że będą mieli „święty spokój”, jak wyrzucą Polaków ze swego rejonu.

W strefie okupacji amerykańskiej był duży, kilkunastotysięczny obóz. Komendantem obozu był pan O., oficer zwolniony z obozu jeńców. Człowiek energiczny, pełen zapału i poświęcenia, w krótkim czasie zorganizował wzorowo swoją placówkę. Z władzami amerykańskimi miał stosunki dobre, w obozie cieszył się dużym autorytetem, — słowem wymarzony komendant.

Pewnego dnia przyjechał do niego na „inspekcję” jakiś kapitan z Warszawy. Nie w smak była ta inspekcja panu O., ale wysłannik warszawski zjawił się w towarzystwie oficera amerykańskiego — nie można było go nie wpuścić.

Kapitan oglądał obóz, a im bardziej było widać, że panuje tu ład, porządek i zadowolenie, tym mniej mu się podobało. Wreszcie zapytał wręcz komendanta:

— Ilu już stąd wyjechało? —

Okazało się, że wyjechało paręset osób.

— A to mało, bardzo mało — skrzywił się kapitan z Warszawy.

Na tym się inspekcja skończyła.

A po trzech dniach „skończył się” i pan O. Amerykanie przeprowadzili zmianę na stanowisku komendanta obozu. Bardzo usilnie domagała się tego „polska” misja wojskowa z Warszawy...

Oczywiście wiadomość o tym wypadku rozeszła się szybko i szeroko, a że nie wszyscy komendanci są tak jak pan O. pełni zapału i poświęcenia, więc...

Więc kiedy w tych stronach odwiedziłem placówkę Czerwonego Krzyża (piękna willa w parku za miastem, cisza, spokój, komfort) bardzo powściągliwie rozmawiano ze mną, tłumacząc, że oni tylko filantropijnie, że żadnej agitacji, żadnej polityki, że ich właściwie obchodzi tylko nędza ludzka... I tylko jakoś tak mimochodem wyrwało się tam któremuś, że tu niedaleko są „Moskale”, którzy nie chcą wracać do Sowietów.

Poszukałem, oczywiście, tych Moskale. Istotnie niedaleko wspaniałości czerwono krzyżskich, w lasu za parkiem, gnieździł się w norach wykopanych w ziemi, w kłitkach zbitych z dykty i starych skrzyń od konserw „Moskale”.

Zacząłem z nimi rozmawiać: byli to Ukraińcy spod Tarnopola, Białorusini z Baranowicz. Za Boga nie dadzą się wywieźć do Sowietów. Jakoś tu przeżiją, a jeżeli ich za bardzo zaczną naciskać, to pójdą dalej, gdzie bądź przed siebie, ale do Sowietów — nie! Za nic się nie dadzą...

A ja, słuchając ich słów, wierzyłem również, że przetrzymają wszystko i że się nie dadzą. I myślałem jeszcze o jednym: że również nie



(Fot. A. Chruć)

Gnieźdźdźili się w norach wykopanych w ziemi...

dadzą im pomocy żadni filantropowie, że będą ich unikać, jak trędowatych. Niebezpiecznie! To są obywatele soweccy „spoza linii Curzona!”

Przyszłość Narodu

Gruba pani, kierowniczka szkoły, opowiada: — Był tu jeszcze niedawno półtoratisięczny obóz Polaków. Były 3 szkoły, kursa maturalne, były warsztaty rzemieślnicze, był chór (panie! jak pięknie śpiewaliśmy na nabożeństwach w niedziele!), — był dobrze zorganizowany i pracujący obóz.

Przyszedł jeden łajdak — Włoszczewski się nazywał, kapitan Włoszczewski — a jakże! oficer polski! — i z tego wszystkiego zostało dzisiaj 136 osób; zostało też 14-ścioro dzieci — zdołaliśmy dla nich utrzymać szkołę.

Włoszczewski był bardzo energiczny, bardzo ruchliwy i patriotyczny. Został kierownikiem obozu. Żył za pan brat z Amerykanami, miał doskonałe stosunki z niemieckimi władzami miejskimi. Nam wciąż powtarzał, że Polacy musz wracać do kraju, bo tam potrzeba rąk do odbudowy, potrzeba rąk do obrony!

Miał ten Włoszczewski tu jednego pomagiera, też niby Polaka, — w amerykańskiej komendzie jako tłumacz pracował. Robili oni wszystko, aby obrzydzić życie Polakom. Na przykład, zgłasza się na wyjazd 16-cie osób. A ten tłumacz zaraz z pyskiem: „Dlaczego 16? musi być okrągła liczba — 20! Jeżeli nie ma chętnych, to trzeba po prostu wyznaczyć jeszcze dodatkowych 4-ch! Samochody nie mogą jechać niewykorzystane w pełni. Amerykanie nie lubią takiego marnotrawstwa. Szkoda benzyny.” — Ale nie szkoda ludzi. Człowiek tu wciąż, jak za najgorszych hitlerowskich czasów, jest towarem

najmniej kosztownym, jest materiałem bezwartościowym.

Takimi sztukami dokuczali ludziom. A potem przyszły rzeczy jeszcze gorsze. Amerykanie — rzecz ludzka — chcieli tu mieć spokój i porządek. To prawda, że z naszymi nie zawsze było łatwo, nie wszystko było jak trzeba. Ale przecież trzeba też zrozumieć tych ludzi, którzy tyle wycierpieli od Niemców i którym się zdawało, że przyszedł dla nich czas pomsty i odwetu!...

A Niemcy, którzy — co tu gadać! — nienawidzą nas wszyscy i którzy bardzo chcieli się nas pozbyć z miasta, zaczęli wszystkie zbrodnie, jakie się działy w okolicy, zwałąc wobec Amerykanów na nas, Polaków. A kto nas miał wziąć w obronę? Ten niby polski tłumacz? Ten Włoszczewski, komendant polski obozu?

I zaczęło się... Zabili gdzieś w okolicy Niemca — natychmiast rewizje po polskich obozach, wpadają po nocach amerykańscy żandarmi, brutalnie wyganają wszystkich z baraków, szukają zabójcy... Albo kiedyś rozbili jednej Niemce słoik z miodem na rynku, zabrali kilkanaście marek. I zaraz przyjeżdża żandarmeria z Niemką do polskich obozów, każe wszystkim wyjść, ustawić się — Niemka ma wyszukać i rozpoznać napastnika.

— Proszę pana — patrzy na mnie okrągłymi, zdumionymi oczyma — o głupi słoik taka heca? To mnie wyrzucili z domu tak jak stałam. Z dzieckiem na ręku gnali piechotą do Płocka, potem przywieźli, jak bydlę, tu na robotę. W domu przepadło wszystko, wszystko... I czy się kto ujął za mną?

A tutaj o takie głupstwo taki kram...

No, a potem zaczął kapitan Włoszczewski gadać, namawiać, agitować — wracajcie! sami widzicie, że nic tu po was, a tam, w kraju jesteście potrzebni, przyjmą was z otwartymi rękoma... no i pojechali!

Gruba pani milknie. Patrzy długo w kąt pokoju, gdzie na otomanie śpi jej mała córeczka. Potem wzdryga się nagle, jakby przebudzona ze snu i zaczyna znów uśmiechać się blado:

— Została nas ot, ta garstka... Kilku z tych, co wyjechali, już wróciło nawet. Przetrzymali ich Moskale kilka tygodni na granicy na błocie i deszczu pod gołym niebem, potem ograbili do ostatniej szmaty, — a co dalej? Któż to wie! Ci, co uciekli, nic nie wiedzą, cieszą się, że sami z życiem wyszli... Tylko teraz tutaj dla nich już miejsca nie ma — obóz zlikwidowany, oni skreśleni z list: tak, właściwie po kryjomu, przytuliłiśmy ich tu u siebie i dzielimy się z nimi czym mamy.

A my urządziliśmy się jakoś i nie damy się! Mamy tu 14 dzieci, mamy dla nich własną szkołę... Tu w okolicy było nawet więcej tej polskiej dzieciarni, ale co się z nimi stało, nie umiem powiedzieć. Wiem, na przykład, że kilkadziesiąt polskich dzieci umieściła UNRRA w swoim schronisku. Schronisko jest międzynarodowe i prowadzi je Niemki. Dzieci polskie, żydowskie, litewskie, ukraińskie —

brzd. ce paroletnie — wszystko to niemieckie w ci. gu roku...

— A czy nikt nie interesował się tymi polskimi dziećmi, nikt nie próbował się nimi zająć?

Odpowiada mi beznadziejne wzruszenie ramion.

No tak — myślę sobie — rzeczywiście, kto? A UNRRA? Cóż, UNRRA jest instytucją rozumującą kategoriami międzynarodowych kaloryj. UNRRA ma za zadanie podchodzić przyszłego konsumenta dla przemysłu amerykańskiego. Dla ludzi z UNRRA sprawa, jakim językiem będzie mówił ten przyszły konsument, jest doskonale obojętna. A w Niemczech oczywiście najłatwiej znaleźć wychowawczynię Niemki, a wychowawczynie Niemki bardzo chętnie zajmą się przysposabianiem narodowi niemieckiemu nowych zastępów janczarów. Zresztą będzie to dla nich tylko dalszym ciągiem zajęcia, które już od sześciu lat powierzyli w ich godne ręce dygnitarze hitlerowscy. Bowiem od sześciu lat wywozili Niemcy z Polski masowo dzieci, oddając je na wychowanie do różnych żłobków, ochronek i domów wychowawczych dla sierot, sprzedając rodzinom baurów niemieckich na własność. Były to dzieci paroletnie, wywożono też niemowlęta kilkumiesięczne.

Zestawiając przypadkowo uzyskane i ułamkowe cyfry, dochodzę tutaj do potwornej liczby kilkunastu tysięcy dzieci w wieku od kilku miesięcy do paru lat, które NIEMCY UKRADLI W POLSCE, ażeby wychować z nich przyszłych bojowników o wielkość narodu niemieckiego, przyszłych janczarów. Kaloryczno-humanitarne wyczyny dyrektorów UNRRA dorzuca już nam tylko drobny naddatek do tych strat, jakie wyrz dziłi nam Niemcy, świadomie wyniszczając naród polski.

Ale powstaje pytanie inne — kto się zajmie rewindykacją tej naszej „przyszłości narodu”? Władze okupacyjne angielskie i amerykańskie zapewne nawet nie wiedzą, o tym, a gdyby nawet wiedziały to, doprawdy, trudno przypuścić, żeby zechciały się zajmować tymi sprawami.

Różne misje „rządu” warszawskiego, które grasują tu wśród Polaków, mają inne zadania: utrzymać tę masę polską w stanie stałego chaosu, zdenerwowania i niepewności. Wykonują one tylko rozkazy swych „rukowoditelej” moskiewskich, a Moskwie napewno zależy nie mniej niż Niemcom na wyniszczeniu narodu polskiego.

Zresztą my, co byliśmy w Rosji, pamiętamy również dobrze te „dietomy” i te „prijury”, w których wsi. kły dziesiątki tysięcy polskich dzieci.

Sam Polacy w Niemczech? Ależ oni tutaj drżą z obawy o własne dzieci! Oni nie są pewni, czy ich też nie zmuszą do oddania ich dzieci pod „opiekę” niemieckich czy moskiewskich wychowawczyń!

Więc polski rząd legalny, polskie wojsko? Tak! Ci zrobiliby to napewno, gdyby mogli działać. Ale ci właśnie są obecnie tak skrepo-

wani, możliwości ich komunikowania się z polskim przymusowym wychodźstwem w Niemczech tak utrudnione, możliwości oddziaływania na jego losy tak ograniczone, że właściwie są oni skazani niemal całkowicie na bierną rolę przyglądania się temu wszystkiemu co się dzieje w Niemczech — z daleka.



(Fot. A. Chruściel)

Mamy tu 14 dzieci...

To zaprzepaszczenie kilkunastu tysięcy polskich dzieci — to jeszcze jeden rezultat nie uznawania rządu polskiego w Londynie przez sprzymierzonych.

Kartofle

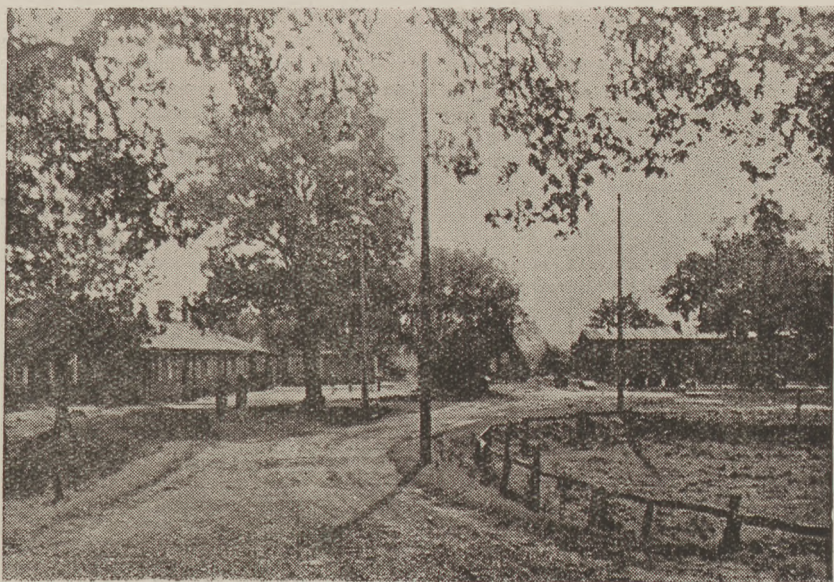
Po całodziennym myszkowaniu w okolicznych obozach polskich wracaliśmy leśną, wyboistą drogą na noc do M. Znow w ramach budy samochodowej przesuwaliśmy się przed oczyma wycinki krajobrazu, ruchome pejzaże, żywcem tu przeniesione gdzieś z kresów wileńsko-nowogródzkich.

Pod koniec października nad holenderską granicą dni są krótkie i zimne. Przeważnie pada deszcz. Drobny kapuśniaczek, nudna, tęskliwa szaruga.

Ale dziś już drugi dzień jest pogodnie. Niebo było czyste. Powietrze jasne.

Miało się ku wieczorowi. Olbrzymia żółta łuna na zachodzie przetapiała się pasmem seledynu w chłodną siność wysokiego nieba.

Wzdłuż drogi stały niekończące się lasy: brązowe, złote, rude. Czasami tę gamę jesieni przyćmiewał zagon czarno-zielonych świerków, łagodzący baldachimy strzelistych sosen, aż błę-



(Fot. A. Chrusciel)

. pejzaże, żywcem tu przeniesione gdzieś z kresów wileńsko-nowogrodzkich.

kitnawych w oddali. A potem znów rdzawe buki, pożółkłe graby i wiży, jaskrawo czerwone klony...

Ciemno-zielonymi kopułami stały dęby na leśnych polanach: białokore brzozy, otulone wyblakłym złotem listowia, pochylały się, jak płaczki przed nimi.

Dołem, po ziemi, snuły się liliowe wrzosey, sterczały w górę oliwkowe pręty żarnowca, ściekła się szara, splątana gęstwa mchów, traw i krzaków.

W miarę jak kończy się dzień, z tego gąszczu leśnego zaczynają wypełzać wiotkie kosmyki mgły i przysłaniają dal zimnym woalem. Wszystko szarzeje powoli, blaknie i stoi nieruchome, martwe, milczące, jakby przystąpięte przezroczystą taflą łamliwego jesienno-łodu.

Tylko kiście przydrożnych jarzębów lśnią jeszcze pełni koralowej czerwieni i dymy, idące z kominów wiejskich chat, są sine i wyraźne.

Tylko czerwone liście klonu, rozczapierzone i krwawe, niby obdarte ze skóry dłonie, drżą boleśnie na wietrze, wyciągają się ku mnie i mamą i przywołują z najtajniejszych zakamarków świadomości biedną ludzką tęsknotę...

Na polu pod lasem kończą chłopcy kopanie kartofli. Grzebią w ziemi nieruchawe niemieckie baury, opodal stoją już wyladowane dopełna wielkie wozy, ciężkie fryzyskie koniska skubią zieloną trawę. Dorodne blondynki — dobre Niemki — noszą koszami duże piękne ziemniaki. Szaro-żółte bulwy, okrągłe i czyste, toczą się po ziemi, układają się w stożkowate kopczyki.

Niemcy pracują powoli — pocóż mają się śpieszyć? Czego nie wykopią dziś, zbiorą jutro. Nikt im w tym nie przeszkodzi, nikt nie zażąda daniny nadzwyczajnej, nikt nie sięgnie po

ich własność. Pewność jutra i zadufany w sobie spokój panuje nad tym zakątkiem. Żadnych śladów niedawnej wojny nie ma w tym kraju. Murowane domy wiosek dymią z palenisk kuchennych, stada czarno-białych krów wracają z soczystych pastwisk z wymionami pełnymi słodkiego mleka dla rumianych dzieci niemieckich, ciężkie wozy ziemniaków jadą do niemieckich piwnic.

Przed paru dniami poznałem w jednym z obozów profesora Z., nauczyciela gimnazjalnego ze Lwowa. Profesor przesiedział parę lat w niemieckich obozach koncentracyjnych i opowiadał nam różne fragmenty z tych czasów. Mówił sucho i bezbarwnie, bez patosu, bez żadnych uczuciowych wyjąskawień, mówił jak człowiek, w którym już dawno wypaliły się wszelkie uczucia ludzkie i pozostał tylko jakiś beznamiętny mechanizm rzeczowo rejestrujący fakty:

— Staliśmy z bratem za drutami przy wejściu do obozu, kiedy przyprowadzili tych nowych. Były to już jakieś łachmany ludzkie, szkielety powleczone wiotką skórą... Nie mogli się utrzymać na nogach i jak ich było kilkudziesięciu, wszyscy się zwalili w beładne kłębowisko ciał...

Do leżących podszedł wachman obozowy, wysoki, tęgą szwab. Niespodzianie rzucił między nich kilka ziemniaków.

I wtedy stało się coś nadzwyczajnego. Przez te beładne, obojętne, niemal już martwe ciała jakby przeszedł prąd elektryczny. Wszystko rzuciło się, zakotłowało, zaruszało się w śmiesznych, niemrawych podrygach goniąc za toczącymi się po ziemi bulwami.

Jedna twarz zwłaszcza wrażyła mi się w pamięć... Właściwie, nie była to już nawet twarz,

tylko czarny otwór pożądliwych ust i para oczu z jakimś nieziemskim zachwytem wpatrzona w ziemniaczaną bulwę.

Temu udało się złapać kartofel. Ale w tej właśnie chwili jakiś inny dągnął go czymś w pochylone plecy. Nie potrafię powiedzieć co to było: może kilo, może nóż, może po prostu kawał żelaznej sztaby. I skąd on to miał? Nie wiem. Dość, że przebite ciało zwało się bezwładnie, a zdobywca dopadł kartofla...

Wtedy jeszcze inny, trzeci, który już czatował nad walczącymi, łupnął go w łeb jakimś drągami i złapał w łot wypuszczoną z rąk padającego zdobywcę...

Zacząłem się wtedy śmiać. Śmiałem się długo, długo i głośno, aż przestraszony brat zarzucił mi kurtkę na głowę i przemocą odciągnął od drutów: niebezpiecznie było zwracać na siebie uwagę strażników obozowych!

Profesor Z. umilkł. Jego szaro-żółta twarz była martwa i beznamiętna, jak maska z szarej masy papierowej. Oczy, również szare i zagaste patrzyły przed siebie niewiedzącym spojrzeniem, zwrócone gdzieś w głąb, w siebie, w mroczną dal koszarnej przeszłości...

— I niech pan nie myśli — zaczął znów — że tamten mój śmiech był przejawem jakichś tam moich przeżyć, jakimś krótkim spięciem myślowym, sarkastycznym śmiechem człowieka, który w tym nagłym skrócie ujrzał całą bezlitosną śmieszność egzystencji ludzkiej... Nie! Żadnych takich! Żadnej literatury, żadnych inteligentkich kawałów! Nie myślałem nic: rozumie pan? Najwyuczajniej nie! Po prostu niewymownie śmieszne były te podrygi, te niemrawe ciała, niesamowite ruchy tych skaczących szkieletów...

Ale musi pan wiedzieć jedno — tu pochylił się ku mnie konfidencjonalnie i mówił dalej półszepem, szukając wzrokiem zrozumienia i współczucia w moich oczach — my wszyscy, którzy byliśmy w KZ jesteśmy wariatami. Wszyscy, panie. Mówię to, bo sam byłem w KZ i jestem pedagogiem, wykładowcą psychologii. Ja się znam na tym. Bo przecież ja sam dzisiaj, po pół roku wolności, wciąż marzę o jednym: mordować Niemców!... Ach, zobaczyć tę niemiecką bandę mordującą się o nadgniłe kartofle! —

Kiedy słuchałem tego opowiadania, nie zrobiło ono na mnie większego wrażenia. Raczej przyjmowałem je jako rejestrację jeszcze jednego faktu, których już tyle nosiłem zapisanych w pamięci, jako jeszcze jedną ilustrację potwornego rozkładzania bestii ludzkiej.

Ale teraz wracała ta historia do mnie znów, wypelzała w strzępach wilgotnych oparów z nocnej émy, kottowała się i falowała upiornymi majakami leśnych cieni.

Bowiem ściemniło się już na dobre. Nadeszła wczesna noc, zimna i mglista. Tuliliśmy się w płaszcz owiewany ostrym chłodem. Nawet papierosa nie chciało się zapalić. Milczeliśmy, zziębnięci i przgnębieni.

Tylko Stefan, nasz zapasowy kierowca, zaczął, jak zwykle, swoje wieczorne gędzenia.

Dziwny chłopak! Przesypiał zazwyczaj cały dzień zawinięty w płaszcz w kącie wozu. Układał się w najbardziej fantastycznych i niewygodnych pozycjach i nic go nie było w stanie obudzić. Ale gdy się tylko ściemniło, budził się sam i zaczynał mówić. Musiał mówić. Powoli i z namysłem, jakby ciągnął słowa z gęstej smoły, lepił zdania, dobierał wyrazów, przystawał, jękał się i dukał te swoje historie. Były to jakieś powtarzające się w kółko, dobrze wszystkim znane, więzienne sprawy. Czasami tylko wspominał mimochodem o minionej wojnie, mówiąc jak o rzeczach mało-ważnych i nieistotnych o jakichś tam szurmach i wypadach do bunkrów niemieckich — i szybko wracał do kryminatu: Czernihów, Charków, łagry na północy...

Teraz znów z zimnej émy nocnej syczyły się jego niemrawe, jakby wciąż zastanawiające się nad własnym znaczeniem, słowa:

— Nu, to zamkli mnie oni do karceru. Na dziesięć dni. Karcer — znaczy się zabrali mundur, zostawili tylko w białiznie... Jesć, wiadomo, też nie dają. Nu, tiepier buntował niebudiesz, — objazatelno podochniesz — powiedział strażnik. Tak i prawda — byłby ja tam zdechł musowo. Ale ot, — w kącie w karcerze była dziura w podłodze. Jak posiedziałem ja tak jakieś czas wyłazi z tej dziury szczur. Wielki taki, nigdy więcej takiego szczura nie widziałem. Siedzi on w tym kącie i patrzy na mnie. Patrz ja na niego. Tak cały dzień siedzimy i patrzymy na siebie.

A w nocy zaczął ten szczur przez dziurę suchary taskać. Taska i taska. Co on pójdzie — to ja za suchar i zjem. Tak całą noc ciągał ten szczur suchary, a ja jadałem.

Na drugi dzień siedzi on znów naprzeciw mnie i patrzy na mnie, nu, ot jakby się dziwił i chciał mnie o te suchary zapytać. Jak Boga kocham, tak patrzył jakby chciał coś zapytać! I znów siedzimy my cały dzień jeden naprzeciw drugiego — a w nocy znów on taska, a ja jem...

Ot, tak i przesiedziałem ja z tym szczurem dziesięć dni w karcerze — zimno było tylko cholernie — ale jadłem, to i lepiej nawet, niż przedtem... A żeby nie ten szczur, to pewno byłaby prawda tego bolszewika: zdechłby ja tam musowo...

Stefan milknie. Milkną ostrożne, niezgrabne słowa, które jak niewidzialne szczury chrobiały w ciemności w kącie wozu...

Jest coraz później, coraz zimniej i coraz nieznóżniej. Za dużo tego smętku tak bardzo po polsku złotej jesieni, za dużo rozpamiętywań tej polskiej nędzy i krzywd...

Całe szczęście, że już podejdzamy do miasteczka i wkrótce będziemy w domu. W domu — to znaczy w dwóch zarekwirowanych dla nas pokojach w mieszkaniu właściciela zakładu stolarskiego, dobrego Niemca Wilhelma Hermesa. Mieszkają tu sam Hermes, jego małżonka, Frau Hermes, dwóch młodzieńców, chudych i bladych byłych żołnierzy armii niemieckiej, skrzętnie unikających rozmów na tematy owoich

bohaterskich wyczynów wojennych, wreszcie trzy obfitykszałte blondynki — trzy dorodne Hermesianki.

Nasze stosunki z rodziną Hermesów układają się właściwie w płaszczyźnie wzajemnego niedostrzegania siebie — mamy zarekwirowane pokoje i nie nas nie obchodzą właściciele mieszkania — ale Hermesy siłą wielowiekowych nawyków narodu niemieckiego, które im wszczepiły w krew potrzebę zabiegania o względy każdego, kto wejdzie do ich domu nie z prośbą, lecz z żądaniem, próbują od czasu do czasu uczynić w naszym kierunku jakiś niezgrabny gest uprzejmości.

Dzisiaj, kiedy wchodzimy do mieszkania, drzwi do hermesowych apartamentów zastajemy otwarte i pani Hermes, zapraszając nas do siebie na pieczone kartofle, „Ach” — biadoli prowadząc nas do obszernej kuchni, gdzie na szerokim kominię leżą pod gorącym popiołem szare bulwy, — „ach, to nie jest żaden piękny schweinfest... O! już dawno, dawno nie biliśmy wieprza! Ha, wojna! Ale niech panowie spróbują, świeże kartofle, właśnie dziś przywieźliśmy z pola”.

Właściwie bardzo mi się nie chce tych Hermesów, ale wciąż mnie nurtuje uporczywa chęć doskrobania się do tego, co tam tkwi w duszach tych prostych ludzi, tych „dobrych” Niemców; ponadto mam dziś ze sobą niemieckie ilustrowane wydawnictwa o koncentracyjnych obozach (to humanitarni anglosasi, wierzący w siłę perswazji, usiłują tymi wydawnictwami zohydzić Niemcom metodę masowego mordowania), chcę je pokazać Hermesom i przeprowadzić z nimi wywiad na ten temat.

Ale eksperyment z KZetami nie chwyta. Po krótkich „och” i „ach” Hermesianek, po solennych zapewnieniach starego Hermesa, że o podobnych bezczesławstwach oni tu nigdy nawet nie szłyszeli, rozmowa słowo po słowie oddala się przezornie od tego wstydliwego tematu, schodzi na utarte i wypróbowane tory wyrzekania i biadoła na nędzę, niedostatek i ciężkie czasy.

— Żeby się podobne rzeczy działy — likwiduje sprawę KZetów papa Hermes — to coś niesłychanego! Ale... wszędzie są zli ludzie, tak, to zli ludzie, wyrodki, za których nie może być nikt odpowiedzialny...

Ci jacyś bliżej nieokreśleni „zli ludzie” mają wytłumaczyć wszystko. Ciekawe, że właściwie nigdzie w Niemczech nie słyszałem narzekania i obwinień rzucanych na Hitlera. Niemcy zazwyczaj unikają rozmów o Fuehrerze, zbywają je krótko i niechętnie bagatelizując, czym wzruszeniem ramion: no cóż, było — nie udało się — nie ma o czym mówić... Teraz trzeba myśleć o rzeczach realnych, trzeba się odbudowywać, dźwigać z tej ruiny, z tego nieszczęścia, w jakie zli ludzie wpędzili biedne Niemcy.

Wystarczy, ażeby rozmowa zeszała na te wyrzekania, a wnet wszystkim rozwiązują się języki: sypią się przykłady i dowody tych braków i niedostatków, aż wreszcie wypływa żal największy — brak mężczyzn.

— Czy pan wie, że teraz w Niemczech wpada na jednego mężczyznę aż pięć kobiet? — załamuje dramatycznie ręce Frau Hermes, a wszystkim trzem Hermesiankom zaczynają intensywnie falować dorodne biusty, wezbrane ochotą do karmienia nowych pokoleń przyszłych władców świata.

Nie mogę tego dłużej słuchać. Znowu zła fala gniewu podływa mi do gardła. Znowu czuję nienawiść do tego narodu, tak ostrą i agresywną, jak nigdy nie czułem w czasie najcięższych walk, w czasie największych naszych strat na froncie.

Nie! Oni się niczego nie nauczyli i niczego nie zrozumieli! Oni naprawdę wierzą, że są niewinni, że spotkała ich niezastużona krywda. Oni naprawdę w tych wiejskich domach chcą się tylko wzmocnić, odkarmić, odrodzić się, porosnąć w siłę. A że tam po jakimś czasie znów znajdzie się jakiś kolejny Hitler, który ich znów poprowadzi na kolejny podbój świata — to oni dziś o tym nie myślą. Pójdź tylko za nim, tak jak szli już tyle razy, naród karny i zdyscyplinowany, i — albo się uda tym razem, albo, tak jak teraz, znów będą bagatelizować wzruszając ramionami: no cóż, trudno, było — nie udało się — nie ma o czym mówić!

Wycofuję się na naszą „zarekwirowaną” postelę i długo w noc leżę, nie mogąc zasnąć, przebiegając wciąż w myśli te wszystkie widziane w paru ostatnich tygodniach rzeczy.

A kiedy wreszcie zasypiam, do rana męczą mnie i budzą koszmarnie sny.

Śni mi się długa aleja brzoza, po której wiozę w taczkach kartofle. Obok mnie tłum innych ludzi. Sami swoi, same znajome twarze... Śpieszymy się bardzo, taczki są bardzo ciężkie, aleja zwęża się, płacze w gęste zarośla. Czerwone liście klonu wyciągają się ze wszystkich stron, drżą jak skrwawione dłonie, biją po twarzy. Między tłumem biegają Hermesianki, potrzebują olbrzymimi biustami, krzyczą: „dawaj poskorej! dawaj wpierd!” i walą przez głowy kijami. Uchylam się przed ciosem i padam, wywracając taczkę. Kartofle toczą się po ziemi duże, szaro-żółte. Toczą się coraz szybciej, coraz szybciej i zamieniają się w wielkie szare szczury, które z chrobotem i piskiem biegają dookoła mojej głowy. Za nimi wyciągają się ręce, tysiące drapieżnych rąk. Szczury i ręce kłębą się, kotłują... Po nich biegają, deptają wszystkie trzy Hermesianki z koszmami kartofli na głowach i śmieją się, śmieją się, śmieją. Nie mogę słuchać tego przeraźliwego śmiechu, zatykam sobie rękomą uszy i wtedy pod dłonią czuję twarz, twarz profesora Z. i słyszę jego szept: wszyscy jesteśmy wariatami, tak panie, wszyscy — ja się znam na tym.

Budzę się nad ranem zmęczony, rozbity, chory. Pierwsza, nawałot jeszcze świadoma myśl, która się wypły tuje z oparów tych snów, układa się w cierpkie pytanie: a może jednak profesor ma rację?

Tadeusz Zajczkowski.

Ślady wśród ruin

Nie wystarczy wiedzieć, jak skończył się żywot Akademii im. Mickiewicza w Bolonii*). Dobrze jest zdać sobie również sprawę z tego, co jeszcze po niej pozostało, jakie ślady, jakie pamiątki? Jeśli już sama ciekawość tego nie wymaga, to wiadomo, że przykro jest nie wiedzieć o tym, co jest tak czy inaczej polskiego wokoło nas. Nie tylko nam wszystkim, żołnierzom. Bo proszę zauważyć, jak zasiedziali Polacy i Włosi się wstydzą, gdy im się wspomni, że w bezpośrednim ich otoczeniu znajdują się jakieś pamiątki po naszej przeszłości, lub po naszej dawnej, wspólnej przyjaźni, pamiątki, o których oni mało co lub niemal nic nie wiedzą.

Dopytując się o ślad istnienia Akademii im. Mickiewicza w Bolonii nieraz na takie zawstydzenie się można było natknąć, tym miłsze, że zaraz pokryte odruchem żywego zainteresowania się i chęcią współdziałania, pomocy w poszukiwaniach. Pomimo zatroskania niejednego z mieszkańców Bolonii swymi własnymi sprawami, szczerze trzeba przyznać, że nie zdarzyło się napotkać jakiegos odruchu obojętności, jakiegos zdziwienia, że przecież chodzi o rzeczy stare, przebrzmiałe, nikomu dziś do życia nie potrzebne.

To też z życzliwością i zainteresowaniem komandor Domenico Fava, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej w Bolonii, wysłuchał przypomnień o istnieniu kiedyś przed 70 laty założonej Akademii Mickiewiczowskiej i nie zaczął swego cyceronowania po salach Almae Matris Studiorum, nim nie przeczytał całej rozprawki Władysława Mickiewicza o obchodach włoskich na cześć Wielkiego Adama w latach 1878-79. Potem z pomocą przyszedł mu jeden ze starych jego współpracowników, który mógł jeszcze z własnych wspomnień coś z tych czasów wiedzieć i pamiętać.

Trzeba bowiem pamiętać, że tradycja zainteresowań na tym uniwersytecie sprawami polskimi urwać się mogła już co najmniej dwa razy. Raz, gdy nastąpiło ograniczenie zainteresowań literaturami słowiańskimi — jedynie do literatur rosyjskiej i jugosłowiańskiej. Potem, gdy w najświeższych czasach nastąpiło odmłodzenie kadr profesorskich i urzędniczych w związku z dość radykalnymi zmianami personalnymi, nieodłącznie towarzyszącymi wielkim powojennym „przewrotom”, jeśli nie ustrojowym, to przynajmniej „politycznym”.

Podjęte przez dyr. Fava poszukiwania dały rychły wynik. Mógł on szybko pochwalić się posiadaniem wydanej przez Akademię im. Adama Mickiewicza broszury pt. „Programma dell'Accademia - Panславismo Russo - Avvenire della Polonia - La Polonia e l'Europa - La triplice alleanza - Discorsi del prof. Domenico Santagata” - Bologna - Tipografia Militare (tak!) - 1885 - str. 166 i 2nl. I oprowadzić po salach, w których odbywały się posiedzenia

Akademii. Na pierwszy ogień poszła dawna Aula Magna, czyli wielka aula, dziś główna sala lektury biblioteki uniwersyteckiej. Narazie jest to nieczynna piękna sala w stylu XVIII w., ufundowana przez papieża Benedykta XIV w r. 1752, gdzie po wybudowaniu nowej auli o której będzie jeszcze mowa, urządzono główną czytelnię uniwersytecką. Względnie widna, przestronna, sala otoczona jest kolumnadą z boazerii, między kolumnami drewnianymi widnieją zaś półki wypełnione starymi foliarami, sięgającymi do galeryjki biegnącej w koło, i wypełniającej jeszcze wyżej, aż do sufitu. Tu ponad 500 osób niedgdyś łatwo się mogło pomieścić, gdy stały tylko rzędy krzesel i nie było stołów, czy pulpity do czytania.

Z kolei przeszliśmy do dawnej sali chemicznej, w której niepodzielnie panował kiedyś prof. Santagata, twórca i dusza akademii. Dziś salę tę podzielono na dwa osobne pomieszczenia, również jeszcze przestronne, ale najmniejsze ze wszystkich oglądanych. Tu odbywały się posiedzenia prezydium Akademii im. Mickiewicza. Ale tu miały też miejsce i niezwykle w swym przebiegu wykłady chemii. Jak wynika bowiem z opowiadań ostatniego żyjącego jeszcze sekretarza Akademii, adwokata Olszewskiego, wykłady te zaczynały się i nieraz kończyły okrzykami studentów na cześć Polski: „Viva la Polonia”.

Z początku były to faktyczne objawy sympatii dla Polski i założyciela Akademii im. Mickiewicza. Często zdarzało się, iż prof. Santagata wzruszony tymi manifestacjami studentów zaczynał mówić o Polsce i Akademii i chemia szła zupełnie na bok. Z czasem połapali się na tym sprytniejsi słuchacze i zaczęli nadużywać sentymentów starego profesora. Manifestacjami na cześć Polski odwozili go od właściwych wykładów o chemii i woleli potem słuchać jego krasomówczych występow, aniżeli wkuwać suche i abstrakcyjne formuły chemiczne.

Wiecej kłopotu było natomiast ze sprawą odśluskania miejsca, gdzie mieściła się tablica z medalionem Mickiewicza, dłuta Brodzkiego. Nikt z zarządu gmachami uniwersyteckimi z kustoszem prof. inż. Guido Zucchini nie mógł sobie w pierwszej chwili przypomnieć tego miejsca, ani też, co się mogło stać z tym medalionem. Dopiero wezwany na konsultację stary woźny - pedel z sąsiedniej dyrekcji rektoratu przypomniał sobie najwyraźniej, że oto tu, opodal okienek kwestury, w bocznym korytarzu przy nowej wielkiej auli znajdowało się prowadzące po schodkach wejście do sali tzw. Zoologicum czy też Antropologicum. A nad tym wejściem, wewnątrz przedsionka, widniał niedgdyś istotnie medalion „jakiegos poety polskiego”. Potem salę tę zmieniono i na jej miejscu

*) Patrz: „Na szlaku Kresowej” n°ry 7 (25) z sierpnia i 10 (28) z listopada 1945 r.

i części przylegającego ogrodu zbudowano nową Wielką Aulę. Dlatego dziś po tamtym audytorium nie ma prawie żadnego śladu. Został zaledwie otwór z drzwiami w miejscu dawnego wejścia i to wszystko. O tym, jak było przedtem, zapominano, choć rzecz wcale nie tak dawna, zaledwie sprzed 15 laty.

Wszyscy sobie potem po trochu przypomineli, ale o losie samego medalionu nie nie mogli powiedzieć pewnego. Podobno przy usuwaniu go płyta pękła i gdzieś ją schowano, czy też wyrzucono. Nikt napewno nie wie. Przypuszczano, że ją schowano w piwnicach lamusa uniwersyteckiego, lub że ją przekazano do muzeum miejskiego, jak tyle innych temu podobnych „zdezaktualizowanych” chwilkowo zabytków. Wszelkie poszukiwania w tym względzie dały dotychczas zupełnie negatywny wynik. Ostatnia nadzieja w prof. Fabio Frasello, zamieszkałym na prowincji, który wykładając często w tej sali, zdolał sobie może coś przypominąć. Do niego skierował mnie prof. Zucchini w uprzejmej karcie, świadczącej o życzliwym zainteresowaniu się tą drobną z praktycznego punktu widzenia sprawą.

Dalsze sale i dalsze płyty, a właściwie jedna dalsza płyta, znajdowały się już poza uniwersytetem, w mieście. Najbliższą z kolei salą do obejrzenia była ta, która mieściła się w dawnym liceum muzycznym, a obecnym konserwatorium bolońskim. Przy tej samej bowiem ulicy Zamboni, na której stoją gmachy uniwersyteckie, znajduje się plac im. Rossiniego i wszechnica muzyczna, nazywana popularnie tym samym imieniem. Mieści się ona w starym gmachu, który dziś już tylko w części służy celom muzycznym, gdyż po prostu właściwe sale szkolne zajęto na ... urzędy prefektury policji. Wiadomo, oświata i kultura rzeczy bardzo ważne, ale... bezpieczeństwo publiczne również musi być.

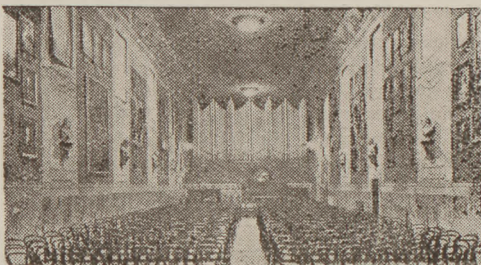
Szukając dyrektora, czy też bibliotekarza tego zakładu naukowego, a nie policji, z góry zdawałem sobie sprawę z tego, że trudno wymagać aby ktokolwiek pamiętał o takim fakcie, iż raz kiedyś w sali koncertowej Liceum odbyło się posiedzenie jakiejś akademii o obcej nazwie. Zwłaszcza, że jak się wkrótce przekonałem, mało kto z „ludzi” tego konserwatorium wiedział, jak się ono właściwie powinno nazywać. Dopiero to sobie wspólnymi siłami trzeba było wyjaśniać na podstawie monografii o historii tej uczelni.

Trzeba było bowiem szczęśliwej okoliczności, że kierownikiem, czy też rodzajem delegata do tej instytucji z ramienia miasta Bolonii okazał się nie tyle może Polak, co mocno zasiedziały w Polsce i rzec można spolonizowany w Wilnie Włoch — Napoleon Fanti, niegdyś, a dokładnie mówiąc, do 1940 r. mieszkawiec Wilna, przed wojną bliski współpracownik Polskiego Radia, muzyk i szczerzy przyjaciel Polski. On to też z czarującym zażenowaniem wręczył mi dzieje konserwatorium, napisane przez Claudio Scitóri pt. „Il R. Conservatorio di Musica „G.

B. Martini” di Bologna” (Firenze 1942 r.) w nadziei, że przecież czego pamięć ludzka nie zachowała, to się uwadze historyka nie mogło wymknąć.

Rzeczywiście: krótkie przewertowanie książki pozwoliło ustalić, że Liceum muzyczne w Bolonii nigdy właściwie nie nazywało się formalnie imieniem Rossiniego, choć tak się o nim wspomina w książce Władysława Mickiewicza o uroczystościach włoskich na cześć jego wielkiego ojca. I to samo przetrwało w zwyczajach językowym współczesnych, którzy nie wiedzą nic o istnieniu konserwatorium im. Martiniego, starego muzyka bolońskiego, choć przemianowanie formalne na im. Martiniego nastąpiło zaledwie w r. 1925, (6.XI), a statuty zrównyrujące Liceum muzyczne z wyższą szkołą konserwatoryjną uchwalono w ciągu r. 1930. Wypadało się nad tym zatrzymać, aby sprostować i ustalić właściwy stan rzeczy wobec przypuszczenia wyrażonego w art. pt. „Akademia Mickiewicza w Bolonii” (w nrze 7 „Na szlaku Kresowej” str. 41-47), iż Liceum istnieje pod postacią „konserwatorium im. Rossiniego”.

Ale co zostało z „wielkiej sali” Liceum? Owszem, stosunkowo dużo, choć mało brakowało, aby nic nie zostało. Bo oto z długiej sali im. Bossi, na ok. 500 osób z organami w tle, jak to widać z fotografii u Scitorigo, ujrzed można dziś tylko gołe ściany, mocno porysowane, bez organów, które dopiero mają być znów zmontowane. Stan obecny jest rezultatem chybionej bomby, która padła w pobliżu



Sala Bossi w bolońskim Konserwatorium

mocno wstrząsnęła szacowną budowlą szkoły, stojącą przy kościele św. Giacomo (Jacka) Maggiore, w stylu romańskim z XIII w., a będącą niegdyś klasztorem oo. Augustynów pod tym samym co kościół wezwaniem. Tak było do r. 1805. Dotychczas zachowały się w całej swej krasie: podwórze arkadowe i schody zaprojektowane przez Alfonsa Torregiani. Teraz jednak całe życie konserwatorium skupia się w kilku pomieszczeniach biblioteki, niegdyś najzacieśniejszego, a dziś najruchliwszego zakątka szkoły.

Następne poszukiwania śladów wiodły do Archigimnazjum, dawnego gmachu uniwersyteckiego, w samym centrum miasta. Z całego budynku datującego się z XVI w. uległa zniszczeniu część czworoboku, w którym mieściła się słynna sala Anatomicum. Sala czytelni natomiast

nadal imponuje bogactwem różnych ozdób, przeważnie wszelakiego rodzaju herbów studentów i krajów, z których pochodzili, jak też ze swymi schodami i korytarzami zachowała się nagromadzeniem książek i rękopisów. Pierwsze wrażenie, gdy się spojrzy na podwórze, jest takie, że właściwie cały budynek uległ zburzeniu. Trafiony został całą serią bodajże 4 bomb, przeznaczonych najwidoczniej na niezbyt odległą pocztę centralną. Najwspanialszej sali w jakiej kiedykolwiek zdarzyło się zebrać członkom Akademii im. Mickiewicza, sali Anatomicum, nigdy już w całej jej krasie nie będziemy mogli obejrzeć. Nie tylko sama leży w ruinach, ale swymi szczątkami przysypała jeszcze magazyny, w których znajdowały się zbiory zdeponowanych książek, a m. in. i księgozbiór naszej Akademii.

Ale to dopiero z rozmowy z dyrektorem biblioteki Archigimnazjum (czyli czegoś większego niegdyś niż gimnazjum), okazało się, iż te książki tu naprawdę zawędrowały. Wspominając dzieje Akademii dyr. Alberto Serra-Zanetti przypomniał sobie nie bez pewnej trudności fakt złożenia tego księgozbioru, nie mogąc sobie zrazu przypomnieć, kto i dla czego tego daru dokonał. Sam katalog zbioru został zapewne przez Niemców gdzieś zapodziaany, gdyż używali oni skrzynek od katalogów do przesyłek żywności dla swoich rodzin. Kartki katalogowe po prostu wysypywali. Jedynie trafem odnaleziono spis książek, odręczny, wykonany przez p. Michalinę Olszewską, ostatnią ich posiadaczkę, wraz z podaniem daty ich przekazania, gdzieś w r. 1925. Zawiera koło 250 pozycji prócz dublikatów.

A co z samymi książkami? Były złożone w magazynie pod aulą Anatomiczną, wraz z wielu innymi. Zostały po bombardowaniu kompletnie zasypane. Wszystkie te książki odkopano i ustawiono, tak jak się cegły układa, jedno na drugich w branie, przy wejściu do biblioteki. Tak „zamurowano” książkami głęboką niszę na dobre trzy metry wysokości. Teraz bierze się grupkami te książki do specjalnej pracowni bibliotecznej i rekonstruuje się je, dobiera kartki, kombinuje okładki i ze strzępów odtwarza znaczną część biblioteki. Kiedy się skończy tę syzyfową pracę i kiedy dojdzie się do książek ze zbioru Akademii — tego dziś nikt nie potrafi powiedzieć.

Przy tym nadarzyła się sposobność obejrzenia dawnej auli Archigimnazjum, dziś służącej za salę czytelnianą, której całe ściany są pokryte emblematami i dawnymi herbami. Sala ta też mogła pomieścić z pół tysiąca słuchaczy. Wszystko tam dziś jest w nieładzie i pokryte grubą warstwą strąśniętego eksplozjami pyłu. Co najmniej lat trzeba będzie na jakie takie doprowadzenie wszystkiego do poprzedniego stanu używalności, o ile znajdą się fundusze na odbudowę zrujnowanego skrzydła. Jeszcze należało obejrzeć salę biblioteki św. Łucji. Była to aula przerobiona z dawnego kościoła pod tym wezwaniem, który z nieznanych dziś powodów, być może po r. 1870, został

„odświęcony” i zamieniony na gmach Biblioteki Ludowej. Budynek ten mieści się nadal na ul. Castiglione 5, w pobliżu Liceum-Gimnazjum im. Galvaniego. Niedaleko od tego miejsca wznosi się nowy budynek kościoła św. Łucji. Dawny kościół przerobiono potem na salę gimnastyczną, tzw. palestrę. Dziś służy za skład Czerwonego Krzyża. Obdrapany, nagi fronton. Wejście zarośnięte trawą. Drzwi stale zamknięte, bo z rzadka się tam zagląda. Tyle zostało po budynku, w którym odbyło się jedno z ostatnich posiedzeń Akademii im. Mickiewicza; pozostały tylko po niej strzępy wiadomości, strzępy książek i strzępy ludzkich wysiłków.

Z imieniem naszego wieszczą i chwilę powstania Akademii łączy się wieść o płycie wmurowanej w jednym z domów na ul. dziś Maggiore, niegdyś Mazzini, a przedtem również Maggiore. Inaczej się dziś o niej nie mówi, jak strada Maggiore - niegdyś Mazzini, bo niegdyś początek tej ulicy przy dwóch wieżach nazywał się Mazzini, a koniec poza murami miasta Maggiore, a dziś jest wręcz przeciwnie. Ta dzisiejsza skomplikowana nazwa wskazuje na kontredans polityczny, jaki uprawiano tu z nazwami ulic, podobno do tego, jaki uprawia się jeszcze dzisiaj nie po raz pierwszy z nazwami ulic w całym wschodnim pasie środkowej Europy.

Jeśli się weźmie pod uwagę fakt, iż podobno płytę tę wmurowano na domu, w którym mieszkał Mickiewicz w r. 1848, gdy przechodził przez Bolonię ze swym Legionem Polskim, a potem płytę tę miano zdjąć i przenieść gdzieś do wnętrza, to trudnościom odnalezienia jej nie można się dziś dziwić. Zwłaszcza, iż dzięki zawodnej pamięci ludzkiej poszukiwania zostały skierowane w stronę domu pod nr. 3 lub 5, gdy w rzeczywistości okazało się, że znajduje się pod nr. 14.

Dużo czasu zeszło na poszukiwaniach w „terenach” i na wizytach u tych, którzy mogli być kiedyś w jakimkolwiek związku z tymi



Sala Ulissea w bolońskiej Akademii Umiejętności

pozostałościami. Więc od dyr. Fava na ul. Zamboni nr. 38 do kustosa gmachów uniwersyteckich prof. Zucchini na via San Stefano

36 i od dyr. Archigimnazjum Alberto Serre-Zanetti na via dei Musei do dyr. Muzeum Miejskiego (Museo Civico) dr. Mario Zuffa, gdzie była sposobność oglądnięcia cmentarzyska gipsowej glyptoteki oraz zbiorów po Garibaldim (obok Archigimnazjum).

A dalej od delegata miejskiego w konserwatorium, maestro Fantini na placu Rossiniego, czy via Rialto 13 do sekretarza Królewskiej Akademii Nauk w Bolonii prof. Salatiego znów na ul. Zamboni, jeśli już nie mówić o odwiedzinach u seniora kolonii Polskiej w Bolonii adw. W. Olszewskiego, na via Monte Grappa 3, gdzie miał swe biuro i w mieszkaniu na via Muzzi 17.

Potem wyprawa do kadastru na placu Malpighi obok zburzonego kościoła św. Franciszka i Nadintendury Sztuk Pięknych i Zabytków na via delle Belle Arti 42, do adw. Tubiniego na via Farini 12 i dra Reggianiego na strada Maggiore 58, potem na via Albertazzi 42, więc do właściciela domu pod nr 3 na Strada Maggiore, gdzie nigdy żadnej płyty polskiej nie było. Wreszcie droga zawiodła do p. Pasquale Zerbetto, właściciela (od r. 1921) domu na Strada Maggiore 14, pośredniego przez rodzinę Girottiich spadkobiercy po rodzinie Gauchów, właściciwych fundatorów płyty poświęconej Mickiewiczowi.

Na ten właściwy adres natrafił dopiero prof. Zucchini, szukając w starych książkach o Bolonii wzmianek o Polakach. Tą drogą doszedł do artykułu Carla Malagola pt. „I Polacchi in Bologna” na str. 38 „Bologna — album storico”, gdzie podany jest nie tylko adres Strady Maggiore, ale i pełny napis w jego istotnym brzmieniu (czyli bez podania daty wmurowania,

której widocznie wbrew projektowi nie umieszczono na płycie). Rozmowa z gospodarzem domu pozwoliła ustalić, iż odkąd on zamieszkuje ten dom, płyta zawsze znajdowała się w bramie domu, a nie na jego fasadzie. Dalej, że wszystkie osoby spośród poprzednich właścicieli domu które mogły pamiętać czasy wcześniejsze — powymierały. Dom ten uznany został za zabytek narodowy ze względu na znajdujące się na fasadzie terrakoty, co mogłoby pozostawać w jakimś związku z wersją o przeniesieniu tablicy do wnętrza, jakkolwiek nie ma żadnych pewnych danych na to, żeby kiedykolwiek musiała się ona znajdować na zewnątrz.

Płytą tą długo nie zajmowano się wcale. Gospodarze obecni przypominają sobie jednak, iż dopiero gdzieś w r. 1925 czy 1926 przyszła do ich domu grupa Polaków, która dokonała zdjęć tej płyty przy świetle magnezji, ale gospodarz potem nie otrzymał żadnej kopii tego zdjęcia, ani też nie słyszał, aby się ktokolwiek tą płytą zajmował. Rzecz jest więc nadal wdzięcznym zadaniem dla naszych amatorów sztuki fotograficznej, w przejeździe przez Bolonię, póki jesteśmy we Włoszech.

Sami oglądaliśmy ją późnym wieczorem, na odjeźdnym, przy świetle zapalek. Ustalenie „tożsamości” tablicy poszło już łatwo, jak i otrzymanie uzupełniających wiadomości o losach całego domu. Bez przysłówiowego łuta szczęścia i niezawodnej życzliwości mieszkańców i tym razem „młody Polak” szukający wśród ruin pamiątek po „starych Polakach” — by się nie obył.

On.

Ballada o Sindbadzie

Młodość ucieka i mnoży się blizny,
Przemierza żołnierz szlaki obcych lądów,
Wpatrzony w wizję, dalekiej ojczyzny,
W kompas, co z wrogich wywędzcie go prądów.
Przejdzie zasadzki zdradzieckiej mielizny,
Pozrywa strupy narostego trądu —
W walce z przyrodą, śmiercią, ludźmi, losem
Przez żadne nie da zatrzymać się ciosy.



Jakże daleko lata te dzieciinne,
Gdy szlak przygody był szlakiem tęsknoty —
I te meczety, jakże dzisiaj inne,
I jakże zbrzydło pysznych koput złotych
Jakże zszarzały mórz szmaragdy płynne,
Usnęła lądów nieznanych ochota
Dziś, kiedy zmienia tańcuch mil tysięcy
W tęsknioną bajkę własne skromne kąty.

Wolga i Pamir, Kazwin i Teheran
 I Ekbatana wydarta cmentarzom,
 Farys, Rzewuski, Czajkowski-weteran,
 Z nakiwnych sztychów jakieś dziwne twarze,
 Mossul i Bagdad, kalif co umiera
 W płonącej twierdzy, Turcy i Tatarzy
 Zeszli z obrazów w przeżycia codzienne,
 Jakże od baśni dzieciństwa odmienne!

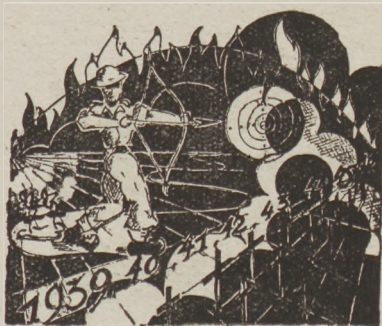


Czyż, przeczuwała wyobraźnia dziecka,
 Ze los je wyrwie z ojczyzstego domu,
 Ze nienawistna przemoc zła, zdraździecka
 Rzuci wygnaneńców w wszystkie świata strony,
 By znów, jak w starych piosenkach żołnierskich
 Walczyli wszędzie, gdzie łęgna się gromy,
 By znów szlakami wędrowki wysnutej
 Przez obce skały drogą kuź do domu?

Czyż w całym wielkim barwnym skarbcu świata
 Znajdzie się choćby jedna taka bajka,
 Ciężka od bólu, marzeniem skrzydlata,
 Prosta jak płosnka wędrownego grajka,
 Któraby zawrzeć mogła w sobie lata
 Smutne i barwne, jak ludowa krajka,
 Wstęga utkana z walki i zwycięstwa,
 Z kwiatów i cierni, cierpienia i mgstwa?

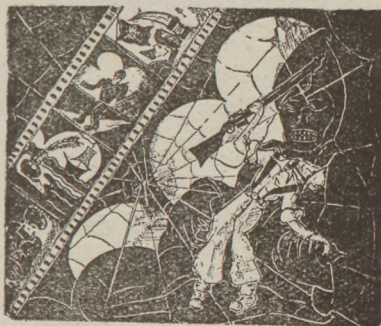


Lata tragiczne, napięte jak struna
 Ciężką woli dążącej do celu,
 Lata płonącej zorzy pod biegunem,
 I szarych grobów, które drogę ścięła.
 Lata, zatrute goryczą płotunu
 I gejzerami gorące wesela,
 Krwią wywalczona i trudem wezbrane,
 Nieodwracalne i niezapomniane.



Ale zdarzały się na szlaku chwile
 Gdy wzrok w pogodne unosił się sfery
 Kiedy płynące nie nużyły mile,
 Wolną od napięć była atmosfera,
 Ody myśli-kwiaty i myśli-motyle
 Grały melodyj starej tabakiery
 I bajka znowu wkraczała w swe prawa,
 Aby zabawne wywodzić kadryle.





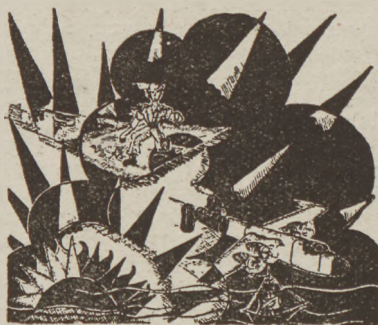
Być może dla nas, żyjących w epoce,
Która wcieliła bajkę tak dokładnie
W szarą codzienność, że promienne noce
Szecherezady podbarwić wypadnie,
Ażebym mogły czarodziejskie moce
Dorównać tyłcu, by dywan, co składnie
Wznosi się w chmury, mógł nadziwić w poję
W locie przez morze za „Liberatorem” —



Ale prze długie, młode, piękne wieki,
Gdy ptowy wielbił drepłat przez pustynie,
Gdy człowiek ciężki był, mały, kaleki
I w płytkiej wodzie rozpaczliwie ginął,
Bajka ta parła ku celom dalekim,
Kazata marzyć i walczyć i płynąć,
i była matką pirackiej odwagi,
Rycerskiej śmierci i dumnej przewagi.



Na takiej wyspie, wyrwane wędrowce
Kleszczami złotej, posępnej malarli,
Gdy zemdlal żołnierz, stojąc na placówce
I słne widmo groziło awarii —
Żyła ta bajka filmem na statkowie,
Lut zapomnianych ożywiający czary.
Bajka o dzielnym Sindbadzie-Zeglarzu,
Pocie morza, wódczędze, korsarzu.



By Aleksander w kryształowym dzwonie
Pod oceanem szukający wrażeń,
Nie mógł przez losu igraszkę zatonić,
Gdy łódź podwodna obudzi go z marzeń.
By płachta filmu magicznych lampionów
Nie pozabawiła przekwitych ich jarzeń —
Jest los burzliwy Sindbada-Zeglarza
Tylko bajeczką Wujka-Marynarza.



Przeżrzmia pioruny. Poprzez kriel kurzawę
Przedrze się młode słońce nowych czasów,
Główki krokusów znów rozstłocą trawę
I z krwi wyrosną głogi w ciemnych lasach.
Ból, trud i walka będą świętą zjawą,
Haftem dostojnych w muzeach arrasów,
I wnuk wędrowca obcych, groźnych szlaków
Będzie śnił bajki na pozóbktych mapach.

Seweryn Ehrlich

Rys. St. Konarek

Rossiniana

Mało który kompozytor doczekał się tyle słów uwielbienia i potępienia zarazem, jak Joachim Rossini. Mazzini nazwał go, może nieco przesadnie, „Napoleonem muzyki”, a znów Wilhelm von Lenz, biograf Beethovena, nie znalazł dla niego jednego dobrego słowa. Do dziś dnia poglądy na wartość artystyczną muzyki Rossiniego są nader rozbieżne. Nauka kontynentalna, zwłaszcza niemiecka, wpatrzona w czyste ideały klasyków i romantyków, nie może mu wybaczyć, iż w czasie gdy Beethoven, Schubert i Weber spotykali się z większą lub mniejszą obojętnością ogółu, tenże ogół, oczarowany słodyczą melodyj „łabędzia z Pesaro” (tak nazywano Rossiniego od miejsca jego urodzenia), w nim widział swe bożyszcze i nie zdradzał większego zapału dla wnikięcia w istotę nowych przemian kształtowanych indywidualnością wspomnianych trzech twórców. Dla odmiany nauka włoska dowodził niczem mickiewiczowski Asesor „na złość Rejentowi”, że sława i triumfy Rossiniego były całkowicie uzasadnione niepoślednimi wartościami jego muzyki i widzi w nim nieledwie największego kompozytora jakiego Italia kiedykolwiek wydała. Faktem bezspornym jest jedno, że w czasie gdy klasycyzm wykształcony w swych ostatecznych formach, powoli ustępował z placu na rzecz młodego i prężnego romantyzmu, Rossini, niczem meteor, załżył nagle i efektownie, skupiając na sobie uwagę wszystkich i spychając na drugi plan wszystkie inne problemy estetyczno-muzyczne. Opera włoska, która już od czasów Aleksandra Scarlattiiego i wywodzącej się od niego tzw. szkółki neapolitańskiej, zapanowała wszechwładnie nad scenami teatrów muzycznych całej Europy, znalazła w nim najklasyczniejszego przedstawiciela swej hegemonii. Nawet ci, którzy zdecydowanie zwalczali Rossiniego, często bezpośrednio po napisaniu krytykującego go artykułu lub rozprawy, udawali się... posłuchać opery Rossiniego. Hegel, duma filozofii niemieckiej, pisał o swym pobycie w stolicy Austrii: „Tak długo pozostanę w Wiedniu, jak długo starczy mi gotówki na uczesanie do teatru włoskiego dla posłuchania Rossiniego”.

Nie da się zaprzeczyć, że głęboka i uduchowiona muzyka Beethovena, czy szczerzy liryzm Schuberta, to zupełnie inne światy niż błyskotliwa i ośniewająca muzyka Rossiniego. O ile tamci wyprzedzali swą epokę, często nierozumiani przez otoczenie, o tyle Rossini jest nieodrodnym dzieckiem swych czasów i poniekąd ich symbolem. Dominującym rodzajem sztuki muzycznej była wówczas mimo wszystko opera, tak jak przedtem motet i madrygał, a później symfonia. Same teatry operowe mało miały podobieństwa z dzisiejszymi. Nie odwie-

dzano ich w celu szukania artystycznych wzruszeń, lecz tylko dla upajania się pięknem melodii i popisami techniki solistów. Jeszcze jedna opera nie zeszła z afisza, a już przygotowywano nową, aby dostarczyć publiczności jak największej możliwości słuchania nowych aryj i nowych brawurowych występów śpiewaczych. O wznawianiu już wystawionych oper nie było mowy. Każda opera utrzymywać się mogła na afiszu tylko przez jeden sezon, ponieważ zaś sezonów było w roku cztery, a każde szanujące się miasto włoskie musiało mieć swą scenę operową — stąd powódź nazwisk kompozytorów i nowych dzieł, które święciły jednak krótkotrwałe sukcesy. Czym w latach po pierwszej wojnie światowej była rewia — tym sto lat wcześniej opera, a rolę „przebojów” odgrywały poszczególne fragmenty dzieła, w pierwszym rzędzie arie. Krótko mówiąc, ówczesni kompozytorzy operowi spełniali podobną rolę jak współcześni nam George Gershwin, Irving Berlin, Jerome Kern czy Jose Padilla. Kompozytor z reguły pracował na zamówienie sceny operowej i przez nią miał zazwyczaj narzucaną tematykę opery, a nadto musiał stosować się do życzeń śpiewaków i dać im jak największą możliwość popisu. Stąd ówczesne opery cechuje pośpiech pisania, brak solidności w wykończeniu, stereotypowa harmonizacja i instrumentacja, oraz dosłowne powtarzanie całych partij z poprzednich oper. Na logikę i prawdę psychologiczną akcji dramatycznej kompozytor nie zwracał większej uwagi, podobnie zresztą jak i audytorium. Teatr stanowił wówczas niewiele więcej jak rendez-vous mniej lub więcej kulturalnej publiczności. Parter, na którym z zasady nie było miejsc siedzących, służył przeważnie jako miejsce załatwiania interesów handlowych. prowadzenia dyskusyj politycznych czy też plotkowania o bliźnich, w łóżkach natomiast zajmowano się głównie flirtem, grą w karty, a często i drzemką. Tylko szczególnie melodyjne fragmenty lub nadzwyczaj wirtuozowskie popisy śpiewaków były w stanie skupić na sobie uwagę wszystkich słuchaczy i oderwać ich od innych czynności.

W takiej atmosferze tworzył i Rossini, nic więc dziwnego, że nie mogła ona nie wywrzeć wpływu na jego twórczość. Uśpiwiedliwia to niewątpliwie liczne braki i niedociągnięcia jego dzieł, ale ich bynajmniej nie zmniejsza. Do braków tych będą należeć: nierówność stylu, skłonność do wypadania w manierę w zakresie stosowanych środków muzycznej charakterystyki, liczne koncesje na rzecz wykonawców i publiczności, nadmierny nacisk na zmysłowe piękno melodii, obfitość węzowych koloratur, rzadkość poprawnej deklamacji tekstu i td., i td. Braki to niewątpliwie po-



Pesaro, Villa Albani: Sala Kariatyd.

ważne, ale na dobrą sprawę nie było do-
tychczas kompozytora mającego same tylko
zalety. Już sam fakt, że w ocenie twórczo-
ści Rossiniego do dziś istnieją rozbieżno-
ści — wykazuje, że twórczość ta nie może
być bezwartościowa. Gdyby nią była —
miejsce rozbieżności poglądów zająłby jed-
nomyślny werdykt potępiający. Wady i
usterki jakie cechowały muzykę Rossiniego
były typowymi dla całego szeregu współcze-
snych mu kompozytorów włoskich, zupeł-
nie dziś zapomnianych, podczas gdy Rossi-
ni wciąż utrzymuje się na scenach oper i
estradach koncertowych. Zjawisko to
świadczy dobitnie, że twórczość Rossiniego
musi posiadać nieprzeciętne i nieprzemija-
jące wartości, nie tylko równoważące, ale
i przewyższające sumę jej cech ujemnych.
Tylko tymi nieprzemijającymi i nieprze-
ciętymi wartościami można tłumaczyć nie
tylko żywotność Rossiniego, ale i jego po-
ważną pozycję w historii muzyki.

Jak więc wygląda owa druga strona me-
dalu?

Cokolwiek zarzuca się Rossiniemu, nie
sposób nie przyznać, że posiadał on olbrzy-
mi talent i duże wykształcenie muzyczne.
Nie ukończywszy jeszcze 14 lat życia już
zajmował stanowisko skrzypka i klawicym-
balisty w orkiestrze opery bolońskiej. W na-
stępnych czterech latach studiował w bo-
lońskim Liceo Musicale pod kierunkiem
słynnego ówczesnego teoretyka O. Stani-

siawa Mattei i wyniósł stamtąd solidną
znajomość gry fortepianowej i zasad kon-
trapunktu. Już w 1810 r., a więc mając 18
lat, wystąpił w Wenecji ze swą pierwszą
operą „La Cambiale di Matrimonio”. W
ciągu dalszych 19 lat życia napisał 38 oper,
z czego rekordowa liczba sześciu oper przy-
pada tylko na rok 1812. Wszystkie najcel-
niejsze swe dzieła, z wyjątkiem jednego
„Wilhelma Tella”, skomponował nie ukoń-
czywszy jeszcze trzydziestki. Pod wzglę-
dem tak szybkiej dojrzałości artystycznej
mogą z nim równać się tylko Purcell, Per-
golese, Mozart, Schubert, Mendelssohn i
Chopin, a więc niewielka tylko liczba na-
prawdę pierwszorzędných kompozytorów.
Już samo to musi zastanawiać i powodo-
wać ostrożność w rzucaniu słów potępienia
na jego twórczość. Znaną jest również rze-
cza, że Rossini śledził z najwyższym zain-
teresowaniem dokonujące się na jego
oczach przemiany artystyczne, że ubóstwiał
Mozarta i żywił głęboki kult dla Beetho-
vena. Skoro ktoś umie cenić i czcić dosto-
jeństwo prawdziwej sztuki, to z pewnością
nie będzie dobrowolnie i celowo obniżał
jej horyzontów, jeśli więc Rossini czynił
czasami ustępstwa na rzecz wykonawców
lub gustów publiczności, to świadczyć to
może jedynie o braku jego silnej woli czy
skłonności do unikania konfliktów i za-
drażnień z otoczeniem ale nie o błędnym
pojmowaniu estetycznych założeń muzyki.

Wzniosłe i pełne dramatycznego wyrazu sceny z „Otella”, „Mojżesza” przede wszystkim „Wilhelma Tella” — to sztuka w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, a nie bardziej nie może zastanowić, jak fakt, że po skomponowaniu w 37-mym roku życia „Wilhelma Tella”, mimo niebawomych sukcesów i tryumfów, Rossini zaprzestał pisania nowych oper i pozostałe 38 lat życia spędził w całkowitej prawie bezczynności, ograniczając się tylko do napisania utworu religijnego „Stabat Mater” i kilku drobnych kompozycji. To dobrowolne milczenie jest jedną z najbardziej intrygujących zagadek w dziejach muzyki. Być może przyczyną jego było słabe zdrowie kompozytora, ale być może również i poczucie, że swą artystyczną rolę już spełnił i że nie byłby w stanie napisać niczego, co by przewyższało swą wartością poprzednie dzieła. Gdyby Rossini szukał tylko poklasku tłumów i niczego więcej, z pewnością nie miałby żadnych skrupułów i pisałby dalej.

Jeśli chodzi o czysto muzyczną wartość dzieł Rossiniego, to na wielu tysiącach stron jego partytur znajdziemy olbrzymie bogactwo nie tylko wielkiej inwencji i swady w muzycznym wypowiedzianiu się, ale i kapitalnych pomysłów kolorystycznych, niespotykanych niemal wcale przed nim.

Weźmy jako przykład orkiestrę u Rossiniego. Nie ogranicza się ona, jak u jego włoskich poprzedników, do skromnego akompaniamentu śpiewakom, lecz w wielu wypadkach stanowi czynnik samodzielny, traktowany na wskroś symfonicznie. Uwertury Rossiniego pod względem instrumentacji nie ustępują żadnym najlepszym dziełom swej epoki i do dziś dają wiele satysfakcji każdemu dyrygentowi koncertu symfonicznego. Tak śmiałego i sugestywnego użycia wiolonczel jak w uverturze do „Tella”, nie spotykamy w żadnej symfonii Beethovena, a pod względem wykorzystania barwy rogów tylko może jeden Weber mógłby rywalizować z Rossinim. Lekceważone dotąd i nader rzadko używane: puzon i różek angielski, dzięki Rossiniemu zadomowiły się na stałe w orkiestrze. On również wywalczył prawo obywatelstwa w partyturach orkiestrowych całemu szeregowi instrumentów perkusyjnych (bęben, talerze, werbel, triangel). On wreszcie przełamał dotychczasową tradycję, według której uvertura musiała zaczynać się mocnym uderzeniem wszystkich instrumentów, a w najlepszym wypadku partią smyczków. Taką np. uverturę do opery „La gazza ladra” (Sroka złodziej) rozpoczął uderzeniem werbli, co na próbie w mediolańskiej „Scali” wywołało prawdziwy skandal i nawet interwencję dyrekcji teatru. Drobne to szczegóły, ale jakże dobitnie świadczące, że w dziedzinie techniki orkiestralnej Rossini był prawdziwym mistrzem i jednym z najcięższych instrumentalistów przed Berliozem.

Również w dziedzinie harmonii, zwłaszcza jeśli chodzi o modulacje do odległych tonacji, spotykamy w dziełach Rossiniego szereg dowodów, iż unikał on konwensu i banału, a starał się o szukanie nowych możliwości muzycznej ekspresji. Cytowany przez znakomitego włoskiego muzykologa Bonaventurę w monografii o Rossinim przykład harmonizacji tercetu z „Włoszki w Algierze” — niech będzie jednym z wielu przykładów niepospolitych zasług Rossiniego w tej dziedzinie.

Z innych zdobyczy Rossiniego warto zanotować wspaniałe operowanie dynamiką i rytmiką. Crescenda i efektowne stretty tj. przyspieszenia tempa w zakończeniu uwertury, są dla niego równie typowe jak synkopy dla Brahmsa.

Jedną jest jeszcze pozycja, która sama w sobie starczy za wszystko, a jest nią — „Cyrulik sewilski”. Wspaniałe to dzieło do dziś dnia nic nie straciło ze swego blasku i stanowi jedną z najlepszych oper komicznych kiedykolwiek napisanych.

Nie wiadomo ile jest prawdy w często powtarzanej legendzie o napisaniu „Cyrulika” w ciągu 13-tu dni, faktem jest jednak, że został on napisany w terminie bardzo krótkim, przez kompozytora liczącego zaledwie 24 lata. „Cyrulik” powstał na zamówienie, za umówionym wynagrodzeniem 400 skudów (primadonny otrzymywały wówczas gaże po 500 skudów). Przedłożony do muzycznego opracowania temat, zaczerpnięty ze znanej komedii Baumarchaisego, postawił kompozytora w poważnym ambarasie, do tego samego libretta bowiem napisał już poprzednio operę znany i ubóstwiany wówczas w całej Europie kompozytor Giovanni Paisiello z Taranto. Rossini z wrodzoną sobie nieśmiałością i niechęcią do szukania zatargów czy zadrzań, lojalnie zawiadomił Paisiella o pracach nad „Cyrulikiem”, zaznaczając przy tym, iż opracowuje temat całkowicie odrębnie, wprowadza nowe epizody i nawet zmienia tytuł na „Almaviva czyli daremna przezorność”. Premiera opery odbyła się w dniu 20 lutego 1816 r. w Rzymie, w istniejącym do dziś w pobliżu Corso Vittorio Emanuele teatrze „Argentina” i skończyła się kompletnym fiaskiem. Przyczyną niepowodzenia były z jednej strony intrygi starego Paisiella, który pragnął unicestwić rywala, a z drugiej — cały szereg nieprzewidzianych, złośliwych wypadków. Włożony przez Rossiniego na premierę tabaczkowy surdut skupiał na sobie powszechną uwagę publiczności, nie szczędzącej właścicielowi złośliwych uwag i docinków, trwających aż do chwili rozpoczęcia przedstawienia. Już zaraz w pierwszym akcie, tenor mający śpiewać serenadę balkonową, wyszedł na scenę z nienastrojoną gitarą, a ponieważ sam miał sobie akompaniować, przeto musiał stroić ją na sce-

nie, przy czym, ku uciesze widowni, pękła struna i z akompaniamentu nic nie wyszło. „Nie miałem pod ręką fortepianu (opowiadał później o tym zdarzeniu Rossini), skinięciem więc na wiolonczelistę aby wykonał kilka arpeggiów pizzicato, ten jednak patrzył na mnie zdumiony, nie rozumiejąc o co mi chodzi. Wściekły na niesprawiedliwość publiczności, począłem sam okłaskiwać tenora, aby przytłumić gwizdy, publiczność jednak oburzona moim zachowaniem się zaczęła wrzeszczeć: „Tabaczkowy surdut kpi z nas!” Gwizdy i wrzaski stały się wprost nieznośne”. Nie koniec na tym. W następnej odsłonie don Basilio wchodząc na scenę potknął się i upadł, kalecząc sobie nos na występującym z podłogi gwoździu. Duża część publiczności w przekonaniu, iż upadek ten wynikał z treści libretta, zaczęła krzyzczeć, iż jest to pomysł wulgarny, a biedny artysta śpiewał ociekając krwią. Na domiar wszystkich nieszczęść na scenę wbiegł nagle kot i przestraszony jasnym oświetleniem, biegł jak opętany, szukając wyjścia, co znów wywołało na widowni prawdziwe huragany śmiechu. Nie czekając na koniec przedstawienia, nieszczęsny kompozytor ułotnił się i bocznymi uliczkami udał się do swego mieszkania na Piazza Borghese. Cios był ciężki, jednakże Rossini, słusznie przeświadczony o wartościach swego dzieła, wierzył, że zdobędzie ono uznanie i nie zawiódł się. Następne przedstawienia przyniosły całkowitą zmianę sytuacji, a wkrótce potem nikt już nie pamiętał o „Cyruliku” Paisiella, podczas gdy „Cyrulik” Rossiniego był na ustach wszystkich. Czar muzyki mistrza z Pesaro odniósł całkowity triumf nad rutyną intryganta z Taranto.

Dr. Józef Reiss, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, tak charakteryzuje „Cyrulika”: „Cyrulik” Rossiniego staje godnie obok muzyki mozartowskiej do „Figara”. Mozart był zresztą bożyszczem dla Rossiniego, który za ideał uważał zbliżenie się do stylu mozartowskiego. Oczywiście, że styl jego dzieła jest zgoła różny od stylu Mozarta: nie ma u Rossiniego tej finezji opracowania, tej głębi charakterystyki, tej uczuciowości i szlachetności stylu, co u Mozarta; ale za to jest blask, jest bogactwo melodii, południowy temperament, nieokiełznany, roześmiany humor, prawda dramatyczna i żywiołowa bezpośredniość. W śpiewie ważną rolę odgrywa koloratura, której ornament, traktowany ze smakiem, stosuje się zawsze do wyrazu melodii. Każda z arii jest arcydziełem: czy to uczuciowe frazy Almavivy i Rosiny, czy drastyczne monolog Figara, czy groteskowa aria doktora Bartolo; mistrzowskie są ensemble: zwłaszcza w I. akcie duet Figara i Almavivy, zaś w II. akcie wielki kwintet”.

Najwięksi nawet przeciwnicy Rossiniego potrafili uznać wartość „Cyrulika”. Beethoven,

który do muzyki „łabędzia z Pesaro” odnosił się dość niechętnie, nie szczędził tej operze słów uznania, a Wagner, który tak surowo i niesprawiedliwie ocenił Rossiniego w swej rozprawie „Oper und Drama”, zachwycał się zawsze „Cyrulikiem” i wyrzekł kiedyś do baronowej von Buelow następujące charakterystyczne słowa: „Przyznam się pani, że uwielbiam muzykę Rossiniego, lecz proszę nie mówić o tym moim zwolennikom, gdyż nie wybaczyliby mi tego”.

Jeśli przejrzymy bilans wad i usterek dzieł Rossiniego i porównamy go z sumą ich olbrzymich pozytywnych wartości, to jasna się dla nas stanie jego indywidualność, wielkość i żywotność. Nie był on rewolucjonistą i pionierem nowych kierunków w muzyce, ale nie był również niczym epigonem ani naśladowcą. Przeciwnie, jego naśladowano i ulegano jego wpływowi. Bellini, Donizetti, Spontini a nawet Meyerbeer i Verdi wiele mu zawdzięczają, a wspomniany już Wagner, zdawałoby się, wszelkie zaprzeczenie Rossiniego, wyraźnie uległ jego urokowi w swej najbar dziej „włoskiej” operze — w „Lohengrinie”. Doprowadzone przez Rossiniego do szczytu mistrzostwa „bel canto” stawiał on zawsze za wzór śpiewakom niemieckim jako ideał czystości i szlachetności stylu wokalnego.

Twórczość Rossiniego jest harmonijnym etapem długiej ewolucji włoskiej muzyki operowej, która, obok Verdiego, ma w nim swego największego przedstawiciela. On nadto nadał operze włoskiej prawdziwy, narodowy wyraz. O ile przed nim byli tylko kompozytorzy neapolitańscy, weneccy, rzymscy, florenccy i tp., o tyle on jest pierwszym kompozytorem włoskim i jak mało kto, umie reprezentować charakter, właściwości i ducha całego narodu.

Mierzenie go miarą współczesnych mu klasyków wiedeńskich i romantyków nie doprowadzi do niczego, bo niepodobna sprowadzić go z nimi do wspólnego mianownika. Nikt mu nie może zarzucić, że nie był Beethovenem, tak jak nikt nie może żądać od pejzażyisty aby był batalistą, albo od liryka, aby stworzył epicką epopeę.

Robert Schumann, wybitny kompozytor i ojciec nowoczesnej krytyki muzycznej, porównuje Beethovena do wspaniałego, majestatycznego orła, a Rossiniego do pięknego, barwnego motyla. Zestawienie to doskonale maluje odrębność obu wielkich twórców, z jednym jednak zastrzeżeniem. Ow piękny motyl, wbrew przypuszczeniom Schumanna, nie wykazał wcale „motylowego” żywota, a skrzydła jego nie utraciły nic ze swych kolorów i nie przestały do dziś przykuwać do siebie wzroku na równi ze skrzydłami potężnego orła.

Wiarosław Sandelewski

Panorama sztuki włoskiej

I.

Wielka sława ma pewne podobieństwo do zbyt silnego światła, które odbarwia przedmioty, zaciera kontrasty, rozprasza cienie, niweczy nawet smak przygody, jaką posiada zarówno dla oka, jak i dla umysłu, odkrywając nowości bądź w rzeczach samych, bądź w faktach. Twierdzenie, że Włochy są krainą sztuki, jest już dziś odwiecznym pewnikiem, do tego stopnia bezspornym, że stał się już niemal komunałem. To też często cudzoziemiec, który bez należytego przygotowania przejeżdża przez Włochy, nie potrafi dostrzec w tym wielkim blasku sławy do żywego znaczenia, jakie ma ta wielkość artystyczna Włoch i dlatego też jego podziw sprowadza się często do... komunalu.

Nie tylko nie wystarczy mówić po prostu, że Włochy są krajem rzeczy pięknych, ale to nawet zaciemnia jasność widzenia każdemu, kto chce, aby piękno było strawą dla ducha. Historia piękna nie utożsamia się z historią sztuki. Nigdy nie byłoby potrzeby pisać historii piękna, wystarczyłaby historia pewnego rodzaju piękna, tj. pewnego gustu. Bo to, co jest tylko piękne — podlega zasadzie względności, a więc ani sąd artystyczny, ani fabuła dziejów sztuki nigdy nie będą mogły opierać się na wartościowaniu; zależnie od tego, czy coś jest, może być, lub może się wydawać piękne, lecz jedynie zależnie od tego, czy coś ma treść i że to, co ma treść nie może podlegać zasadzie względności. Poza tym w klimacie sztuki o tym co jest piękne, o tym co się podoba, nie mówi się, że jest sztuka; natomiast to, co w klimacie sztuki posiada istotne znaczenie, zawsze jest sztuką.

Zatrzymamy się tu tylko na tych rzeczach, które w sztuce włoskiej posiadają istotne znaczenie, a zatem są powszechne, uniwersalne, nie troszcząc się o gusty, o sympatie, jakie ktoś może mieć dla tego, co mu się podoba, lub co jest pociągające. Dalej dla każdej epoki przytoczymy tylko dzieła najistotniejsze, prawzory, rzeczy znamienne, typowe, nie zajmując się osobą twórców, ograniczając się do znaczenia danego dzieła, jako owocu twórczości i jako siły coś znaczącej. Wreszcie tam, gdzie sztuka jest wyrazem pewnej epoki i pewnego narodu, jej szata zewnętrzna nie ma istotnego znaczenia. Dlatego też będziemy mówić o sztuce, nie czyniąc rozróżnienia między architekturą, rzeźbą, malarstwem, lecz znów rozważając poszczególne dzieła, jako rzeczywistość oznaczającą pewną treść we wszelkich swoich formach realizacji.

Ta krótka panorama tej jednej z największych „przygód” w świecie sztuki nie ma na oku celów dydaktycznych. Chciałaby ona dać tylko jej wyraźny zarys, podkreślając najwybitniejsze momenty w tej wielkiej przygodzie.

Nie potrzeba cofać się aż do mitów i legend, aby dostrzec do źródeł tej „przygody” w świecie sztuki, której na imię sztuka włoska; jest ona sztuką i jest ona włoska na wiele wie-

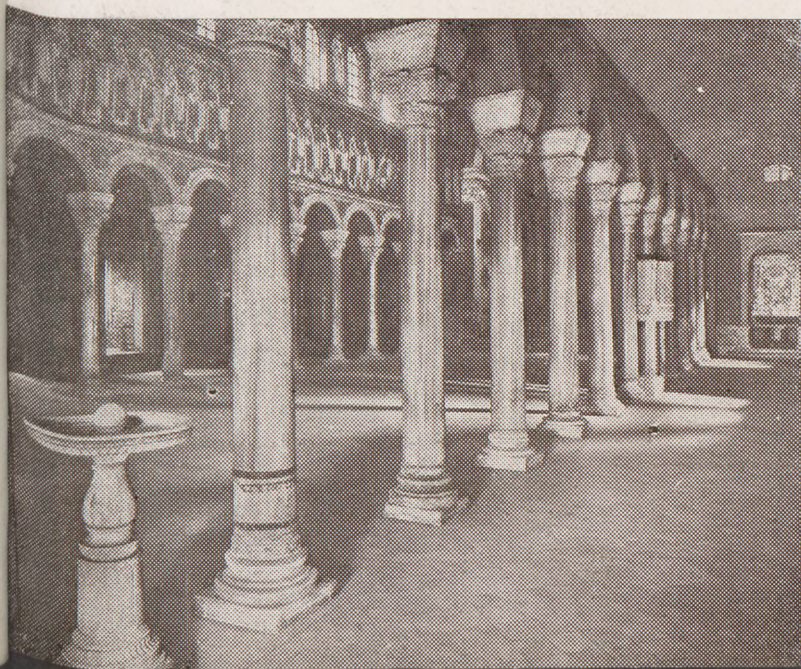
ków przed wielce sławną epoką, znaną pod mianem Odrodzenia.

Trzebaby się cofnąć aż do okresu egejskiego, aby odnaleźć jej zarodki. Sztuka włoska bowiem jest synonimem historii, a co najmniej rozwoju cywilizacji śródziemnomorskiej. Jest ona też logiczną kontynuacją, dalszym ciągiem sztuki greckiej. Jest ona wynikiem skupienia się w cesarskim Rzymie wszystkich prądów myślowych i wszystkich odmian smaku właściwych dla śródziemnomorskiego obszaru kulturalnego. Nie ma tu żadnych przerw, ani żadnych etapów. Sztuka staro-chrześcijańska we Włoszech jest w pewnym znaczeniu sztuką wybitnie włoską, nawet w swoich postaciach pochodnych od szczepionki grecko-wschodniej. Nie ma przerw w tej logice nawet w bizantyńskiej odmianie sztuki, która we Włoszech rozkwitła w tak odmiennej postaci, aniżeli gdziekolwiek indziej. Ale w tak zwieszłej syntezie musimy wyrzec się próby docierania do źródeł i rozpocząć naszą podróż tam, gdzie prąd rozszerza się już w wielką rzekę, o dobrze określonym zarysie brzegów.

Określając przymiotnikiem „romańskie” te wszystkie tendencje, które istniały w sztuce między wiekiem X i XIII, nawiązujemy tylko do istniejącej uprzednio tradycji, zdając sobie sprawę, że jakkolwiek między tym, co jest romańskie i rzymskie istnieje wyraźna różnica, to zdajemy sobie też dobrze sprawę, że ta różnica istnieje już bardziej niż w nazwach — w samych dziełach sztuki. Między sztuką Rzymu aż do IV wieku po nar. Chrystusa i sztuką włoską z X-XIII w. przeszedł wielki prąd chrześcijański, któremu na imię ani tylko Rzym, ani też tylko Bizancjum, ale w ogóle Wschód Śródziemnomorski. Sztuka romańska odgrywa rolę jakiejś tamy postawionej temu prądowi, jest jakby koniecznością dokonania syntezy ducha narodu po wiekach ciemnoty, jest nawrotem pod względem formy i treści, do monumentalności, do nadbudowy nad przyrodą, do wydobywania znaczenia z rzeczy materialnych; jest ostatecznym uniezależnieniem się zachodniego chrześcijaństwa od kościoła wschodniego. Styl romański jest rewanżem kształtu nad barwą, w przeciwieństwie do bizantynizmu, jest też rewanżem głębi przestrzennej nad płaskimi majakami, jest zwycięstwem rzeczywistości nad marzeniem sennym. Zwycięstwem wreszcie Rzymu nad Bizancjum, zarówno na polu religijnym, jak i życia świeckiego. W sztuce wystarczy porównanie mozaiki bizantyńskiej i okazu malarstwa romańskiego, np. mozaiki przedstawiającej cesarza Justyniana i jego świętę*)

*) Światło spływa tu po powierzchni — pełne blasku — na równoległe płany, wciskając formy w hieratyczny schematyzm, w którym kolor odgrywa naczelną rolę. Sens, treść artystyczna nie tkwi w realnym bycie, lecz w przeobrażeniu się bytu na rzeczywistość złudną, nie ludzką.

Bazylika S. Vitale
w Rавennie: Fra-
gment mozaiki z VI
w. przedstawiającej
cesarza Justyniana
i jego świętę



Wnętrze kościoła Św. Apo-
linarego „in Classe” w
Ravennie



Cimabue: „Madonna na tronie”



*Wnętrze kościoła Św. Miniata
we Florencji*



*Wnętrze kościoła Św. Krzyża
we Florencji*



*Wnętrze katedry
we Florencji*



Florencja, Galeria Uffizi: Fragment
„Zwiastowania” Simona Martini



Padwa, Kaplica rodu Scrovegniów. Giotto: „Zdjęcie z Krzyża”

oraz obrazu Matki Boskiej na tronie*), albo też fragmentów architektury z tej epoki np.: kościoła św. Apolinarego w Ravennie**) i św. Miniata w Florencji***), aby unaocznic to przeciwstawienie.

Od V do IX wieku Bizancjum dyktowało prawa i zwyczaje. Jego wkład artystyczny na Zachodzie był wielki, ale Zachód się od niego wyzwolił i włoski styl romański jest wytworem tego wyzwolenia. Gdy maniera grecka, jak bywa nazywana maniera bizantyńska, rozprzestrzenia się bez ulegania żadnym zmianom i usycha na Bałkanach i w Rosji, to we Włoszech nawet w okresie swego pełnego rozwoju i powodzenia sztuka bizantyńska nie jest przyjmowana biernie. I w samej Rawennie nawet w wiekach od V do IX nie było nigdy niewolniczego poddania się jednej szkole, lecz zawsze zachodziło swobodne uczestnictwo w tym kierunku artystycznym. Było rzeczą naturalną, że ta dążność do oryginalnej twórczości, którą widzimy w mozaikach rzymskich w kościołach z VI, VII i VIII w., wystąpiła w takim kraju jak Włochy, gdzie zawsze idea stawała się realizacją, urzeczywistnieniem — w swym pełnym rozkwicie. I rzeczywiście w w. X walka ideologiczna — pozostając w sferze sztuki — między kościołem prawosławnym i kościołem katolickim, znalazła we Włoszech idealne rozwiązanie w nowym prądzie artystycznym, zwanym sztuką romańską, dziełem której Włochy stały się znów przewodnikiem w zakresie propagowania treściwej kultury na Zachodzie Europy.

Styl romański możemy interpretować jako nawrót do opanowania przestrzeni poprzez bryłę, co mogłoby też wyglądać na nawrót formalny do zdobyczy architektury rzymskiej. Z tym jednak zastrzeżeniem, że na miejsce treści pogańskiej i imperialistycznej, nadawanej formie, rozumianej jako symbol władzy doczesnej, potęgi dla samej potęgi i dla przetrwania w materii, przychodzi forma rozumiana jako wyraz wewnętrznej konstruktywności, duchowej twórczości i rzeczywiście forma staje się środkiem a nie celem, aby dotrzeć do istotnej treści.

Kościół św. Ambrożego w Mediolanie, ten największy pomnik stylu romańskiego w Lombardii, jest cały przepojony wyrazistą potęgą, wydobytą w tym nowym klimacie sztuki. Innym przejawem tej samej dążeń, która ma różne odmiany w miarę jak przechodzimy z jednego okręgu, jednego regionu kraju — do drugiego, jest kościół św. Michała w Pawii, a potem przechodząc (z logiką, która wystąpi z całą jasnością w następnych stuleciach) do stylu romańskiego w Toskanii, mamy kościół św. Miniata we Florencji, który jest najwyższym osiągnięciem w tym zakresie, jak również katedrę Chrzcicielnicę, wieżę w Pizie, które są przykładami powszechnie znanymi. Odmiana tokańska wprowadza do stylu romańskiego polichromię marmurową czyli zastosowanie marmurów białych, zielonych, czarnych i różowych, podobnie jak odmiana z Lazio (rejon rzymski) wprowadzi swoje słynne „inkrustacje”, a

Sycylia dołączy swą bogatą gamę kolorystyczną. Wszędzie zaś mamy nowe ożywienie mas. Pietro Cavallini i Cimabue w malarstwie stają obok Wigilelmo i Antelami w rzeźbie. Człowiek żyje, działa, jest panem otaczającej go przestrzeni przy nadawaniu znaczenia swoim gestom, tak jak wielkie masy architektoniczne wznoszą w przestrzeni idee, które promieniają z formy.

Architektura romańska jest nie tylko rozmałym, ile raczej wyrazem duchowego zwrócenia się w siebie, pogodnego skupienia, równowagi. Styl romański jest „przygodą” łacińską. A przejawem ducha łacińskiego jest instynktowna postawa oporu w chwili, gdy w w. XIII i XIV zaczyna spływać z północy urzekający gotyk. Gotyk bowiem jest jeszcze „przygodą” barbarzyńską. Barbarzyńską o niezwykłej mocy duchowej, która jednak odcina się wyraźnie od tego, co jest na sposób łaciński pogodą ducha. Architektura gotycka jest rozmachem ducha, ale równocześnie jest nieporządkiem i niepokojem. Ostatnia bitwa w Średniowieczu pomiędzy światem łacińskim i barbarzyństwem została stoczona w czasie spotkania się stylu romańskiego z gotykiem: bitwa bez zwycięstwa i bez porażki, skoro wszelkie spotkanie się starcie pomiędzy tym, co jest duchem istotnie twórczym, jest zawsze przezwyciężeniem zwycięstwa i porażki, jest czymś istotnie znaczącym. Lecz pozostaje zauważyć, że poprzez doświadczenia stylu romańskiego Włochy doszły do osiągnięć Odrodzenia, gdy natomiast doświadczenia gotyku skończyły się na sobie samych, nie odnowiły się więcej.

Włochy XIV stulecia przyjęły i wchłonęły gotyk, ale już w kościele św. Andrzeja w Vercelli (Piemont) zauważa się, iż pomimo bliskości Francji, gdzie gotyk ma całą siłę wyrazu, właściwą znamionom cechom tego stylu, zbytek ten ma nową cechę charakterystyczną, coś, co odcina go od gotyku w potocznym znaczeniu, jeśli nie jest wprost czymś nie-go-

*) Światło tu nie spływa po wierzchu, nie styka się z materia, lecz bądź tylko muska, bądź przenika w głąb, odgrywając konstruktywną rolę w stosunku do cieni, jakkolwiek ten stosunek jest jeszcze chwiejny. Forma występuje jako taka, wolna, zmierzając do powolnego odzyskania bryłowości w znaczeniu klasycznym. Istota ludzka zaczyna ujmować w sztuce właściwą rzeczywistość plastyczną.

**) Przestrzeń jest opanowana przez światło, które poprzez kolor ma pośrednią funkcję konstruktywną. Wszystko ucieka od tajemniczości i od pomocy cieni ze względu na nieprzepartą dążność płaszczyzn do rozciągania się i ukazywania w pełnym świetle.

***) Gra i równowaga mas ożywia pełne powietrze wnętrza szerokim oddechem, przeciwstawiając harmonijnie światła i cienie; tu zarówno światło jak i cienie mają swą funkcję konstruktywną. Jest to uduchowiona monumentalność, której towarzyszy harmonijna muzyka barw, marmurów i intarsji.

tyckim. Ta właściwość architektury włoskiej w tym wieku staje się stopniowo coraz bardziej wyraźna w miarę tego, jak schodzi się z północnych Włoch ku centrum kraju i na południe. Napięte unerwienie rozluźnia się, zwalnia, przestaje być napięciem, a staje się ascezą, rozpaczliwe poszukiwanie uspakaja się. Nawy pogrążone w cieniu, wyniosłe i ginące w sferze tajemnicy, zastępują nawy zalane światłem (patrz wewnątrz kościoła św. Krzyża we Florencji).

W większości wypadków gotyk włoski nie tylko nie jest ani naśladownictwem, ani przejęciem obcego wzoru, ale jest raczej czymś więcej od oryginalnej twórczości: jest oporem, trwaniem tej raczej „forma mentis” (mentalności), aniżeli wrodzonego smaku, która doprowadzi wkrótce do rozkwitu humanizmu.

Temu surowemu ugniataniu i przetrwaniu, właściwemu rzeźbie gotyckiej poza Alpami, malarstwo przeciwstawia także poszukiwanie osiągnięć linearnych, o wykwinnej i wyrafinowanej elegancji, które osiągają swój szczyt w tzw. gotyku kwiecistym. We Włoszech natomiast, gdzie nie brakowało zresztą tego rodzaju wykwinu podniesionego do wysokiego poziomu wyrazu artystycznego (wystarczy wspomnieć dzieła Simona Martini, który miał uczniów także we Francji), epoka gotyku wydała dzieła Giotto, wielkie pogodnie osiągnięcie, największe od czasów Homera, Fidiasza i Wirgiliusza.

Byłoby niedorzeczne mówić w kilku wierszach o Giotto i o całym znaczeniu lirycznym jego dzieł malarskich. Poza tym owocne zbliżenie się do tego, co jest istotnie znaczące, może być tylko zbliżeniem bezpośrednim. Jeśli dusza pozostaje zimna i niewzruszona w obliczu dzieła samego, to pomoc interpretatora, tłumacza, pozostanie zawsze pomocą powierzchowną. W sztuce bowiem nie tyle chodzi o zrozumienie, co o odczucie: a te dwa słowa nie są synonimami.

Z trzech głównych okresów twórczości Giotto (1267 — 1337), tj. fresków w Asyżu w Bazylice św. Franciszka, fresków w Padwie w kaplicy Scrovegni i fresków we Florencji w św. Krzyżu, z pewnością najpełniejsze i najpojętniejsze są arcydzieła z Padwy, bądź z punktu widzenia wykonania, bądź ze względu na ogrom koncepcji całości. Ale cykl florentyński temu, kto zechce zanalizować np. fresk „Śmierć św. Franciszka”, który jest może najbardziej dojrzały, jest dziełem pocętym w spokoju wzniesłego pokonania wszelkich pierwiastków arcyłudzkich. Dante wyczuł wielkość moralną Giotto i jest on może jedynym wielkim duchem, który dorównywał mu we wspólnym choć odmiennym dziele uszlachetnienia natury człowieka poprzez realność spraw ludzkich. U Giotto pierwiastek ludzki jest liryzmem, (patrz: „Zdjęcie z Krzyża” Giotto) przejawiającym się bądź w bólu, bądź w spokojnej kontemplacji. Kanon romański ustalony wówczas przez Cavalliniego, Cimabue, Duccio di Buoninsegna, osiąga u Giotto za jednym zamachem wielki stopień rozwoju i opanowania pod względem konstruktywności

idei: postać ludzka staje się koncepcją, pojęciem raczej, aniżeli wyrazem. Przepiękny gotyk delikatnego pociągnięcia pędzlem u Simona Martini, które jest poezją linii połączoną z muzykalnością barw (patrz „Zwiastowanie” Simona Martini z galerii Uffizi we Florencji), stwarza atmosferę tęsknoty i omdłości, tak charakterystyczną dla manieri, która stała się potem międzynarodową. Maniera zaś Giotto jest często szorstka i ogólnikowa, unika uwodzicielskiej słodyczy, jest jakby przepojona wewnętrzną powagą na wskroś ludzką, która wymaga od tego, który ją ogląda, doświadczenia i znajomości życia i cierpienia w większym stopniu, aniżeli znajomości sztuki. Podobnie jak Giotto, również obaj Lorenzetti dochodzą do właściwego sobie gotyku na wskroś łacińskiego, w dążeniu do istotnej monumentalności, to samo czyni Mikołaj Pizańczyk, który w swej katedrze z chrzcielnicą w Pizie (patrz



*Katedra w Pizie: Fragment Kazalnicy
Mikołaja Pizańczyka.*

„Kazalnica” Mikołaja Pizańczyka) oraz z katedry w Sienie — jak gdyby chrzci i odkupuje w duchu swe wielkie posagi i grupy rzeźbionych postaci, z pochodzenia pogańskie i rzymskie.

Jedynie zrozumienie znaczenia „oporu” i „realizacji” wyobrażonej w stylu romańskim i gotyckim we Włoszech między IX i XIV stuleciem pozwoli pojąć i usprawiedliwić zbliżający się cud Masaccia, którym Włochy otworzyły Europie i światu drogę dla tej odmiany sztuki, która do dziś dnia jest sztuką naszego kręgu kulturalnego.

Carlo Verdiani

Od Delacroix do Cezanne'a

Trudno doszukiwać się w rozwoju malarstwa w Polsce logicznej ciągłości przemian francuskiego malarstwa oraz sprecyzowania zadań formalnych w sztuce, która cechuje narody bezpiecznie wrastające od wieków w swą ziemię. Przeszkodą w kształtowaniu się talentów był brak tradycji artystycznej szkół, muzeów oraz słabe zainteresowanie się społeczeństwa sztuką. Większość społeczeństwa była dojrzała do pojmowania akademizmu i słodkiego naturalizmu, a wyraźnie ignorowała to, do czego oko nie nawykło — więc wszystko, co nowe, nad czym należy się zastanowić.

Również na zachodzie wielu jest zwolenników akademizmu, lecz niechęć ich do nowych zdobyczy sztuki osłabła, gdyż ze zdobyczami tymi stykają się od 60 lat, stale, przede wszystkim w przemyśle artystycznym. Od 70 lat zachód przeżywa okres niebywałego od czasu Odrodzenia włoskiego rozkwitu malarstwa. Okres ten zapoczątkowali mistrzowie XIX wieku Delacroix i Ingres.

Dawniej widz szukał w obrazie literackiej anegdoty, obecnie malarz nie maluje tego czy innego tematu z literatury, tylko po prostu i jedynie maluje malarstwo, realizuje swe przeżycia plastyczne, dla których temat jest pretekstem. Rzeczą niemiłą jest konieczność zwalczania wrośniętego w umysły społeczeństwa fanatyzmu akademicko-naturalistycznego. Walka ta we Francji skończyła się dawno — dziś impresjonizm we Francji jest szanownym starcem, u nas samo słowo impresjonizm czy dywizjonizm działa często na wielu jak czerwona płachta na byka.

Intencją zaborców w XIX wieku było wychować w Polsce pokolenia kołtunów, ukształtować charakter Polaków na podobieństwo własne, wyrugować wpływy wieku oświecenia i rewolucji francuskiej — słowo Francja znaczyło wtedy wolność. Niemcy przeciwstawić mogły logice francuskiej nacjonalistyczny brzek blach nadętego Wołana — Wagnera, Rosja — Smierdiakowych i Oblomowych. Czasem Polacy stykali się ze sztuką Zachodu bezpośrednio, przeważnie

przyjmowali ją z drugich rąk, od Rosjan i Niemców, to znaczy widzieli to, co zaborecy z niej brali i na swój sposób przetwarzali w Monachium i Petersburgu. Oto przykład ciężki w następstwa: Schelling w czasach Napoleona przepowiadał narodziny oryginalnej sztuki niemieckiej, która miała wyrugować silne wpływy francuskie — skończyło się na powstaniu sekty nazarejczyków, malarzy naśladowujących religijną tematykę włoskich Quattrocentistów, lecz podporządkowujących stronę plastyczną malarstwa — tematowi. Czynili oni z malarstwa teozofię, filozofię, wreszcie propagandę nacjonalizmu niemieckiego.

Nie Delacroix porwał Niemców swymi kolorystycznymi dramatami, tylko akademik romantyczny Delaroche, kiepski uczeń Delacroix i wreszcie odstępca. Obrazy Delaroche'a wzbudziły wśród Niemców entuzjazm historycznie wiernymi szczegółami strojów, opracowaniem sprzężek, guzików i koronek. Uczniem Delaroche'a był Piloty, — piewca niemieckiej chwały, uczniowie akademika Piloty'ego to: Munkaczy, Brozy, Markart i Polak Matejko, którzy uzyskali krótkotrwałą sławę swymi ogromnych rozmiarów historycznymi płótnami, przeładowanymi i surowymi. Prawie każdy Polak widział reprodukcje obrazów Matejki i wciąż otacza ich treść patriotyczną. Każdy uznaje w Matejce wielkiego Polaka, lecz nie każdy musi w nim widzieć wielkiego malarza. Malarz nie może omijać formy plastycznej, bez której malarstwo nie istnieje. Klasyk Ingres, który również malował obrazy historyczne, mówił: „Nie szukajcie zbyt wiele tematyki, malarz potrafi zrobić złoto z 4 groszy, na każdy temat może on stworzyć poematy. Nie należy zajmować się przesadnie szczegółami, trzeba poświęcić się istocie rzeczy, którą jest linia, kontur, modelunek figury”.

Zaslugi obywatelskie i wychowawcze nie należą do dziedziny plastyki, przestańmy mieć spokój wielkich zmarłych, przypisując im to, czego nie robili.

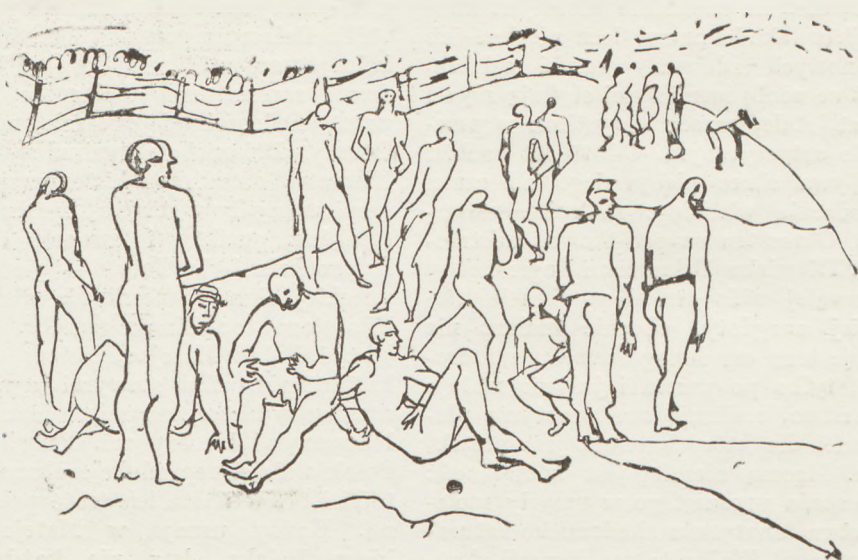
Widzieć w malarstwie tylko temat historyczny nauczył Piloty Matejkę, a Ma-

tejkę Polaków. Ogół nie zmienił swych sądów po dziś dzień, mimo że świat zestarzał się prawie o sto lat od czasu działalności Matejki. W czasie tym nie tylko skończono z akademizmem, przewzięto naturalizm, w każdej postaci, nawet najbardziej idealistyczny, przewzięto realizm i impresjonizm, jako szczyt realizmu, odrzucono balast zbędnych środków ekspresji i wrócono do logicznego stosunku, do materiału, którym i na którym się pracuje. Stało się jasne, że malarstwo nie jest naśladowaniem natury, — jest myślą zrealizowaną w materii czyli uplastycznioną. Malarstwo posługuje się linią i plamą dla kształtowania form, które nie ko-

ta, winien mieć szkielet, na nim rozpięte ciało — formę, żywą, ekspresyjną i fantastyczną.

Aby zrozumieć przemiany zaszłe w malarstwie w ciągu stu lat — należy zacząć od Delacroix'a i Ingres'a, wielkich artystów reprezentujących przeciwne sobie kierunki, z których narodziło się nowoczesne malarstwo.

Impresjonistom drogę wskazał Delacroix, post-impresjonizmowi Cézanne'a impresjonizm i barok głównie (słowa Cézanne'a: „Chciałem uczynić z impresjonizmu coś tak mocnego i trwałego, jak sztuka muzealna”). Dzisiejsze malarstwo korzysta z nauk Cézanne'a, Delacroix, Ingres'a, Poussin'a, Murzynów, Persów,



(Rys. Marian Kościakowski)

niecznie muszą odpowiadać przedmiotom naturalnym, mogą być nieoczekiwane, do niczego nie podobne, nowe.

Myślą Cézanne'a jest, że syntezę formy przedmiotów można uogólnić do kilku zasadniczych figur geometrycznych: sześcianu, stożka, walca i kuli. Jeśli odrzucimy balast iluzjonizmu czy naturalizmu i pozostaniemy przy grze abstrakcyjnej plam i linii nieskończenie bogatej w nienasładownicze możliwości ekspresji — malarz staje się muzykiem, poetą i architektem, konstruktorem harmonicznych fantazji plastycznych, do tworzenia których formy przyrody mogą być bodźcem. Obraz jest jak żyjąca isto-

ta, Chińczyków, Etrusków, Egipcjan i. td.

Przed stu laty Delacroix wystąpił przeciw tekturowemu akademizmowi wnosząc w malarstwo zapomniane od dawna kolor, jasność atmosfery, burzliwą fantazję, życie. Píše o nim Baudelaire: „Wspaniała jest, rozpalona i purpurowa jego fantazja... Wszystko co w przeżyciach bolesne pasjonuje go, przelewa on w swe natchnione obrazy krew, światło, mrok... Głupim byłoby twierdzić, że tak wielki artysta i myśliciel jak Delacroix mógłby się dać opanować przypadkowości. Nie istnieje w sztuce przypadek, tak jak nie istnieje on w mechanice — dobry rezultat jest zawsze konsekwencją lo-

gicznego rozumowania. Dobry obraz jest konstrukcją, w której każdy element ma swą rację istnienia". W liście do Heine'go Delacroix tłumaczy swą metodę: „W sztuce jestem ponad-naturalistą, wiem, że artysta nie może w przyrodzie znaleźć wszystkie swe typy — najpełniejsze, najbardziej własne typy powstają w jego duszy”.

Zasadą Delacroix jest, że obraz wypowiada najintymniejszą myśl artysty, twierdził on, że rozkosz, którą daje obraz, jest zupełnie różna od rozkoszy, którą wzbudza dzieło literackie: „Malarstwo wzbudza jedyny rodzaj wzruszeń rodzący się z harmonii kolorów, światła i cieni. Nazwałbym to muzyką obrazu. Gdy w katedrze jesteś zbyt oddalony od obrazu by móc odgadnąć jego treść, uderzony zostajesz tą czarodziejską harmonią. Same linie mają nie raz wielką siłę wyrazu. Tu jest przewaga malarstwa nad inną sztuką: wzruszenie sięga dna duszy. Malarstwo porusza uczucia, które słowami dadzą się wyjaśnić bardzo powierzchownie". Tak mówił Delacroix, zanim urodził się Matejko — ani słowa o temacie, a przecież malował sceny walk, rzezi, śmierci, miłości. Również przede wszystkim grę elementów plastycznych, a nie temat widział w obrazach Delacroix'a Baudelaire: „Malarstwo — jak czarodziej i hipnotyzerzy rzuca swą myśl na odległość. Fenomen ten wynika z siły koloru, doskonałej harmonii tonów. Wydaje się, że kolor istnieje sam dla siebie, niezależnie od przedmiotu, które pokrywa”.

Wrogiem romantyzmu była szkoła klasyczna, głową której był Ingres. Namietnej fantazji romantyków przeciwstawił on rozsadek, spokój, stylizację formy według kanonów klasycznych. Ekspresji koloru romantyków przeciwstawił on linię wyszukaną, tworzącą arabesk, to znaczy malarstwu — rysunek. Delacroix twierdził, że linia nie istnieje w malarstwie; istnieje tylko granica między dwoma kolorami, jak w tęczy.

Maurice Denis mówi o stylu klasycznym: „W klasycyzmie dominuje idea synteza — klasyk podporządkowuje wdziałk szczegółów pięknu całości i dąży do osiągnięcia równowagi między naturą

a stylem, między ekspresją a harmonią. Klasyk pozostawia przedmiotom ich zasadniczą logikę; poddając naturę regułom sztuki, nie gwałci jej, nie tworzy potworności — dzieła jego posiadają siłę i harmonię form przyrody". Przykładem doskonałym jest dla klasyka rzeźba grecka. Ingres posyłał uczniów swych do muzeów, aby uczyli się u starożytnych wi-



(Rys Krystyna Domańska)

dzieć przyrodę, gdyż: „starożytni są przyrodą, nimi trzeba żyć”.

Ingres uczył, że im prostsze są linie i formy, tym większe ich piękno. Rysunek w obrazie — to trzy czwarte malarstwa, kolor służy do uwypuklenia rysunku, porównać go można z damą dworu, błądzącą dworu ozdoba. Tego rodzaju twierdzenia uczyniły Ingres'a miłym akademikom, którzy nigdy jednak nie zrozumieli wielkości jego formy.

Obaj przeciwnicy — Ingres i Delacroix — zgodnie uczyli: „Modelujcie formy na jasnym” i „malujcie jasno na jasnym”. Dzięki nim kolor, jasność i wizja ogarniającej wszystko świetlistej atmosfery zapanowała w malarstwie. Ileżby zyskali malarze polscy, gdyby u tych mistrzów się uczyli, zamiast w Monachium! Jeszcze za życia obu mistrzów malarze kontynuujący kierunek reali-

styczny zapoczątkowany przez braci Le Nain w XVII wieku i Holendrów oraz Chardin'a w XVIII wieku, oczyściwszy z brązów i rozjaśniwszy pod wpływem Constable'a i Delacroix paletę, wyszli na plener. Jedni jak Courbet, pozostali realistami, twierdząc, że malują tak jak widzą, inni zwrócili się ku rozkoszy gry czystych kolorów, osiągając jednocześnie szczyt malarskiego widzenia przyrody, szczególnie światła i powietrza, impresjonizm. Delacroix nauczył wyrażać światłocien kolorem, a nie walorem. Do ostatniego dnia życia studiował prawa kolorów dopełniających, zmiany w nich zachodzące pod wpływem światła, stosował efekty kontrastów kładąc na płótno kolory obok siebie tak, że kontrastując ze sobą nasycali się wzajemnie — przy odejściu na pewną odległość od płótna zlewały się ze sobą w oku widza, tworząc nowy kolor. Na tej zasadzie mélange'u optycznego oparł się impresjonizm. Krytycy akademicy przyjęli wystawy pierwszych impresjonistów bardzo wrogo. W 1887 roku pisali oni: „Obrazy impresjonistów świadczą o kompletnej nieznajomości rysunku, kompozycji, kolorytu; dzieci, gdy bawią się kolorami i papierem lepiej malują”. Dziś impresjonizm przestał być dawno rewolucją, zbyt ciasno jest związany z naturą, po-

wietrzem i światłem. Bardzo niewielu naszych malarzy poznało impresjonizm, kilku tylko dobiło do postimpresjonizmu i dywizjonizmu. We Francji Cézanne, postimpresjonista, zareagował przeciw improwizacyjnym przypadkowościom impresjonistów, kładących nacisk na wierne oddanie atmosfery otaczającej przedmioty, lekceważących natomiast same przedmioty, zatracających kontur i modelunek. Cézanne powrócił do kompozycji architektonicznej i do przedmiotu. Formę budował on kolorem: „światłocien dla malarza nie istnieje; światło i cień jest to stosunek wzajemny kolorów”.

Neo-impresjoniści, czyli dywizjoniści poczęli stosować metodycznie melanż optyczny czystych kolorów, uzyskując niezliczone odcienie, od świetlistych do ciemnych. Malarze ci nie stworzyli szkoły, jednak po pewnej chaotyczności impresjonistów, nawrócili oni do konkretyzacji plamy barwnej — zwiększwszy jej płaszczyznę uczynili ją bardziej płaską, to znaczy bardziej malarską. I w tym zeszli się z Cézanne'em. Cézanne wytyczył drogę malarstwu XX wieku. Nie znaczy to, że należy go naśladować: należy jedynie zrozumieć, że pewne prawa w malarstwie są wieczne, przede wszystkim płaskość plam barwnych.

Marian Kościalkowski

Z litewskiej poezji

W dniu 26.XI.45 r. odbył się w Rzymie urządzony staraniem Klubu Federalnego wieczór poezji i pieśni litewskiej. Wieczór, poprzedzony słowem wstępnym J. Adamowicza, wypełniły recytacje poezji litewskiej (czytali: Krystyna Kopczyńska, Vytautas Kerbelis i Jan Olechowski) oraz utwory muzyczne w wykonaniu P. Steponaviciusa i V. Kerbelisa.

Poniżej drukujemy kilka utworów z przygotowanej przez Józefa Adamowicza Antologii Literatury Litewskiej w języku polskim.

Z wichurą i ukochaną

*Nie wiem, którą z was pierwsza pokochałam,
burzę, czy ciebie, ukochana.*

*Ale dla ciebie, burzo!
Ale dla ciebie, ukochana!
Idę zawrotnie oszalały,
— ręce podaję ukochanej,
wichurom dam sztandary.*

*Ze mną, wichuro, szalej,
przed nami drog szerokie dale.
Śpiewaj z wichurą, ukochana,
gdy w wichrach padnie ukochany.*

Kazys Boruta

Jeśli życie jest snem

*Jeśli życie jest snem tylko dla mnie,
znów się zbudzę, by żyć nie we śnie,
jeśli dnie nasze — cienie poblądne,
któż więc w nocy uspił tu mnie?*

*Kto w tym świecie ułożył mnie do snu,
żebym błądził, jak dziecko wśród skał,
bym w wyprawie po słońce radosne
ciągle cierpiął, padał i łkał...*

Bernardas Brundzklonts

Uśmiechnięci Święci

— Mamusi, dlaczego ta Matka Boska tak niewygodnie leży?

Było to na retrospektywnej wystawie francuskiej plastyki, w Paryżu, na dwa lata przed ostatnią wojną. Żywo obróciłam się i zobaczyłam, że Paryżanka zadająca owo pytanie miała co najwyżej dziesięć lat. Uśmiechnęłam się do dziewczynki. Nie podejrzewała nawet jakie swoimi prostymi słowami, otwierała przede mną horyzonty.

Rzeczywiście — Matka Boska na owej planszy średniowiecznego majstra leżała wyjątkowo niewygodnie, ale, przy bliższym przyjrzeniu się anonimowi, stawało się oczywiste, że uległ on silnym wpływom niemieckiej szkoły. Obrazy i rzeźby, płaskorzeźby najbardziej konwencjonalne, a rdzennie francuskie — były absolutnie wolne od najmniejszej sztuczności, nawet przy najdalej idącej stylizacji i klasycznej hieratycznym układzie.

Odruchowo szłam za matką. Ciekawa byłam co jeszcze podchwyci, a tym samym pokaże. Zatrzymała się przed cudną planszą. Obraz, malowany na drzewie, pękł przez całą długość ale nie utracił olśniewającej świeżości barw. Purpurowy płaszcz możnowładcy kontrastował z płaszczem Matki Bożej, szafirowym, lekko przyprószonym pyłem drogi, odbytej do Betlejem na osle. Wycieniona połogiem — miała twarz przeźroczystej białości, łagodną plamą świecą jaśniejącą pośród twarzy ogorzałych i zdrowych. Do stajenki zaglądali pastuszkowie. Nie były to dzieci, ani, tym bardziej — anioły, lecz dorosłe chłopcy o gestych, zapuszczonych brodach.

Dziewczynka roześmiała się. Nie od razu zdolałam odnaleźć motyw komiczny w podobnej kompozycji, pochodzącej z wieków średnich; uważniej przyjrzałam się obrazowi. Na purpurowym płaszczu możnowładcy siedział mały, biały piesek o mordce odętej pychą i ważnością — godny reprezentant kasty, do której należał jego posiadacz, zapewne nie wolny od pokrewnych cech charakteru. Była to jakaś mieszanina bułdoga i mopsa, a przede wszystkim — był to, w całej swojej stylizacji i symbolice, roztoczony dowód poczucia rzeczywistości i poczucia komiczności. Za możnowładcą, w wejściu do stajenki, na kolku wisiały herbowe insygnia, przeźornie ziliję przed wkróceniem tam, gdzie jeśli nie boskość, to co najmniej ludzkość jest nieuniknioną obowiązującą.

W religijnym malarstwie średniowiecznym motyw pieska powtarzał się wielokrotnie u francuskich mistrzów. Piesek siedział w skrzy-

dle najbardziej wstrząsającego tryptyku, wyglądał z dyptyków i z plansz pojedynczych. Wspinał się na tylne łapy i oblizując się łakomie zaglądał do kąpieli dla tej prostej i wystarczającej racy, że czuł pragnienie. Jakaś uroczą, uśmiechniętą świętą przybliżała mu do pyska święconej wody, którą pił łapczywie.

Dziesięcioletnia Paryżanka uśmiechnęła się.

— O, mammo, popatrz tylko!

Była to koronacja Matki Bożej. Dwóch świętych trzymało koronę nad Jej głową. Duch Święty, w postaci gołębia, spływał na Nią pośpiesznie. Rozłożonymi skrzydłami muskał obu świętych po nosach i wargach. Odwracali się z lekko przymrużonymi oczami, z grymasem łaskotanego człowieka.

U późniejszego mistrza koronacja Matki Bożej znalazła jeszcze bardziej realistyczne rozwiązanie. Kokieteryjna, jak przystało na piękną kobietę, Matka Boska przymiærzała koronę przed lustrem, niczem kapelusze. Ręczne lustro trzymał aniołek. Odbijał się w zwierciadlanej szybie fragment pejzażu niewidocznego na płótnie, co wyhlakało z logiki perspektywy. Na dalszym planie tłumy aniołków małutkami koronami w tym dniu radośnym koronowały po prostu wszystkich napotkanych sprawiedliwych. W błękitnym powietrzu panował nastrój jaskrawej wiosny, „dnia kwiatów”. Przechodnie otrzymywały korony jak goździki. Jeden z aniołków uśmiechał się do nich zapraszającym gestem. Wyglądał jak mały „piccolo”, zdawał się mówić: „Messieurs, Dames! avansons! Wszystkie aniołki ubrane były jednakowo w sukienki błękitne, jak przystało na frebówkę niebieską. Po śliniaczkach, wykonanych czerwonym hałkikiem, można się było jednak domyśleć, że sukienki owe zostały wykonane na ziemi.

Mistrza francuskiego na zamówienie możnowładcy nie zawahał się dokonać refusu starego testamentu. Matce Boskiej nadał rysy sławnej artystki teatralnej, którą można pan darzył uwielbieniem i umieszczał ją w gorącym krzewie, ku słusznemu zdumieniu Mojżesza, nawykłego do oglądania Jehowy w tym od wieków ustalonym miejscu.

W zależności od dworskich wymogów i od wpływów włoskiego renesansu — Matka Boska stawała się damą coraz bardziej świecką. Nie tylko na obrazach, ale nawet w rzeźbie posuwała się krokiem tanecznym, wdzięcznie przeginając talie o linii zdradzącej znakomicie zacisniętą „sznurówkę”. Welony Jej, w swej uroczej zwrotności, nie były w mocy przysła-

sztuczności. Była żywa, prawdziwa, głęboko przekonująca. Jako młodziutka, może najwyżej szesnastoletnia matka, na rzeźbie sięgającej wieków średnich; ze znudzeniem odwracała się od malutkiego dzieciątka, które natarczywie wyciągało piastki do trzymanyh przez nią winogron. Mały musiał mieć charakter od samego początku. To nie było prostą rzeczą Jego wychować.

W portyku kościelnym Matka Najświętsza stała jak najmilsza konferensjerka. Na łuku portyku, niby na taśmie rotacyjnej, stłoczeni jeden przy drugim, zdawali się przesuwają już nie uśmiechnięci, a roześmiani święci.

Uśmiech Francuzi umieli wydobyć nawet ze smrotnej ucieczki Karola VII-go. Gdy tchórzliwie umykał przed Anglikami — całym dworem rozkładał się obozowiskiem nad źródłami i rzekami, na łąkach zielonych i kwietnych. Tkaczy dworskich urzekały sielskie obrazy; jeśli przenosić je na misterne, gobelinowe krosna. Z tej włóczęgi wzięły początek gobeliny, zwane „tapiceries fleurettes”. kwitnące tysiącami różowych polnych kwiatków.

Ze zła wydobywało się dobro samorzutnie. Słabość Karola VII-ego zrodziła siłę Joanny d'Arc. Duch tryumfował; niepodobna było go zgładzić. Zło kryło w sobie zarodek samozagłady. Na bardzo starym obrazie Święty własną głowę wziął pod pachę i spokojnie odchodził ku otwartym wrotom gotyckiej świątyni, podczas gdy kat ze skrwawionym toporem stał koło skrawionego pnia z miną kretyna, ośmieszony bezsilnością, odróżający śmiesznością, siłą bicepsów usiłujący nie-śmiertelności śmierć zadać.

Święty mógł iść z własną głową pod pachą, gdy miało to symbolizować fakt, że toporem nie przecina się źródła światła. Z głową na szyi, czy pod pachą — wiekiustego życia mu nie przzerwano. Co innego jednak jest jakiejś części ciała pozbawić, a co innego — nie mieć jej wcale. To, co możnaby nazwać romantyzmem realizmu, najwyraźniej jawi się u francuskich mistrzów w rysunku anielskich postaci. Tam, gdzie brak oczywistych wpływów obcej szkoły — aniołek, wyrażony jedynie główką i skrzydełkami, w ogóle się nie pojawia. Fruwająca głowa, to w istocie swojej — makabra, obrażająca ponadto realizm. Kto wie, czy nie wzięła ona początek z ponuro-obleśnego przeświadczenia o „nieczystości” boskiego piękna nagiego ciała. Malarze średniowiecznej szkoły niemieckiej, przydający nagiemu Chrystusowi dwie lewe nogi w nieudolności podejścia do aktu, a z genialną maestrią oddający piękno draperii lub ubiorów, łatwo

powtarza się najrzadziej.

Motyw lustra natomiast często powtarza się we francuskim malarstwie. W lustrze Matka Boska przymierza koronę; lustro zabiera ze sobą pokutującą Magdalena do samotnej groty na pustyni. Magiczną siłę ma ów kawałek polerowanego szkła i nie może być prawdy o kobiecie tam, gdzie jego brak, jak w owej uroczej bajce fracuskiej o zubożałej księżniczce, tak biednej, że nie mogła sobie kupić nawet — zwierciadła.

Uśmiechnięty podziw dla piękna ciała, z fracuskiej plastyki wyrugował niesmaczną drastyczność. Do najśmielszych pomysłów francuscy artyści podchodzą z wdziękiem płynącym z naturalnego podejścia do spraw naturalnych, jaki romantyzm przepajał wszelki realizm.

Posąg przedstawiający „zimę”, był to cudny biały marmur, z którego francuski rzeźbiarz wycarował zziębniętą dziewczynkę, naciągającą sobie sukienkę na głowę i odsłaniającą cały dół ciała. W nowoczesnym obrazie, studium dwóch tyłów kobiecych rozwiązane zostało jako fragment dwóch w obłoki ulatających postaci.

Ciało wątle, cherlawe, nieładne, ludzkie, spojrzenie malarza również sublimowało niejako. Wychudzona, uboga dziewczyna, zaczesująca włosy nad obdrapaną, żelazną umywalką — anemiczną nagością szarzała na tle tapety jeszcze bardziej szarej. Ze ściany jednak odrywały się i ciepło nawiewały na jej zmarzniętą nagość malenkie, niepozorne kwiatki, drobnym wzrokiem zdobiące tandetny papier.

Z żadnego płótna romantyzm realizmu nie emanował wyraźniej, niż z pięknie pomyślanej kompozycji cmentarnej. Szary cmentarz równiutko pocięty białymi krzyżykami mógł żołnierskich, zacierał się na drugim planie. Plan pierwszy zajmowały kobiety — żony umarłych. Miały na sobie suknie czerwone, lilowe, żółte, zielone. Barwne były nawet oprawy ich modlitewnych książek. Spokojnym wzrokiem spoglądały przed siebie, nie za siebie, gdzie białały krzyże cmentarne. Nie było żałoby ani w ich sercach, ani w ich ubiorach. Gdyby to, co pozostało przy życiu, również oblekło się kirem — po kataklizmie wojennym świat utraciłby moc trwania. Niech umarli grzebią swoich umarłych — żywi muszą patrzeć naprzód, dopóki życie trwa.

W cyklu sepiowych, nie wielkich rysunków przewijał się motyw trumny. Nie wiało od niego ani grozą ani satyrą. Trumna była w kształcie zwykłego pudła, bez owej smutnej

wypukłości wieka, z której zda się stacza wszelka możność znalezienia pociechy. Powaga śmierci nie wymagała szczegółów ornamentacyjnych; obchodziła się doskonale bez pompy i bez kiru. Po ulicach Paryża samochody pogrzebowe mknęły w rannych godzinach. Ruchu nie tamowały nagle żaden kondukt. Zdało się, że nikt nie umiera w stolicy Francji.

Jako jeszcze jeden uśmiech, w salonach plastyki współczesnej, lwica z białego marmuru łagodnym wygięciem karku, miłośnicie seylała się do małego lwiątko, podczas gdy drugie małe wspinało się ku niej. Żywo kontrastował z tą francuską rzeźbą ulany w brzoje rozjuszony tygrys, stanowiący jeden z najcenniejszych eksponatów salonu niemiec-

kiego. W zestawieniu z ową lwicą wydawał się symbolem i — ostrzeżeniem. Nie wiedział wówczas jeszcze, że utonie w jadzie własnej krwi.

Dziś już można przewidzieć jednak, że mimo trwającego przełomu ponura wizja komunizmu nie ostoł się w kraju, w którym uśmiech króluje od tyłu stuleci. Gdyby hordy Stalina dotarły aż do Francji — ich w kłamstwie skostniały stosunek do człowieka, do życia i do Boga, zostałby pokonany nie tylko żywym stosunkiem do Boga żywego, ale zostałby po prostu zniweczony śmiechem, którego inne kraje Sowietom nie potrafiły zadać.

M. P

RECENZJA

Idea i rzeczywistość

Nakładem „Biblioteki Orła Białego” ukazał się przedruk rozprawy Stanisława Brzozowskiego pt. „Filozofia romantyzmu polskiego”. Zarówno Brzozowski, jak i romantyzm, to dla nas Polaków sprawy bardzo aktualne i ważne. Zaprawdę — bardzo ważne i aktualne.

Brzozowski, jako pisarz, był i pozostał wielkim wychowawcą. Romantyzm polski był i pozostał najwyższym zrywem ducha polskiego. Czegoż więc więcej potrzeba, jak nie skonfrontowania wartości bieżącej tego wychowawcy i zasięgu tego zrywu duchowego w dniu dzisiejszym i na naszą bezpośrednią przyszłość historyczną. Niewątpliwie rozprawka ta da każdemu z jej czytelników dobrą sposobność do takiej konfrontacji.

Rozprawka ta tłumaczy przede wszystkim dlaczego Polska stała się „natchnieniem narodów” w ustach nawet bardzo trzeźwych polityków. Jak wysiłkiem ducha Polska budowała swój byt ponad-realny w okresie po Księstwie Warszawskim, więc w Polsce wyzbytej realności państwowej. Jaka w tej pracy przypada rola Mickiewiczowi, Słowackiemu, Krasińskiemu, Cieszkowskiemu i Norwidowi. W tej pracy „objawienia prawdy” i „dopełnienia i uświadomienia Polski samej”, „zrozumienia postanowienia swego”. Przecistawienia bierno-poznawczemu stanowisku filozofii idealizmu niemieckiego — polskiego intuicjonistycznego aktywizmu dla osiągnięcia nie tylko wyzwolenia człowieka, ale również i prawa do samostanowienia o sobie.

Rozprawkę tę pisaną w r. 1906 kończy autor takimi hasłami-problematami: „My bowiem nieustannie rozstrzygać mamy, czym ma być Polska i jakie są drogi, które do niej prowadzą? By zaś na te pytania odpowiadać, trzeba już mieć w sobie tę Polskę odrodzoną, trzeba dorobić się jej zasługą przebudowania wewnętrznego”. A dalej: „Mamy walczyć o kulturę i przyszłość Polski, przyszłość tę i kulturę stwarzać, a czyż powiedzieć o sobie możemy, że wiemy, czym ta przyszłość być ma, że mamy

w sobie ducha tej przyszłości Polski? Tej Polski, jakiej chcemy, aby była?” Czyż może być więc bardziej aktualny manifest?

I niewątpliwie nie jeden z czytelników tej wzniosłej, symbolicznej wręcz językiem pisanej rozprawy, pod trochę nie na miarę naszych dni ścisłym tytułem „Filozofii romantyzmu polskiego”, zechce sięgnąć do dalszych pism Brzozowskiego, aby dać sobie na te pytania odpowiedź. Jak nas dochodzą głosy z Kraju, tak też tam czyni młodzież i chyba ci ze starszych, którzy dziwnym trafem ominęli za młodu Brzozowskiego. A w takim razie sprawa sprowadza się nie tylko do skonfrontowania tej czy innej jego rozprawki, ale całokształtu jego twórczości, co prowadzić może do bardzo zastanawiających, nawet trochę nieoczekiwanych dla niejednego wniosków.

Postaramy się to uczynić teraz sumarycznie i niejako na własną odpowiedzialność. Czymże był i czym dla nas pozostał Brzozowski? W swoim czasie, tj. w pierwszym dziesiętku lat XX wieku była to najpotężniejsza i najchwytliwsza polska macka myślowa wysunięta na Zachód i czerpiąca z tego Zachodu żywotne soki, nie poniekając zgłębiania otchłani duszy Wschodu. Tak to się mówi w utartych zwrotach literackich i tak też to wówczas i do dziś nadal wygląda: na „czerpanie żywotnych soków” i „zgłębianie otchłani”.

Obecnie okazuje się, że Brzozowski mógł nie tylko być prekursorem, zwiastunem dla samego Bergsona, czy Jamesa, ale że był też zwiastunem tych wszystkich — nie tyle soków, co — czadów myśli zachodniej i wschodniej, był sejsmografem tych wszystkich wstrząsów, w których drgawkach i oporach wyrósł jeden z największych kataklizmów dziejowych. Bo to, co w ideach, pragnieniach i dążeniach wyglądało tak zwodniczo pięknie, okazywało się aż nadto często w rzeczywistości po prostu zabójcze. Tu trzeba sięgnąć do biblijnego patosu, aby tę prawdę uwypuklić werselem.

Pomyślimy: Brzozowski głosił potrzebę wzneszenia autonomicznej kultury pracy w Polsce,

w czym możnaby się dopatrywać zastępczego, czy też równoległego hasła przygotowawczego, do hasła walki czynnej o niepodległość. Było to budowanie niepodległości po swojemu pod jarzmem niewoli. Cóż piękniejszego, ale do czego rozwinięcie jego hasła doprowadziłoby, czy doprowadzić by musiało, znalazłszy konsekwentną realizację? To wiemy przez analogię na przykładzie hitlerowskich Niemiec. Nie tylko do autarkii kulturalnej, ale i gospodarczej z jednej strony, a do kultury, a zatem i ekonomiki, technokratycznej z drugiej strony. Czyż tego zresztą poza Nowym Światem nie można było doskonale obserwować w Środkowej Europie?

To jedna próbka, bez pełnego dowodu. Takich próbek jednak możnaby znaleźć więcej. Nie jesteśmy w stanie służyć cytatami, nie mniej piszemy pod bezpośrednim i silnym wrażeniem ponownego zetknięcia się z pismami Brzozowskiego po przeszło 20-letniej przerwie, a to właśnie z racji rekonstruowania jego filozofii pracy, czy filozofii czynu w ogóle. Tu jednak drugi żelazny dziejowy jego myśli staje przed oczyma. Cóż szlachetniejszego, jak idea sprawiedliwości społecznej i chęć oparcia kultury i ustroju na zasłudze pracy ludzkiej? Ale co pod tym płaszczkiem robi rzeczywistość, jeżeli nie prowadzi pod tą czy inną formą dyktatury mas, czy proletariatu do jaskrawych form bezdusznego totalizmu, tej najnowocześniejszej formy barbarzyństwa?

Wiadomo, iż Brzozowski w swoim rozwoju duchowym ulegał okresami, bądź idealizmowi filozoficznemu, bądź marksizmowi, bądź wreszcie nacjonalizmowi i katolicyzmowi. Był przy tym uczniem wielu mistrzów, wśród których na niepoślednim miejscu znajdował się Fichte, Nietzsche lub Sorel, Bergson i kardynał Newman. Przy czym mniej ważne jest to, co oni mogli mu dać, od tego, co on z nich brał, jako to — znów szablonowo powiemy — „dziecko swej epoki”. Prawie że genialne — trzeba przyznać — dziecko swej epoki, bo wyczuwające z moze aż nazbyt dla nas zadziwiająca, ale u „dziecka” poniekąd zrozumiała beztroska, czy ryzykiem — hasła, prawdy i idee przyszłości. Oczywiście — jego przyszłości, która dla nas jest po części przeszłością, niestety jednak jeszcze bynajmniej nie całkowicie pokonaną, ani na zewnątrz nas, ani też na wewnątrz niektórych z nas.

Bo u Brzozowskiego właśnie znaleźć można pierwszy posiew wielu tych rzeczy, które potem, wkrótce po nim, z zadziwiającą szybkością wzrosły i zwiędły tu i ówdzie, a gdzie indziej znów „kwitną” jeszcze, jeśli tym liczmanem słownym nazwać można krzewienie się chwastu ideowego o przeróżnych nazwach eufemicznych, złagodzonych. Więc wspomniany już marksizm, totalizm, autarkizm, faszyzm, irracjonalizm, i humanistyczny, dynamiczny aktywizm, przyjmujący dziwnie płynną rzeczywistość wszelkich wartości i ich względność za swe podstawowe założenie. Wartości, które trzeba bronić, lub tępić nieustającą walką, ducha i ciała.

W swym żarliwym duchu szukającym ideału z motylkowym zaślepieniem leciał on w ogień każdego mirażu myśli, opalał sobie skrzydła a jednocześnie obrastał w nowe pierze, świeżego koloru, dojrzał i zdawać się mogło, iż nawracał, gdy właściwie tylko nawracał się.

Aż wreszcie odszedł, nie dokonawszy swego naziemnego żywota do końca. Bo może by wreszcie w swych szamotaniach się natrafił był na nurt stałszy, trwalszy, pewniejszy, którego istnienie wyczuwał, ale do którego dobijał się przez gąszcz najbardziej uwodliwych omamień. Nie przeszedł jednak bynajmniej bez śladu. Był wychowawcą, to niewątpliwie. Godne zastanowienia się jest jednak, czy przez to, co wyżej zostało powiedziane, nie był złym wychowawcą? Chyba nie.

Jak każdy dobry wychowawca, Brzozowski ulegał czarowi pięknych idei, które skłonny był brać za swego rodzaju rzeczywistość, z trudnością jednak umiał sobie przedstawiać materialne, do których potrafił najpiękniejsze hasła zawieść naturę ludzką. Jak każdy utalentowany wychowawca umiał sugestynie, w sposób przekonywujący, przekazywać nabytą wiedzę i wyrobione przekonanie. Pod tym względem do dziś jego praca nie straciła wiele na wartości. Trudno w polskiej literaturze filozoficznej, czy raczej ideologicznej, o bardziej drożdżami myśli wezbudzącej lekturę.

Alle zdając sobie sprawę z jej zalet, nie należy przeceniać ukrytych w niej niebezpieczeństw. O ile tylko dla chwilowej wygody osobistej nie zamykamy sami oczu, to życie nasze dało nam dość sposobności, aby uświadomić sobie tego rodzaju pułapki myślowe. I bogaci w te doświadczenia możemy spokojnie spojrzeć na te stoki wzniesień ducha, poprzerywane przepaściami, w które stacza się człowiek, jeśli nie cała ludzkość, gdy tylko postawi nieprzezwyciężony krok na krawędzi.

Te katastrofą grożące konsekwencje możemy dostrzec ze szczególną łatwością. My wszyscy — wzbogaceni w osobiste doświadczenia historyczne, zbierane tak wielkim kosztem ofiar najbliższych nam ludzi, jeśli nie ofiar własnych. Pod warunkiem, że zechcemy wyciągnąć z nich należyte wnioski, że nie uprzemy się przy naśladowaniu tego wszystkiego, co było tak nierozłącznie związane z przebyciem katastrofą i że — powiedzmy to sobie wyraźnie, otwarcie i jasno — wyzbędziemy się raz wreszcie wszelkich nadziei, że to, co się jednym nie udało, to może innym się powieść.

To też w charakterystyce Brzozowskiego, podanej na wstępie w nocie Grudzińskiego, podkreślamy porównanie zlepku składającego się na pogląd na świat, czy tylko postawę życiową autora „Filozofii romantyzmu polskiego” — do „zawiołu”, który ma dość siły, żeby burzyć, ale nie dość wyczucia historycznej i kulturalnej rzeczywistości, żeby rozkazywać i budować”. Z takim ujęciem godzi się też niezłe teza Ludwika Frydęgo, wspomnianego w nocie autora rozprawy pt. „Brzozowski jako wychowawca”, że „Brzozowski stał się niejako do-

pełnieniem uroku, jaki na inteligencję polską rzucił Stefan Żeromski..." a „twórczość Brzozowskiego musiałaby być oceniana jako luksusowy w naszych warunkach wysiłek przekroczenia duchem sfery faktów, jako genialny fenomen skazany w praktyce na umacnianie i pogłębianie najniebezpieczniejszych cech umysłowości polskiej". Akcent położylibyśmy na słowie „najniebezpieczniejszych", nie podkreślając specjalnie słowa „polskiej".

Z tym też dobrze licuje i porównanie Brzozowskiego do pływaka, użyte tam, gdzie Grudziński mówi: „Toteż trudno również oprzeć się wrażeniu, że Brzozowski, jako pisarz, Brzozowski, który nie formułuje myśli, ale myśli w słowie, jak rzeźbiarz w marmurze, a malarz w kolorze, przypomina niekiedy pływaka, który u kresu sił i zmęczenia każdy napotkany przedmiot bierze za brzeg upragniony i ostatecznie osiągnięty". Biorąc ryzyko pływania, miał też i odwagę pływaka: „Wiedział bowiem, że myśl i słowo są również czynem, gdy stanowią nie ucieczkę, odpocznienie, ukojenie i pociechę dla „strapionych istnień", ale

odważne i męskie spojrzenie w oczy każdej, najgroźniejszej nawet rzeczywistości". Wszystko to jednak wówczas, gdy „marzył raczej o tym, żeby być sumieniem literatury polskiej". Tu byśmy uwypuklili słowo „literatury".

Na jeszcze jedno natarczywe pytanie czytelnika, czy w końcu Brzozowskiego należy uważać za dobrego, czy złego wychowawcę, odpowiemy paradoksem, który choć „jest rzeczą niebezpieczną, zawsze zawiera w sobie coś z prawdy": „Nie ma dobrych, ani złych wychowawców". (Na dowód tego wskazaliśmy poprzednio na niebezpieczeństwa grożące ze strony najlepszych wychowawców). Natomiast „są tylko dobrzy lub zli uczniowie". (Bo uczeń jest celem, a nie wychowawca, zwłaszcza dobry uczeń). „A dobry uczeń polega na tym, że umie szybko uporać się ze swym wychowawcą i zdobyć sobie... własnych uczniów". Tego też parania się z Brzozowskim życzymy czytelnikom jego rozprawy o „Filozofii romantyzmu polskiego" i kończymy podając naszego paradoksu część czwartą: „Taki bowiem uczeń jest dopiero na prawdę dobrym wychowawcą".

Pen

Archiwum Nuncjatury Warszawskiej

W roku 1944 ukazał się drukowany w Watykanie tom XII (w rzeczywistości XIII, bo w wykazie została opuszczona praca ks. Pukiańca o Wyprawie Wiedeńskiej) „Studiów Teologicznych", wydawnictwa, które zapoczątkował w r. 1932 Wydział Teologiczny Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Jest to praca profesora tegoż wydziału, ks. dr. Waleriana Meysztowicza p.t. „De Archivo Nuntiaturae Varsaviensis, quod nunc in Archivo Secreto Vaticano servatur" (str. 103, 2 tablice, 16 ilustracji).

Praca ta stanowi dalszy ciąg studiów wileńskiego uczonego nad polonicami, znajdującymi się w tajnym Archiwum Watykańskim. Pierwszym ich wynikiem był drobny, lecz cenny przyczynek, który ukazał się również w Watykanie w r. 1943, jako t. XI „Studiów Teologicznych" pt. „Repertorium bibliographicum pro rebus Polonicis Archivi Secreti Vaticani".

W/w studia wraz z dwoma dalszymi, mającymi się wkrótce ukazać w tej samej serii wydawniczej i opracowaniu, tworzą w koncepcji ich autora zwarty

cykl, wprowadzający badacza — przede wszystkim polskiego — do zasobów Archiwum Watykańskiego.

Omawiany t. XII „Studiów Teologicznych" zakrojony jest na szerszą od poprzedniego miarę i dlatego szczerze należy żałować, iż nadspodziewanie pocażna ilość błędów drukarskich (tylko nieznaczną ich część została sprostowana na str. 101) w dużym stopniu utrudnia śledzenie wywodów autora.

We wprowadzającym rozdz. I. (strony 3-4) ks. prof. Meysztowicz po bardzo słusznym stwierdzeniu, iż bez znajomości historii Polski nie jest możliwe całkowite poznanie dziejów Kościoła lub Europy („sine scientia rerum Poloniae non est possibilis nec plena Ecclesiae, nec Europae historiae cognitio" — str. 3), podaje zasadniczy podział akt Archiwum Watykańskiego, odnoszących się do problemów polskich. Przekazy te rozpadają się na dwie grupy: jedna pt. „Nuncjatury Polski" (Nuntiaturae Poloniae — Nunz. Pol.) i druga, oznaczona mianem „Archiwum Nuncjatury Warszawskiej" (Archivum Nuntiaturae

Varsaviensis — Arch. Nunz. Vars.) Ta ostatnia stanowi właściwy przedmiot omawianego studium.

Z rozdziału II (str. 5-8) pt. „Ogólny opis Archiwum Nuncjatury Warszawskiej” okazuje się, że zbiór ten został zgromadzony w latach 1754-1795 przez przedstawicieli Stolicy Apostolskiej przy królu polskim. Poprzednio natomiast istniał zwyczaj, że nuncjusze przy opuszczeniu swego stanowiska zabierali ze sobą dokumenty i papiery urzędowe, traktując je niejednokrotnie na zasadach własności prywatnej. Po rozbiorach Polski Archiwum Nuncjatury zostało przeniesione do Wiednia, a w r. 1859 do Watykanu. Dodać należy, że część zawartości Archiwum obejmuje okres znacznie wcześniejszy, mianowicie — regesta nuncjuszów z lat 1587-1713.

Akta Nuncjatury Warszawskiej były dotąd katalogowane pięciokrotnie. Pierwszy katalog, sporządzony w roku 1775 przez nuncjusza Józefa Garampi (przed przybyciem do Polski piastował on m. in. stanowisko kierownika tajnego Archiwum Watykańskiego) nie dochował się do chwili obecnej. Autorem piątego katalogu, zakończonego w roku 1930, jest Włoch Perali. Najnowszą jednak próbę należytego uporządkowania akt, o których tu mowa, jest pomieszczony na str. 45-89 pracy ks. prof. Meysztowicza indeks tek i voluminów warszawskich. Ten proponowany tylko (jak skromnie zaznacza autor) katalog jest ułożony przejrzysto i konsekwentnie, a dwie dodatkowe tablice wybitnie ułatwiają korzystanie z niego.

Najciekawszym i najbardziej pouczającym dla czytelnika, nie mogącego w danym momencie zaznajomić się bezpośrednio z tekami Nuncjatury Warszawskiej, jest rozdz. III pt. „Nuncjusze w Polsce 1754-1796” (str. 9-43). Przedstawicielami Ojca św. przy Augustie III Sasie i Stanisławie Augustie Poniatowskim byli kolejno: Mikołaj Serra, Antoni-Eugeniusz Visconti, Anioł-Maria Durini, Józef Garampi, Jan-Andrzej Archetti, Ferdynand-Maria Saluzzo i Wawrzyniec Litta.

Metoda, jakiej użył autor w tym rozdziale, nie wydaje się najwłaściwszą.

Poświęcając (co jest zresztą zrozumiałe) główną uwagę katalogowi, ks. prof. Meysztowicz zastosował do wszystkich życiorysów jeden i ten sam schemat, uwzględniający pod tymi samymi nawet literami następujące dane: a) akta z okresu urzędowania danego nuncjusza w Warszawie, b) jego rodowód, c) najważniejsze wydarzenia w jego życiu przed przybyciem do Polski, d) sytuacja Rzplitej podczas jego pobytu, e) najważniejsze poczynania na terenie polskim, f) późniejsze koleje losów.

Wszystkie te szczegóły są oparte na archiwalnych materiałach watykańskich oraz sporej literaturze przedmiotowej (od 33 pozycji, dotyczących Józefa Garampi, do 4 pozycji, przedstawiających poczynania Mikołaja Serra i Ferdynanda Saluzzo). Lecz właśnie ta pokaźna ilość źródeł i opracowań, będąca dowodem naukowej sumienności autora, wywołuje mimowoli pytanie, czy słusznie uczynił ks. prof. Meysztowicz, zamykając wartościowe przyczynki oraz spostrzeżenia z historii Polski i Europy, zdobyte ponadto wielkim niewątpliwie nakładem pracy, w schematyczne i szkieletowe curriculum vitae. Można wprawdzie, jako kontrargument, przytoczyć opinię samego badacza, że podaje on jedynie niektóre daty z życia poszczególnych nuncjuszów, zasługujących zresztą na dokładne opracowania monograficzne (str. 9), ale pomimo wszystko nie stanowi to dostatecznie uzasadnionego motywu. Dzisiaj szczególnie, kiedy uczonym polskim tak trudno o warsztat prawdziwie twórczej pracy naukowej, należy jak najstaranniej i najskrupulatniej gromadzić wszystkie, nawet drobne osiągnięcia, uzyskane na wielkim szlaku pielgrzymstwa i tułactwa naszych naukowców. Czy rozwinięcie tematu rozdz. III w osobnym specjalnym studium byłoby wskazane oraz w jakiej formie, — nie moja jest rzeczą rozstrzygać i decydować.

W każdym razie można powiedzieć, iż nuncjusze warszawscy — naturalnie wszyscy pochodzenia włoskiego — stanowią szereg ciekawych indywidualności (nie posiadających, co prawda — z wyjątkiem Józefa Garampi — dostatecznej

znajomości spraw polskich). Przybywali oni do Warszawy w kwiecie wieku (najstarszy Serra liczył lat 48, najmłodszy Litta — 38), mając już niejednokrotnie poważne osiągnięcia w papieskiej służbie dyplomatycznej. Np. Garampi w końcowej skomplikowanej fazie wojny siedmioletniej jeździł w latach 1761-1763 w specjalnej misji od Klemensa XIII do Prus, Francji i Belgii.

A jednak w Polsce taki nuncjusz Saluzzo nie orientował się dokładnie w różnicy między dążeniami Sejmu Czteroletniego i hasłami rewolucji francuskiej, a insurekcję kościuszkowską posądzał o powodowanie się zasadami jakobińskimi; — podobnie zresztą czynił i jego następca, Litta. Równocześnie zaś uwidoczniała się u tych dyplomatów zupełnie błędna ocena Rosji oraz polityki jej władców, którym ciągle wierzono mimo najbardziej nieoczekiwanych — a częstokroć niezbyt przyjemnych — posunięć. Nikt inny, jak tylko nuncjusz Litta, cieszący się osobistą przyjaźnią cara Pawła I („personali Imperatoris amicitia gauderet” — str. 42), przy dworze którego pełnił po rozbiorach Polski

funkcje Delegata Apostolskiego, został poproszony w r. 1799 o opuszczenie Petersburga w ciągu czterech (!) godzin, a granic państwowych jak najszybciej...

* * *

Pracę swoją ks. prof. Meysztowicz dedykował obecnemu nuncjuszowi przy legalnym rządzie R. P. Filipowi Cortesi. Ilustracje w tekście są reprodukcjami portretów papieży (Benedykta XIV, Klemensa XIII, Klemensa XIV, Piusa VI), króla Stanisława Augusta i siedmiu wzmiankowanych już uprzednio nuncjuszów; — ponadto przedstawiają one nagrobki trzech z nich (Garampi, Saluzzo, Litta) oraz gmach Nuncjatury przy ul. Długiej w Warszawie.

Studium ks. prof. Meysztowicza o Archiwum Nuncjatury Warszawskiej jest niewątpliwie cenną pozycją w dorobku Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, — w mieście, które było i zawsze będzie pochodnią cywilizacji chrześcijańskiej i kultury polskiej na wschodnich obszarach Rzeczypospolitej!

Paweł de Laval

„IRIDION“

Pamiętkowe polonicum italskie

O związkach kulturalnych polsko-italijskich na przestrzeni ostatniego tysiąclecia pisano już sporo. Należałoby podkreślić, że stosunki te nie były bynajmniej jednostronne. Szczególnie w Italii zainteresowanie Polską, nie sięgając aż tak znacznych rozmiarów jakie w pewnych okresach naszych dziejów osiągnęły oddziaływania italskie w Polsce, było jednak zawsze znacznie silniejsze niż w jakimkolwiek innym kraju Europy Zachodniej.

Wpłynęły może na to częściowo sąsiedowanie ze Słowianami bałkańskimi oraz pokrewieństwa dynastyczne domu sabaudzkiego, które spowodowały, że Italia była zawsze poważnym ośrodkiem studiów sławistycznych, może, w wieku XIX, analogia sytuacji politycznej i dążeń wolnościowo-zjednoczeniowych, mo-

że — i to chyba w stopniu najsilniejszym — po prostu był to odruch zbiorowej sympatii, irracjonalny, ale tym bardziej żywiołowy, sympatii, której żołnierze 2. Korpusu tak wiele spotykali na swym szlaku przejawów i o tyle nawet więcej, niż inni alianci.

W międzywojennym dwudziestolecu działało w Warszawie Towarzystwo Polsko-Włoskie im. Dante Alighieri, a w ostatnich latach — wspaniale zorganizowany Instytut Kultury Italskiej (Istituto di Cultura Italiana), poświęcony studiom nad językiem i literaturą Italii ze szczególnym uwzględnieniem „Boskiej Komedii”.

Częściowym odpowiednikiem tej instytucji, którego potrzeba od dawna dawała się odczuwać i została szczególnie zaktualizowana przez udział 2. Kor-

pusu w wyzwoleniu Italii — jest powstały w Rzymie pod redakcją Włodzimierza Sznarbachowskiego miesięcznik w języku włoskim poświęcony sprawom kultury polskiej — „Iridion”.

Co skłoniło wydawców do wyboru tej nazwy? Czyżby przeświadczenie że „ma się pod koniec współczesnemu światu”? Czy widok tak gęsto rozsianych na murach miast włoskich symbolów rolniczo-kuźniczych narzuca przypomnienie kultów azjatyckich, które rozsadzały Rzym imperialną od wewnątrz? Czy napór barbarzyńców od Wschodu na Europę Zachodnią w schyłkowym okresie Imperium, który miał z czasem pograżyć świat ówczesny w tysiąclecie mroków Średniowiecza i skostniałość bizantyńizmu zapowiada teraz jakiś nawrót? Mniejsza zresztą o tytuł pisma, zajmijmy się jego treścią.

Otóż treść blisko stustronicowego zeszytu jest jednocześnie harmonijna i urozmaicona. Otwiera go „Przewodnik zasadniczy po Polsce”, w którym Gustaw Herling-Grudziński inteligentnie odpiera wiele rozpowszechnionych zagranicą inteligentekich zarzutów przeciwko Polakom.

W dalszej treści zeszytu dość szeroko uwzględniona została historia, której poświęcone są trzy studia: historyczno-ideologiczne Lidii Croce o Mazzinim i Polsce, historyczno-muzyczne Mateusza Glińskiego, o przyjaźni Bellini’ego z Chopinem, historyczno-literackie Prof. Giovanni Mavera o sztuce narracyjnej i duchu epickim w piśmiennictwie polskim (u Mickiewicza, Sienkiewicza, Reymonta, Jana Chryzostoma Paska etc.).

Prozę literacką reprezentują tłumaczenia włoskie dwóch znanych czytelnikom polskim opowiadań Herminii Naglerowej i Jana Bielatowicza („Obłęd i polityka” i „Monte Lechia”), sztuki piękne — przekłady wierszy Norwida, Broniewskiego, Andrzejewskiego i Polski Podziemnej oraz reprodukcje rysunków Czapskiego, Jaremy i Turkiewicza.

Bardzo sympatyczny, a przytem wyczerpujący, jest artykuł Pietro Masserano Taricco o teatrach warszawskich w r. 1938. Analizując repertuar włoski na scenach polskich autor italski wspo-

mina — nazywając ją najlepszą w Europie — kreację Junoszy Stępowskiego w Henryku IV Pirandella i 300 przedstawień „Świt, dnia i nocy” Daria Niccodemi’ego (z Malicką i Węgierką). Zastanawiając się nad niepowodzeniami komedii tegoż Pirandella: „Człowiek, zwierzę i cnota”, która w Teatrze Polskim zeszła z afisza po jednym przedstawieniu, włoski krytyk robi następujące spostrzeżenia o publiczności warszawskiej:

„Nie należy przypuszczać, że przyczyna niepowodzenia tkwiła w niemoralności komedii: publiczność warszawska składała się z katolików, ale nie z bigotów. Poziom kulturalny miasta był wyjątkowo wysoki. Widziałem zresztą w Warszawie komedie, które z trudem mogłyby być grane w Rzymie, nawet dziś, kiedy sita cenzury niewątpliwie się przeczadziły.

Już w r. 1937—38 wprowadzono w Warszawie do teatru różne skomplikowane zagadnienia, o których dziś w Italii zaledwie wolno wspominać z desk scenicznych. Nie, nie można chyba przyczyny niepowodzenia tej sztuki Pirandella przypisywać owemu nieokreślonemu piątmu niemoralności — cisłej uporządkowanemu nieladowi — jaki jest w komedii; raczej różnicom koncepcji humoru u publiczności polskiej i italskiej. Publiczność polska nie jest z pewnością mrukliwa, ani trudna do rozbawienia, ale niezbyt lubi — jak mi się przynajmniej wydaje — niepokieszoną, gorzką, wojowniczą ironię Pirandella w „Człowieku, bestii i cocie”, owo zwalczanie i pokonywanie świata szyderstwem. Pirandella spokrewnia z Shawem pragnienie niszczenia i niezdolność tworzenia. Obaj lubią wskazywać wszystko co jest złe, lecz nie umieją powiedzieć jak należałoby robić lepiej. Jałowi oskarżyciele. Publiczność warszawska natomiast zdaje się skłaniać do przekonania, że należy jednak coś robić i że należy w coś wierzyć”.

Sumiennie i wyczerpująco potraktowane zostały w miesięczniku dział: Recenzyj i uwag (o „Starobielsku” Czapskiego, o Kani, o angielskiej an-

tologii poezji polskiej), Kroniki Kultury Polskiej w Italii (wystawy plastyków, koncerty, kursy uniwersyteckie języka i literatury polskiej we Włoszech, liceum polskie w Rzymie etc.), Bibliografii polonistów włoskich w latach 1939 — 1945.

Wreszcie kilka słów o biografii Elżbiety Łokietkówny, królowej węgierskiej, pióra Waleriana Meysztowicza. Jest to włoskie tłumaczenie wydanej po francusku w r. 1943 w Watykanie monografii, której polska edycja dotychczas zdaje się, jeszcze się nie ukazała. Ta praca naukowa, oparta na sumiennie przetworzonych źródłach archiwalnych, napisana jest bardzo żywo, barwnie i obrazowo, z takim wyczuciem sensacyjności i skandalu, że czyta się ją jak nowele kryminalne Conan Doyle'a. Jak przystało też na literaturę sensacyjną, ukazuje się ta monografia w odcinkach i w zeszycie pierwszym „Iridiona” wydrukowany został dopiero początek.

Zeszyt ten stanowi poza tym unikat wydawniczy, gdyż jest numerowany jak 1 — 2.

Drugi z kolei (oznaczony jako 3 — 4), numer „Iridiona” ukazał się pod wzmocnioną redakcją Włodzimierza Snarbachowskiego i Carlo Verdiani'ego.

Historyczne przyczynki do związków polsko-italskich w polityce i cywilizacji zostały w tym numerze uwzględnione w zakresie nieco może szerszym, aniżeli w poprzednim. Jest zakończenie monografii Waleriana Meysztowicza o królowej Elżbiecie węgierskiej, oraz studium Fausta Niccolini'ego o stosunkach marszałka Antonio Carafa z Janem Sobieskim, polemizujące z pracą historyczną filozofa neapolitańskiego Giambattista Vico: „De rebus gestis Antonii Caraphaei”.

Jest nade wszystko syntetyczny, popularny i bardzo serdeczny szkic Jana Bielatowicza o polskości Bolonii (ukoronowanej ostatnio nadaniem obywatelstwa honorowego oswobodzicielom miasta — gen. Andersowi i kilkunastu generałom i oficerom 2. Korpusu).

Politykę międzynarodową reprezentują artykuły Arpa („Europa się defaszuje”) i Gustawa Herling-Grudzińskiego

gc („Francja się pośpieszyła”), a ekonomię polityczną w jej nowoczesnych aspektach — essay Adama Doboszyńskiego p. t. „Paradoksy współczesnej ekonomii”.

Dwa opowiadania poświęcone są literacko ujętym dziejom polskim w okresie minionej wojny. Jedno — Jana Łosia p. t. „Szpieg” — jest to dramatyczny epizod z ruchu oporu w okupowanej przez Niemców Polsce. Drugie — „Narzęce” Marty Rudzkiej, jest wspomnieniem autorki z pobytu w „Karakalpackiej Republice”, nad rzeką Amu Daria, między Uzbekistanem, Turkmenią i morzem Aralskim, gdzie w okresie poamnestyjnym, jesienią roku 1941, władze sowieckie zgrupowały kilkadziesiąt tysięcy wyzwolonych z „łagrów” Polaków. Wspomnienia te z karakałpackich miast Hadżejli (któremu w tekście nadano liryczne brzmienie Hadżilla) i stolicy kraju Nukusa, są — zdaje się — pierwszym odbiciem literackim tego niewyzyskanego dotychczas w piśmiennictwie fragmentu dziejów polskiej tułaczki wojennej.

Rewelacją numeru jest praca Karola Verdiani'ego p. t. „Hellenistyczny oryginał malarstwa grobowcowego”, o odkrytym przypadkowo w kwietniu 1944 roku w Kasanliku, na terenie Tracji bułgarskiej, grobowcu z IV — II wieku przed Chrystusem. Jeszcze bardziej zaskakujące są uzupełniające opis fotografie fresków jakie zdobią wnętrze monumentu. Pracę tę redakcja poprzedziła następującą uwagą:

„Jesteśmy w możności zaofiarowania naszym czytelnikom udokumentowanej wzmianki o wyjątkowym odkryciu jakie miało miejsce na ziemi słowiańskiej i znajdzie niewątpliwie szerokie echo w świecie sztuk i nauki.

Wszystkie prawa reprodukcji, nawet częściowej, tekstu i fotografii są zastrzeżone.”

Nie pozwala nam to nic więcej o tym pamiątkowym wykopalisku powiedzieć, ale możemy zapewnić czytelników, szczególnie zainteresowanych w historii sztuki, że opis grobowca, poprzedzony kilku przenikliwymi spostrzeżeniami o

cywilizacji i sztuce greckiej epoki po-
klasykowej, zasługuje na jak najuważ-
niejsze przestudiowanie.

Poza tym na czołowe miejsce nume-
ru wysuwają się, jeśli nie ilością, to cię-
żarem gatunkowym, włoskie przekłady
z poezji polskiej. Tłumaczenia poetyckie
„Fortepianu Chopina”, „Grobu
Agamemnona”, a także patetycznych w
swej prostocie „Egzekwii” Jana Waj-
deloty (z poezji Polski Podziemnej), pió-
ra Angelo Maria Ripellino, oddają całą
potęgę wyrazu utworów oryginalnych.
Czytelnik zastanawia się, czy jest to dzie-
łem kunsztu poetyckiego tłumacza, czy
tajemnicą wspaniałej mowy włoskiej
(której nadmierną melodyjność tłumacz
miał umitygować białym wierszem), że
hieratyczny, biblijny patos norwidowy
w języku Alighieri’ego zachował swą
sugestywną moc i oszałamiającą głębie.
Można zresztą porównać:

*...Ed era in quelle note la Polonia,
dallo zenit degli anni perfetti,
ghermita da un arcobaleno d'estasi,
la Polonia—dei carrai trasfigurati”...*

Albo pamiętne zakończenie:

*...Ma tu? ed io? intoniamo il canto del
giudizio,*

*gridando: „Godì, generazione len-
tana!”*

*Si leva il lamento delle sorde pietre:
l'Ideale ha raggiunto il selciato”.*

Niemniej godne podkreślenia są tłu-
maczenia Carlo Verdiani’ego z poetów
współczesnych: niedawno zmarłej Paw-
likowskiej, Kobrzyńskiego i Sznarba-
chowskiego. Szczególnie przekład „Ada-
ma” Sznarbachowskiego wiernie i arty-
stycznie uwypukla ukoloryzowany i upo-
etyzowany sensualizm utworu, druko-
wanego niedawno po raz pierwszy w
„Na szlaku Kresowej”:

*...Posa lo sguardo sul ritmo quieto del
sono
dell'azzurra Eva...*

Numer ozdobiony rysunkami Jaromy,
Kościalkowskiego, Matuszczaka, Pawli-
kowskiej, Westwalewicz, braci Haa-
rów, słowem całej prawie szkoły malar-
skiej 2. Korpusu, zamyka, jak zwykle,
Kronika Kultury Polskiej w Italii (prze-
gląd prasy włoskiej o wystawie polskich
artystów-żołnierzy we Florencji, spra-
wozдание z odczytów o Polsce w Rzymie,
wspomnienie o Kadenie, pióra prof.
Enrico Damiani) i bibliografia poloni-
stów włoskich od roku 1989. *Azt*

Krystyna

W dużym budynku naprzeciwko nas usa-
dowili się Niemcy i zupełnie nie kwapią się
do jakiejś akcji zaczepnej. Co prawda pozycja
ich jest bez porównania lepsza od naszej. Bu-
dynek wysunięty nieco naprzód poza linię za-
budowania tworzy występ na chodniku, co
umożliwia zarówno doskonałą obserwację ca-
łej ulicy, jak i skuteczny jej ostrzał. To też
Niemcy ostrzeliwują nas stale ze swych kb
i spandau’ów i próbują sprowokować nas do
jakiegoś natarcia, które nieskoordynowane z
całością odcinka mogłoby mieć fatalne skutki
dla oddziału. Zresztą mamy zupełnie wyraźny
rozkaz nie tylko oszczędzania amunicji, ale
i hamowania zbyt pochopnych do szaleństw
swoich ludzi. Zdaje sobie doskonale sprawę,
że dowództwo przygotowuje napewno jakąś
większą akcję i że od naszego opanowania ner-
wowego może wiele zależeć.

Czekamy. —

Wreszcie goniec dowódcy odcinka. „Odpra-
wa o godz. 23 na punkcie dowodzenia”.

Wieczór jest stosunkowo spokojny na na-
szym odcinku. Tak, jak gdyby obie strony

chciały podsłuchać, o czym się mówi u prze-
ciwnika.

Odprawa skończona. Jeszcze ten i ów uzgad-
nia swoje szkice z planem miasta, którego
wielka karta zajmuje prawie całą ścianę poko-
ju, pomalą jednak rozchodzimy się na swoje
punkty.

Jestem ostatni. Zupełnie rozmyślnie. Idąc
bowiem na odprawę przechodziłem obok domu,
w którym mieścił się mały szpitalik polowy.
Ostatecznie nie byłoby w tym nic specjalnie
dziwnego. Przechodziłem tedy już wiele razy,
ale dzisiaj właśnie zdawało mi się, że w
drzwiach budynku mignęła złota fala jej wło-
sów.

Złota i bujna. Promiennymi kosmykami ucie-
kała spod białego czepka. A potem ten mięk-
ki ruch ręki, którym zgarniała z czoła nie-
sforne włosy.

Tak. — To mogła być tylko Krystyna.

Stałem przed domem. Przed jej domem.
Nic tu się prawie nie zmieniło. Czwarte piętro
rozbite w 1939 roku pociskami niemieckiej arty-
lerii czerniało w górze martwymi kikutami

ścian i świeżo odbudowanych kominów. Tyko na niższych piętrach widać było poprzez nie-destatecznie szczelnie zasłony przenikające na zewnątrz promienie światła.

Tam walczone teraz o życie. Mózg ludzki zmagał się ze śmiercią.

A śmierć? Zapewne czasem z uśmiechem



(Rys. T. W45)

Warszawa 1944

pobłażania zgadzała się na przesunięcie godziny przeznaczenia.

Bo ostatecznie...

Brrr. Co za głupie myśli!

Z żalem spojrzełam na zabite deskami wielkie okna kawiarni, która zajmowała cały prawie parter domu. Z żalem. Bo dawniej poprzez wielkie lustrzane szyby widać było często Krystynę siedzącą przy stoliku nad książką, czekającą na mnie. Boże! Ile myśmy tu spędzili wspólnych chwil to nad skryptami przed egzaminem, to na rozmowach miłych i serdecznych, przerywanych śmiechem dźwięcznym i beztróskim. A teraz? Teraz pracowała tu także. Wiem, że była duszą tego domu. Wiedziałem o tym od kolegów. Ale nigdy nie miałem dość odwagi aby tam zejść i zamienić z nią choćby jedno słowo.

Zresztą poco? To wszystko już minęło. Czasem tylko targało coś serce i biegło do mózgu skowytom wspomnień.

Minęły już trzy lata jak Kryśka została żoną naszego wspólnego kolegi z uniwersytetu. Teraz wiem, że przyczyną mej kłóski było zbyt ciche i pokorne uwielbienie. Janek — jej mąż — raz z początku Krystynę swoją młodzieńcza

buźnozością, a okazywane lekceważenie, z jakim zazwyczaj zwracał się do Krystyny, drażniło ambicję tej pięknej dziewczyny.

Zwierzała mi się z tego często i tak już zostało. Do mnie przychodziła ze zwierzeniami, a Janek zdobył wreszcie całkowicie jej serce.

Wystrzelona gdzieś rakietą oświetliła nagle całą ulicę. Mimo woli spojrzełam na zegarek. O, psia krew, już druga godzina, o 5,15 rozpoczynamy natarcie.

Ukradkiem, tak jakby w obawie przed samym sobą, spojrzełam jeszcze raz na dom „siostry Krystyny” i po kilku minutach byłam już wśród swoich.

Odprowadza drużynowych. Wydaje konieczne zarządzenia, a właściwie uzupełniam wydane poprzednio. Domyślałam się już wcześniej, że przecież niedługo musimy zacząć i zanim przyszło zawiadomienie o odprowadzeniu, ja już w swoim oddziale przygotowywałam się na własną rękę.

Ta zapobiegliwość zaoszczędziła mi sporo czasu. Jeszcze dwie godziny. Właściwie można by się trochę zdrzemnąć. Zasnąć jednak nie mogę. Majaczy mi się jeszcze ten dom, na którym widnieje wielki, czerwony krzyż, oświetlony migotliwym blaskiem dogorywających zgliszczy. Potem znów Krystyna i Janek. Janek jest teraz dowódcą jednego z plutonów niedaleko mojego odcinka. Spotkaliśmy się dzisiaj tak jak zwykle na odprowadzeniu. Zawsze pełen werwy i pewny siebie. Niedokończony tak jak i ja mędry, świetnym był przecież oficerem i często na odprowadzeniach liczono się z jego głosem.

Ostatnie trzy lata w Warszawie po ich ślubie nie mogłem siedzieć. Tu zbyt wiele miejsc związanych było ze wspomnieniami. To rozdrażnienie moje mogło być fatalne w skutkach dla mnie i dla innych. Poprosiłem o przeniesienie na prowincję. Zostałem łącznikowym pomiędzy oddziałami leśnymi a Warszawą, z którą ze względu na matkę nie mogłem całkowicie zerwać. Pracując tak czekałem na moment ogólnego powstania, które przecież było celem ostatecznym naszych przygotowań.

Aż wreszcie...

Ktoś szarpnął mnie za rękę. — „Panie poruczniku, panie poruczniku! Czwartą godziną”.

— Ach, to ty! Jurek! Niech dowódcy drużyn zbiorą się u mnie o godz. 4,30.

— Tak jest panie poruczniku!

Na twarzach siedzących, przede mną drużynowych widać już było rozgorączkowanie. Młodzi chłopcy podchorążowie z ostatniego turnusu, doskonale zdawali sobie sprawę, że mająca się rozpocząć zapewne nad ranem akcja będzie czymś więcej, aniżeli zwykłym wypadem.

— „Proszę sprawdzić zegarki. Jest godzina 4.34”. Wszystkie ręce podniosły się prawie automatycznym ruchem, głowy skłoniły się w lewo, a wreszcie kiwnęły na znak zgody.

— „Godzina natarcia: 5,15”.

Znów równocześnie spojrzeli na mnie. Twarze im pociemniały nagle. Zaciśnięli usta. Oczy patrzyły twardo i ze stanowczością, a jednak tam gdzieś w głębi zdawało mi się, że widzę pierwsze błyski ledwo odczutej niepokoju. W tej chwili i ja sam uprzytomniłem sobie, że to tylko jeszcze 40 minut. Strach, ten nieod-

łazny towarzysz każdego żołnierza z linii, zatrzepotał w moim sercu. Strach o siebie, o ludzi, których mam prowadzić i wreszcie o całość akcji, w której stanowić będziemy jedno z ogniw. Nieprzyjemną ciszę przerwałem rozkazem do rozejścia i sprawdzenia ostatecznego stanu przygotowań. Byłem zdenerwowany bardziej niż zwykle. Ach, to zapewne ten głupi sentymentalizm rozstraja nerwy i to właśnie w takim momencie.

Jeszcze 5 minut. Serce zaczyna walić coraz mocniej.. Czuję już jego pulsowanie w skroniach. Oczy gonią za wskazówkami. Między sercem a oczyma napina się struna nerwów drgająca od hamowanego mózgiem uczucia. Strzałki zegarka krążą jak gdyby coraz wolniej. Prędzej, prędzej! Niech się już raz zacznie. Jeszcze jedna minuta. Jeszcze 30 sekund. Jeszcze...

— Czas!!!

Nie wiem dlaczego machnąłem ręką. Ten gwałtowny ruch ręką i równocześnie rozpoczęty koncert wszystkich naszych środków ognia był tak pełen życia po martwych chwilach denerwującego oczekiwania, że nagle uspokoiłem się.

— Granaty! Huk. Kłęby dymu.

— Naprzód!

Przebiegamy ulicę. Niemcy chyba spodziewali się ataku, bo ogień ich gwałtowny i skuteczny złapał nas w półskoku.

— Naprzód! Bliżej pod...

Huk i błysk rzuconego z okna granatu ogłupił mnie zupełnie. Upadłem na ziemię. Twarz zarzuciło mi jakąś kleistą masą. Dopiero gdy dym nieco opadł, kącikami oczu, nie podnosząc zupełnie głowy, zobaczyłem leżącego obok mnie Władka. Był prawie bez głowy.

— Naprzód!

Lęk, co czaił się jeszcze we mnie, przeistoczył się nagle w jakiś dzikie uczucie furiackiego gniewu. Skok naprzód i jestem w bramie. Zbieram rozrzuconą drużynę Władka. Granaty do klatki schodowej. Dom cały trzęsie się od wybuchów, a z otworu buchają kłęby dymu. Skacze w dym a za mną reszta ludzi. Niemcy uciekli na piętro. Bronią się wściekle waląc granatami z góry. Błysk straszliwy. Huku już nie słyszałem. O, jak gorąco! Boże! Spadam gdzieś jakby w głąb czarnej i bezdennej studni. Jeszcze widzę nad sobą niknące kręgi światła, aż wreszcie giną ostatnie błyski w ciemnościach nieświadomości.

Zdaje mi się, że słyszę dochodzące gdzieś z oddali czyjeś głosy. Słowa zlewają się w jakiś szmer niezrozumiały. Nie, to ktoś jęczy. Ktoś blisko mnie. Pewnie ranny. Ranny? Ach tak, już teraz pamiętam. Schody i błysk pękającego granatu.

A więc pewnie i ja? Niepokój obudził do reszty oślepiałe wstrząsem ośrodki mózgowe. Przez ciało przebiegła gorąca fala krwi, wypchnięta gwałtownym skurczem przestraszonego serca.

Oczyma wyobraźni zobaczyłem nagle salę operacyjną naszego uniwersytetu i potworne kikuty nóg. Strach, potworny strach szarpnął mnie gwałtownie.

Nie! Nie och! Naraz ta sama myśl, co jak kinowy projektor rzuciła na siatkówkę moich oczu obrazy krajanych nóg i błyszczących narzędzi, spłynęła nagle w nieoczekiwanym zwrocie radosną świadomością uratowanego życia. Tak. Żyje! Chcę żyć. Muszę — muszę za wszelką cenę. Ale... Znow syczący niepokój w sercu. Otwieram oczy, zamykane dotąd przeobrażeniem spodziewanych obrazów. Nie przypuszczałem, że to taka bolesna czynność. Dlaczego na miłość boską ja nie nie widzę? Zrywam się i krzyczę jak szalenciec. „Ratunku! Moje oczy — moje oczy!!” Teraz dopiero czuję ból potworny w całej głowie. Przed oczyma wirują czerwone i błękitne kręgi. Rozbijają się na tysiące kolorowych punktów i kłują boleśnie. Jak mi słabo! Gorący pot zlewa ciało. Głowa coraz cięższa. Myśli rozbiegane jak stado oszalałych koni przebiegają przez głowę. Opadam w ciemną głębię bez wiedzy.

„Zdaje mi się, że już się obudziłem.. To były pierwsze słowa jakie usłyszałem po powrocie do świadomości. Ktoś jest przy mnie. Czulem się teraz lepiej i spokojniej. Tylko ciemność przed oczyma bolała głębią i drażniła niepokojem.

— Gdzie jestem?

— A, dzień dobry panu!

Miły i wdzięczny głos młodej dziewczyny.

— Jest pan w szpitalu — dodaje po chwili.

Robię ruch ręką. Zrozumiała. Objęła mnie dłoń swymi paluszkami. Jakie przyjemne, chłodne. A więc jednak jestem między żywymi. Tylko ta ciemność...

— Siostrze — bo napewno jest siostrą szpitalną — siostrze, dlaczego tak ciemno?

Widocznie było w moim głosie coś bardzo niepokojącego, bo palce dziewczyny zadrgały nerwowo, ale głos dalej spokojny wyjaśnił cierpliwie:

— O, to głupstwo. Został pan ranny w głowę i twarz i to tylko bandaż zastania panu oczy, które są zupełnie nienaruszone.

Trudno powiedzieć, że odetchnąłem. Byłem po prostu szczęśliwy. Ona napewno nie kłamie. Nie kłamała.

Rana, chociaż bardzo bolesna, nie była przecież niebezpieczna. Teraz już przestałem się bać, a drobne skaleczenia głowy i twarzy goiły się szybko.

Wreszcie zdjęto bandaż z oczu, a na jego miejsce założono ciemne okulary.

— To tylko na krótko — pocieszyła siostra.

Rozglądam się po sali. Ależ to kawiarnia. Oczyma szukam Krystyny. Ona powinna tutaj być.

— Siostrzyczko! Czy nie ma tu przypadkiem siostry Krystyny?

Uśmiecha się do mnie.

— Ależ oczywiście jest. Dopytuje się o pana codziennie. Pracuje teraz na oddziale chirurgicznym. Przychodzi tu na ogół rzadko, bo pracy jest tam teraz coraz więcej — dodaje ze smutkiem w głosie.

A jednak przyszła. Tak jak dawniej. Piękna i wysmukła. Tylko oczy jej jak gdyby zapadły w głąb i uśmiech nie był tak szczery jak dawniej.

— Powiedz mi Krysiu, czy akcja udała się, bo widzę tu tyle zapelnionych łóżek?

— Ale tak, oczywiście, że się udała — przecież gdyby się wtedy nie powiodło, to nie leżałbyś w tej kawiarni — dodaje z uśmiechem. Wiesz, myśleliśmy początkowo, że będzie z tobą gorzej. Lekarz obawiał się nawet jakichś komplikacji mózgowych. Sądzę — dodała po chwili — że już za tydzień będziesz mógł wstać. Ale o czynnym udziale w dalszej walce nie będzie nawet mowy. Zresztą jesteś medykiem i przydasz się tutaj — pociesza mnie jak może, widząc grymas na moich ustach.

Ha, trudno. Nie zupełnie mi to odpowiada, ale wiem, że ma rację. Praca w szpitalu była ciężka. Nie tylko z powodu przewalającej się tutaj fali ludzkiego nieszczęścia, ale i z braku najpotrzebniejszych środków ratunkowych. Brakowało nam stale tych wszystkich pomocy, którymi rozporządza lekarz dobrze wyposażonej armii. Sala operacyjna czasami robiła na mnie wrażenie, że patrzę na jakieś niekończące się przedłużenie „Znachora”. Tego, co z takim poświęceniem zrzucał nam z nieba koledzy z Zachodu — było mało. Rozpaczliwie mało.

Sytuacja z dnia na dzień stawiała się gorsza. Coraz częściej mówiło się o ewakuacji szpitala. Aż jednego wieczoru przyszedł rozkaz: „Natychmiast!”.

Przenosimy ciężej rannych na rękach poprzez zwalone gruzami podwórka. Cieninymi korytarzami piwniczymi. Byłe dalej, dalej od pracujących naprzód Niemców. Nasi bronili się jeszcze o-

statkami sił. Szybciej! Lżej ranni biorą na ramiona swych na wpół przytomnych kolegów i wśród huku dział, walących się domów unoszą te krwawiące strzepy ludzkie, oświetlone makabrycznym światłem płonących wokół domów.

Wracam jeszcze raz na dawne miejsce. W porzuconej już kancelarii dawnego szpitalika terkocze dzwonek polowego telefonu.

— Wysłać natychmiast patrol sanitarny na odcinek „x” — powtarzam za głosem w słuchawce.

Ktoś krzyknął boleśnie obok mnie. To Krystyna. Na odcinku „x” był jej mąż — Janek. Zanim się zorientowałem, już była na ulicy.

Wybiegłem za nią.

Krystyna! — Krystyna!!

Była już daleko ode mnie. Jeszcze w sąrumowisk błysnęła biała plama jej fartucha. Zerwany w biegu czepek uwolnił falę jej przepysnych włosów. Mignęły płomieniem najczystszej złota. Jeszcze...

W tej chwili jednak przeraźliwy gwizd zawył nad głową i huk straszliwy wstrząsnął rozdygotanymi już od strzałów murami. Upadłem na ziemię tuląc się do twardych kamieni. W szalonym strachu wciskałem się w załom cuchnącego rynsztoku. Wreszcie uciicho wszystko. Podniosłem głowę. Przede mną, tam — gdzie niedawno zlościła się głowa Krystyny — leżał dymiący się kurzem zwal gruzów trafionego budynku.

St. Piaskowski

KRONIKA

Zdobywca i Obywatel Ancony

Uroczystość odbyła się „w czterech ścianach” prefektury miasta Ankony, popołudniu dnia 8 grudnia 1945 r. Była wprawdzie orkiestra, która odegrała 4 hymny państwowe: angielski, polski, amerykański i włoski i przemawiało aż 7 osób, lecz cała ceremonia nie miała w sobie niczego z uroczystej pompy, panoszącej się zwykle w podobnych okazjach. Był nawet bardzo wesoły moment. Amerykański pułkownik Andrews popadł w tak głęboką zadumę, iż zapomniiał unieść się z krzesła w chwili, gdy burmistrz Ankony wręczał mu dyplom obywatelstwa honorowego. Uratował sytuację gen. Anders, posługując się dyskretnie łokciem. Lecz publiczność zauważyła ten drobny gest i nie zamierzała ukrywać wesołości. Posypały się nawet oklaski. Płk. Paul Shipman-

Andrews zrehabilitował się później całkowicie, wygłaszając krótkie lecz udane przemówienie, w poprawnej choć bardzo po amerykańsku akcentowanej włoszczyźnie. Był on ostatnim z trzech nowych obywateli Ankony. Pierwsi dwaj to administrator tego miasta, dowódca 61 Obwodu brygadier ang. Charles Fullbrook-Leggat i zdobywca gen. dyw. Władysław Anders, Dowódca 2 Korpusu, który w dniu 18 lipca 1944 r. słynnym manewrem okrążającym odbił Ankone Niemcom. Dziękując za wyróżnienie, gen. Anders podkreślił, iż z prawdziwym zadowoleniem stwierdzić może, że ani jeden pocisk polski nie padł na miasto. Serdeczne przemówienie Generała przerywała publiczność włoska licznymi oklaskami. Po części oficjalnej odbył się krótki koncert, po czym pod-

wieczorek, albo „*leapostij*”, jak to swego czasu pisał przy podobnej okazji „Kurier Bagdadzki”, mając na myśli *cup of tea*, czyli po polsku: herbatkę.

Z tego krótkiego zestawienia Czytelnik już wie, kto otrzymał obywatelstwo

honorowe miasta Ankony. Należałoby przypomnieć, że dwa miesiące temu gen. Anders został obywatelem innego „polskiego” miasta we Włoszech, Bolonii.

K. Z.

ITALIA BELLA

Via Appia wiedzie do Brindisi...

Każdy żołnierz 2. Korpusu słyszał o Via Appia. Jużto że czytał „*Quo vadis*”, jużto że wsłuchiwał się w sugestywny rytm wiersza Wierzyńskiego, (drukowanego w tomiku „Ziemia-Wilczyca” oraz w nowej antologii poezji żołnierskiej „Nasze granice w Monte Cassino”), czy też, że zwiedzając Rzym, bazylikę Św. Jana na Lateranie i katakumby, widział ją naocznie. Jak powszechnie wiadomo — jest to jedna z dróg wiodących — i to nawet bardziej niż jakakolwiek inna — do Rzymu. Zwana w nowocześniejszej nomenklaturze drogą nr 7, rywalizuje ona z inną, której sława dziś jest może nie mniejsza, ale znacznie świeższej daty, z drogą nr 6 — via Casilina, wiodącą przez Cassino.

To, że Via Appia wiedzie do Rzymu, nie stanowi w żadnej mierze jej oryginalności. Nie zastanawiamy się też, czy w Rzymie jest jej początek czy koniec, należy bowiem przypuszczać, że wszelka droga nawet najbardziej kręta ma — podobnie jak kij — dwa końce. Zajmijmy się przeto drugim końcem tej drogi, tak bardzo pamiętnej w dziejach i wystawianej w literaturze.

Otóż z drugiego końca tej drogi są dwa miasta, sławne od czasów starożytnych, Taranto i Brindisi.

Taranto

Podobno szczęśliwe narody nie mają historii. Taranto zapewne do miast szczęśliwych nie należy, ma bowiem historię i to dość długą i urozmaiconą. Nawet niedawno wydarzyło się tam coś, co długo zapewne będzie wspominać jako „tragedia tarancka”. Zdarzenie jednak jest jeszcze zbyt świeże, rany odniesione tam — zbyt ostre i bolesne, by się o tym rozpisywać. Sięgnijmy więc raczej do dziejów mniej lub więcej dramatycznych tego grodu na przestrzeni ostatnich 30-tu stuleci.

Taranto (starożytne Tarentum), jak sama nazwa wskazuje, założone zostało przez Tarasa, syna boga morza — Neptuna. Jeśli to nawet *non è vero*, to związek Taranto z morzem jest niewątpliwy.

Ośrodek Wielkiej Grecji

Już w VII stuleciu przed Chr. Taranto było znane jako kolonia spartańska, a wkrótce stało się jednym z najważniejszych miast i portów

Wielkiej Grecji, rywalem Syrakuz na Sycylii i ośrodkiem szkoły pitagorejczyków (Pytagoras nauczał w sąsiedniej Krotonie).

W okresie swego rozkwitu liczyło przeszło 300 tys. ludności i rozciągało się na przestrzeni 15 km., tam gdzie dzisiaj jest nowa część miasta, (podczas gdy w mieście średniowiecznym, na wyspie, w starożytności był Akropol). Dzięki urodzajności okolicznych terenów, rybołówstwu, przemysłowi wełnianemu i farbiarniom purpury, wreszcie handlowi ze wszystkimi wybrzeżami morza Śródziemnego Taranto zgromadziło znaczne bogactwa.

Antyczne „kasztany”

Musiało jednak bronić swych bogactw przed okolicznymi plemionami italskimi, a w pewnej chwili — przed Rzymem. Dla walk ze wzrastającą potęgą rzymską tarantynczycy sprzymierzali się z sąsiednimi narodami Italii Południowej. Pyrrhusem — królem Epiru, z Kartaginą. Oczywiście bezskutecznie, gdyż w końcu miasto zostało zajęte i złupione przez Rzymian; ci ostatni zdobyli w Taranto tyle złota, że wartość tego szlachetnego kruszcu gwałtownie w Rzymie spadła. Jak widzimy już w odległej starożytności Taranto było źródłem zaopatrywania wiecznego miasta w cenny żółty metal.

W czasie drugiej wojny punickiej Taranto znów sprzymierzyło się z Hannibalem. Rzymianie jeszcze raz je zdobyli, złupili — znowu fala złota popłynęła do Rzymu — i ostatecznie podbili i uporządkowali swej władzy.

Od Imperium Romanum do Pierwszego Cesarstwa

Przez długi czas jeszcze dawna kolonia grecka zachowała język i charakter helleński, ale jej znaczenie morskie zaczęło powoli upadać na rzecz znajdującego się na końcu tej samej drogi appijskiej, jaka ją łączyła z Rzymem — Brindisi.

W okresie Cesarstwa była już zupełnie zlatynizowana. Po upadku Zachodniego Imperium miasto przechodziło kolejno pod władzę Ostrogotów, Wschodniego Cesarstwa, Longobardów, Franków, znów Bizancjum, Arabów (Saracenów) itp., wracając niekiedy parokrotnie do tych sa-

mych rąk. Około roku 1000 po wielu ruinach miasto skoncentrowało się i ograniczyło do wyspy.

W XI stuleciu zdobyli je Normanowie i od tego czasu pozostawało pod władzą kolejnych dynastji, panujących nad Południową Italią: Szwabów, Andegawczyków, Aragończyków, monarchii hiszpańskiej, Bourbonów, poza okresem — gdy było też samodzielnym księstwem. Tytuł księcia Taranto przywrócił potem Napoleon, nadając go Marszałkowi Mac Donald po bitwie pod Wagram.

Wstęp do Epepei

W czasie wojny 1914 - 18 Taranto, które już przedtem było najważniejszym po Spezji portem wojennym Królestwa Włoskiego, stało się również jedną z ważniejszych baz morskich floty brytyjskiej i francuskiej na morzu Śródziemnym.

W ostatniej wojnie zostało, jak wiadomo, zdobyte przez Aliantów na samym początku inwazji włoskiej. Stało się też początkowo jedynym, a potem jednym z najgłówniejszych portów zaopatrywania frontu włoskiego. Jest też pierwszym miastem europejskim jakie zobaczyli, bardzo przelotnie zresztą, żołnierze polscy w drodze z Egiptu na front południowo-apeński, ładując tu na przełomie r. 1943 i 1944, słowem jest punktem wyjścia Epepei Włoskiej 2. Korpusu.

Zakazana wyspa

Dzisiejsze Taranto, liczące około 150 tys. mieszkańców, składa się z trzech części, bardzo wyraźnie rozgraniczonych wodą: Borgo, wyspy i nowego miasta.

Przybywając od strony Bari i Mottoli widzi się najpierw przedmieście Borgo, na którym znajduje się stacja kolejowa.

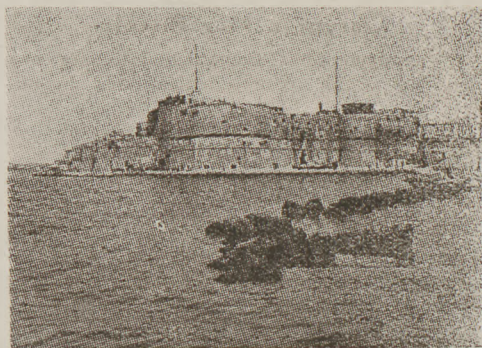
Po przebyciu mostu poprzez kanał naturalny łączący Mar Grande z Mar Piccolo, znajdujemy się na wyspie, gdzie w starożytności był Akropol (cytadela), a w średniowieczu właściwe miasto.

Wyspa ma około kilometra długości, około pół km. szerokości. Dziś jest to dzielnica ludowa, złożona z labiryntu ciasnych uliczek, pełna gwaru, brudu i kolorytu lokalnego, którego elementem podstawowym jest rozwieszona bielizna. Oczywiście, poza ulicami nadbrzeżnymi, służącymi do komunikacji z nowym miastem, wewnątrz wyspy jest *out of bounds*.

Katedra, zamek i most obrotowy

Na wyspie znajduje się trochę niezbyt licznych w mieście pamiątek historycznych, kilka kościołów i pałaców. Katedra, na via dei Duomo, jest z IV wieku; przez Arabów przekształcona na meczet, w XI stuleciu przerobiona w stylu romańskim, w wieku XVII, po pożarze, została całkowicie przebudowana. To też fasada i słynna kaplica San Cataldo (wewnątrz świątyni na prawo od absydy) są barokowe.

Na końcu wyspy, nawprost nowej części współczesnego Taranto, jest Zamek (Castello) zbudowany przez bizantyńczyków, przerobiony w wieku XV przez Ferdynanda Aragońskiego



Zamek w Taranto

dla obrony przed Turkami i powiększony przez Hiszpanów w wieku XVI.

Obok Zamku jest żelazny most obrotowy (*ponte girevole*), z roku 1887, łączący wyspę z nową częścią miasta. Most, zaopatrzony w mechanizm poruszany przez turbinę hydrauliczną, otwiera się w ciągu dwóch minut dla przepuszczania okrętów z Mar Grande do Mar Piccolo. Kanał, przez który przechodzą okręty, jest sztuczny. Został wykopany w wieku XV, jednocześnie z przebudową Zamku, dla skuteczniejszej obrony ówczesnego miasta na wyspie.

Pod znakiem Marsa

Za mostem znajduje się nowa część miasta, dzisiejsze śródmieście, na terenie starożytnej kolonii helleńskiej.

Szereg ulic prostych, szerokich i gładkich, zabudowanych domami z końca XIX stulecia, ciągnie się między dwoma morzami. Blisko mostu, na placu ze skwerem piniowo-palmowym, przed Palazzo degli Uffici jest dziś park dla wozów wojskowych.

W uliczce na lewo od parku samochodowego stoi Museo Nazionale, jedno z najbogatszych we Włoszech Południowych w zabytki archeologiczne. Ekspozycje są obecnie gdzieś pochowane, ale mimo to Muzeum jest bardzo uczęszczane przez żołnierzy, ponieważ mieści się w nim Naafi.

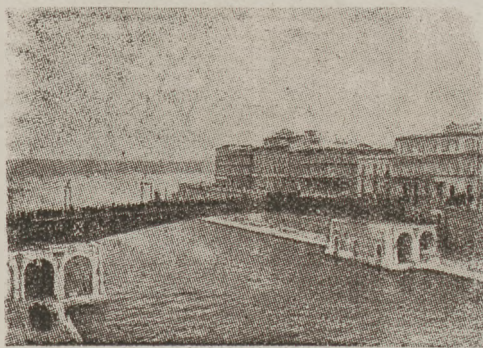
Nieopodal, przy ulicy Pytagorasa, znajduje się park miejski, bardzo piękny, z palmami, piniami i widokiem na Mar Piccolo, również służący w całości za aliancki klub żołnierski, obejmujący teatr, pływalnię, fryzjernię, czytelnię i kantinę Y.M.C.A., na tarasie z panoramą. Wartę w parku pełnią polscy żołnierze.

Na krańcach miasta, którego jedynymi miejscami godnymi zwiedzania są jeszcze Y.M.C.A. brytyjska i Y.M.C.A. polska z freskami Idozaka, Y.W.C.A., klub Sierżantów i klub floty oraz kilka kin wojskowych i włoskich, znajduje się

Arsenał i zakłady inżynierii morskiej. Ostatnim wreszcie zabytkiem miasta jest tramwaj, zapewne jeden z pierwszych tego rodzaju środków lokomocji, łączący arsenał ze stacją kolejową.

Osrygi z Mar Piccolo

W starożytności Taranto chlubiło się swą farbą purpurową, przywiezieniem kota do Eu-



Most obrotowy w Taranto

ropy i szkołą pitagorejczyków. Nowoczesne Taranto jest słynne ze swego portu wojennego i hodowli ostryg. Jedno i drugie zawdzięcza swój rozwój Mar Piccolo, które stworzyło pomysły warunki dla obu tych dziedzin działalności cywilizacyjnej. Jest to zatoka morska czy też jezioro, połączone z otwartym morzem (Mar Grande i zatoka Tarnacka) dwoma kanałami opływającymi wyspę ze starym miastem. Ma kształt ósemki i ciągnie się na długości przeszło 20 km. w głąb lądu.

Zgodne współżycie ostryg i marynarki wojennej trwało od dość dawna, ale skończyło się w czasie tej wojny, gdy na skutek zanieczyszczenia Mar Piccolo ściekami materiałów pędnych wszystkie ostrygi wyzdychały. Powie ktoś może, że nie czas żałować ostryg, gdy toną kasztany...

A jednak szkoda i tych *frutta di mare*...

Brindisi

W starożytności wylot drogi appińskiej, koło portu w Brindisi, zaznaczony został dwiema kolumnami, które do dziś są wyobrażane w herbie tego miasta. Jedna z nich zawałiła się w wieku XVI i tylko pozostał z niej przewrócony fragment; pozostałe zostały podarowane pobliskiemu Lecce, gdzie służą za postument do posągu św. Oronzo. Druga kolumna, wysokości 19 metrów, w teorii stoi do dziś, w praktyce jednak została na czas wojny w obawie bombardowań zdjęta i jeszcze nie przywrócona na miejsce.

Monumenty

Brindisi uchodzi za najbogatsze w pamiątki rzymskie miasto w Apulii. Niedaleko dwóch nieobecnych kolumn są szczątki domu, w któ-

rym umarł Wirgiliusz. Wiele innych zabytków rzymskich uległo przekształceniu w średniowieczu. Z materiałów świątyni Apollona i Diany wybudowana została katedra Santa Maria di Casale, która po trzęsieniu ziemi w wieku XVIII została odbudowana całkowicie w stylu barokowym i uzupełniona efektownym *campanile*. Z kamieni amfiteatru cesarze szwabscy zbudowali Zamek.

Średniowieczne budowle oczywiście lepiej się zachowały. Wśród nich najciekawsze są: kościół San Giovanni al Sepolcro, okrągła konstrukcja romańska, obecna siedziba (nieczynnego) Museo Civile, i kościółek romański św. Benedykta, wybudowany w wieku XI przez pierwszych Normanów, wreszcie bramy Lecce i Mesagne.

Brundisium

Miasto było wielokrotnie nawiedzane przez trzęsienia ziemi, szczególnie dotkliwie w wieku XVI i XVIII. Ale groźniejsze w dziejach Brindisi od klęsk żywiołowych były klęski wojenne.

"Brentesion" było miastem messapijskim, zhellenizowanym w czwartym stuleciu przed Chrystusem, którego rozwój i sława zaczęły się od 266 lat przed Chrystusem, gdy pod nazwą Brundisium stało się rzymską kolonią i uzyskało prawa municipium.

Jego port, głęboki i bezpieczny, był w czasie drugiej wojny punickiej bazą operacji wojsko-



Kolumna rzymska w Brindisi

wych przeciw Macedonii. Później miasto, połączone drogą appińską poprzez Tarentum z Rzymem, stało się tym, czym jest do dzisiaj — głównym portem włoskim dla komunikacji ze Wschodem. Rzymianie wyruszali z tego

portu na wojny przeciw Syryjczykom i Partom (robili więc drogę odwrotną do naszej z Iraku do Italii).

W roku 49 przed Chrystusem Cezar oblegał tu Pompejusza. Cyceeron przyjeżdżał tu wielokrotnie, Oktawian z Antoniuszem zawarli pokój brindizyjski, a Wirgiliusz miał tu nawet dom, w którym umarł w roku 19 przed Chrystusem.

W czasach cesarstwa Brindisi było obszernym miastem ze świątyniami, forum, teatrem, amfiteatrem, termami, kolumnami monumentalnymi, koszarami zimowymi dla wojska, arsenałem itp. Zaczęło upadać wraz z upadkiem Imperium.

Z rąk do rąk

Jak tyle innych miast w Apulii, Brindisi było pod władzą Ostrogotów, Wandalów, Longobardów, Saracenów, Greków bizantyńskich, Normanów, Wenecjan etc. Z portu brindizyjskiego wyruszyły prawie wszystkie wyprawy krzyżowe. Cesarz Fryderyk II poślubił tu w roku 1225, w katedrze Santa Maria di Casale, córkę króla jerozolimskiego Jolandę, zanim ruszył na świętą wojnę.

Zbrodnia i kara

Jeszcze przedtem, w roku 1197, cesarz Henryk VI z tej samej - nomen omen - szwabskiej dynastii założył tu zakon Rycerzy Teutonicznych.

W roku 1352 Brindisi zostało zburzone przez Ludwika, króla węgierskiego.

Jest to osobliwe zrządzenie Nemezis dziejowej, że na miasto, w którym powstał Zakon Krzyżacki spadła kara — i to jeszcze na długo przed rozgromieniem Krzyżaków przez Jagiellę — ze strony ojca królowej Jadwigi.

Wrota na Wschód

Dzisiejsze Brindisi, z około 50.000 mieszkańców, jest miastem dość brudnym, przyczem mimo starożytności tego grodu, jego brud jest raczej współczesny.

Jest ono położone na półwyspie, otoczonym odnogami morskimi tworzącymi doskonały port naturalny. Ten port, dziś podobnie jak w starożytności i średniowieczu, jest główną racją bytu tego miasta, tworząc z niego wrota włoskie na Bałkany i Bliski Wschód.

W wieku XIX zjednoczenie Italii i przekopanie kanału Suezkiego, wraz ze znacznymi pracami nad unowocześnieniem portu, korzystnie oddziaływały na przywrócenie portowi brindizyjskiemu znaczenia.

W czasie wojny 1915-18 Brindisi było dla sił włoskich i alianckich najważniejszą bazą wypadową operacji wojenno-morskich na Adriatyku i na Bałkanach.

Mgr. Sebastian Murek

Bolonia

*Mknie wóz w zawrotnym tempie błyszczącym asfaltem,
Przeskakuje bajleje i wyrwy z rozmachem,
Huczy klakson nieznacznie raz basem, raz altem,
Jakby współzawodników chciał przygwoździć strachem.
Aż jasne niebo włoskie, pogodnym kobaltem
Roztoczone nad drogą, nad przydrożnym piachem,
I nad polem, tonącym w murawie zielonej,
Przygląda się trwożliwie tej jeździe szalonej.*

*„Dokąd śpieszysz, młodzieńcze? Czyżbyś nie starezyło
Dni twego życia, które ścięte się przed tobą?
Nie baczysz na przestrogi, co grożą mogiłą,
Niepomyślny, że okryjesz przyjaciół żałobą?...”
„Hej, panie drogi, śpieszę ujrzeć swoją miłą,
Która mych dni wygnańczych jedyną ozdobą —
Zrozumiesz teraz, czemu siłą stu par koni
Z wiatrem idąc w zawody rwę się do Bolonii.”*

*Już z oddali witają wzrok strzeliste wieże:
Jedna prosta jak struna, druga przekrzywiona.
Z bielą i amarantem zawarły przymierze —
Wieżyca Asinellich, nad inne wzniesiona,
Świadczy, że tutaj polscy bili się żołnierze,
Że ich orężem miastu WOLNOŚĆ przywrócona,
I że blaski zwycięskiej sławy nie przeminą,
Aż chyba wraz ze światą ostatnią godziną.*



Fontanna Neptuna w Bolonii

*Tętni miasto, stłoczone w portyków ciasnocie,
Budzące się znów do życia, chwały i światłości.
Skrają się gmachy wspaniałe w słonecznej postacie,
Zapomniawszy niedawnej wojny okropności.
Zabliźniają się rany, wraca ład. W istocie —
Krychło spojrzeć i stanie w bezwstydną nagości
W miejscu, gdzie wieków tyle chlubił się przeminęło,
Władczy Neptun z trójzębem, Giambologni dzieło.*

*I wędrowiec, w Neptuna przystanawszy cieniu,
Gdzie orworokł w warowne mury się zamyka,
Zatrzyma wzrok zmęczony na starym sklepieniu,
Co to niegdyś katordę widziało Henryka,
Zobaczy znikającą w pobliskim podcieniu
Z cyrklem i mapą rulonem postać Kopernika,*

*Jak śpieszy z nadwiślańskiej zjehawszy stolicy,
Po wiedzę do przestawnej bolońskiej wszechnicy.*

*„Bologna dotta” — oto przydomek zaszczytny,
Który przylgnął, i słusznie, do miasta portyków.
I drugi, od zalety bardziej już uchwytnej:
„Bologna grassa” — tłusta: ten od smakotyków,
Jakimi słynie miasto, więc od sztuki sprytnej,
Posiadanej szeroko przez čnych Bolończyków,
Jaką znanstwo jest przednie kuchennych sekretów,
Dotyczących legumin, pieczeni, pasztetów.*

*Dziś, po prawdzie, ta sztuka, to raczej legenda,
O której z rozrzewnieniem bajdurzą smakosze.
Dziś kuchnią dyryguje wojskowa komenda
I miast popuszczać — ścisnąć trzeba pas potrosze.
Więc krzywi się z niechęcią Torre Garisenda,
I krzywią się z nią razem dostojni bibosze,
Że i na dobre wino przyszedł kres złowrogi
I że im przedwojenne czas rzucić nałogi.*

*„A pani czemu smutna? Dla jakiej przyczyny
Smętnie patrzą twe oczy spod rzęs parawanu?
Pani ma włosy lśniące odblaskiem platyny
I usta cynobrowe i oczy z hebanu...”
„Pana los opuszczonej ciekawi dziewczyny?
Dlaczego jestem smutna? Owszem, powiem panu,
Choć może winnam o tym nie mówić nikomu.
Lecz nie dziś, dziś już późno, muszę iść do domu...”*

*Do domu?... Jakże dziwnie brzmi ten wyraz w uchu...
Do domu?... Nie mam domu, od lat, od prawnika,
Tulacz ze mnie, co nigdy nie ustaje w ruchu,
Na którego już nigdzie żaden dom nie czeka.
I ja, i ty, bezdomni ostaliśmy, druhu,
W tym mieście Bentivogliów, nad którym opieka
Dwu krzyżom powiązanym z liliami oddana
I w herb którego dwakroć LIBERTAS wpisana.*

Wiktor Szach

Sport w I. Pancерnej

Sport w I. Dywizji Pancерnej spoczywa w dobrych, fachowych rękach i zyskuje sobie coraz więcej zwolenników pośród żołnierzy Dywizji. Pomimo ciężkich warunków treningowych zawodnicy stoją na dobrym poziomie. Ze wszystkich zespołów I. Dyw. Panc. na czoło wybija się zespół 2. P. A. M. Zajmuje on we wszystkich dziedzinach sportu czołowe miejsca. I tak np. w koszykówce zdobył mistrzostwo dywizji. Drużyna ta rozegra w przyszłym roku kilka meczów z drużynami 2. Korpusu. Drużyna siatkówki znajduje się na drugim miejscu w ogólnej klasyfikacji, a drużyna piłkarska w III. grupie na 9 startujących drużyn zajęła pierwsze miejsce. Finał piłkarski odbył się 16 grudnia; startowały 3 drużyny, a to: 2. P. P., 9. B. Strz. Fl.,

znany pod nazwą „Krwawe Koszule” i 2. P. A. M. Drużyna 2. P. A. M. na 8 rozegranych meczów o mistrzostwo uzyskała 16 pkt., straciła 0, stosunek bramek 32 : 4. Koszykarze na 9 meczów rozegranych uzyskali 18 pkt., stracili 0, stosunek koszyków 216 : 28.

W mistrzostwach lekkoatletycznych na 20 startujących zespołów 2. P. A. M. zajęła 4. miejsce. Obecnie organizuje się w 2. P. A. M. sekcja bokserska. Ma ona w swych szeregach byłego wicemistrza Europy — Forlańskiego, (który jest trenerem) oraz Koziółka, a w dywizji są: Koleczyński, Wrazidło i inni.

Również narciarstwo jest w stadium organizacji, jak i sekcja kolarska. Po ukończonych mistrzostwach na wiosnę projektowane są tournees po Włoszech. Ryszard Ruda

SPIS TREŚCI

	Str.
W rocznicę Powstania Listopadowego	Gustaw Herling-Grudziński 3
Tragedia polska	F. A. Voigt 5
Nad grobem kolegi	Jan Olechowski 10
Demokracja czy „demokracja”?	Michał Janiszewski 11
Szecherezada	Artur Międzyrzecki 16
Sytuacja polityczna Słowacji	Dr Stanisław Zahorsky 17
Zaprzepaszczone owoce zwycięstwa	Aleksander Wawrzyński 20
I na Dalekim Wschodzie...	J. P. 23
Atomem czy maczugą?	J. Z. 26
Ideał na codzień	B. S. 28
Miesiąc w krainie absurdu	Tadeusz Zajczkowski 30
Villaggio, „Róża przez śnieg”	Artur Międzyrzecki 37
Ślady wśród ruin	On 38
Ballada o Sindbadzie	Seweryn Ehrlich 41
Rossiniana	Wiarostaw Sandelewski 44
Panorama sztuki włoskiej	Carlo Verdiani 48
Od Delacroix do Cezanne’a	Marian Kościatkowski 51
Z litewskiej poezji:	
Z wicherą i ukochaną	Kazys Boruta 54
Jeśli życie jest snem	Bernardas Brazdionis 54
Ciurlionis	J. Kasau-Aleksandravicius 55
Smutek	V. Mykolaitis-Putinas 55
Dziecięcy skarb	Kazimierz Zamorski 56
Białoruskie święta	Dryhylec 58
Słowackie zwyczaje świąteczne	M. J. 61
Boże Narodzenie na Węgrzech	Władysław Szabolcny 63
Uśmiechnięci święci	M. P. 65
Idea i rzeczywistość	Pen 67
Archiwum Nuncjatury Warszawskiej	Paweł de Laval 69
Pamiętkowe polonicum włoskie	A-żł 71
Krystyna	St. Piaskowski 74
Zdobywca i Obywatel Ancony	K. Z. 77
Via Appia wiedzie do Brindisi...	Mgr Sebastian Murek 78
Eolonta	Wiktor Szach 81
Sport w I. Pancernej	Ryszard Ruda 83

Oktadka — Aleksander Werner



P. 20692

Int.
Jan
ab 8 zław

142



